

Rafał A. Ziemkiewicz

Ogień Na Skalach

Rozdział 1

Bardzoście smutni, panie Śegoście – odezwał się karczmarz, zabierając pusty dzban.

Śegost, wyrwany z zadumy, uniósł powoli wzrok.

– Zamyśliłem się. Ten umarły, dziś na plaśy... Ledwie dosłyszał własne słowa; zagłuszyła je nagła salwa pijackiego śmiechu, który gruchnął po izbie. Obaj z szynkarzem odruchowo zwrócili głowy w stronę paleniska, gdzie przy największym stole, wokół baterii flaszek, dzbanów i na wpół opróśnionych półmisków, biesiadowała czwórka zbrojnych. Śegost obserwował był ich wcześniej przez jakiś czas, nim do reszty pogrążył się w myślach.

Nie byli wojami z jednej drużyny – nosili odmienne barwy, różnorodny był też ich odstawiony pod ścianę oręż. Sprawiali raczej wrazenie przyjaciół wracających z polowania. Udanego polowania; co do tego ich humory nie zostawiały wątpliwości.

– Za to tamtym waszym gościom dzisiaj wesoło, jak widzę – zauważył. – Aś niestosownie wesoło, gospodarzu.

I nieoczekiwanie rozmowa zamiast ku umarłemu pomknęła ku biesiadującym.

– Ano, szanownemu Rejmusowi to zawsze wesoło. Aleć on rycerz, naoglądał się w Śyciu trupów; jemu rybacka śmierć nie powód, by nie podchmielić. Zresztą szanowni zaczęli już wczoraj, to przed jutrzejszym wieczorem nie przestaną. Kiedyś i nasz książe pan... – Szynkarz, zebrawszy gliniane naczynia, obrócił się w pół zdania i ruszył w stronę kuchni, zaskakująco energicznie jak na swój wygląd. Na pierwszy rzut oka sprawiał bowiem wrazenie schorowanego starca; błydy, chudy, o rzadkich włosach lepiących się pasmami do czaszki, której nie były w stanie osłonić. Trzeba było dopiero zajrzeć mu w oczy, by przekonać się, że są jeszcze młode.

Śegost domyślał się, że szanowny Rejmus to prezydujący u szczytu stołu łysawy męszczyna o rozłóśystej rudej brodzie, poznaczonej w tej chwili tłuszczem i resztkami pieczonej ryby. Męszczyna twarz miał nalaną, a sylwetkę wystarczająco potężną, by od pierwszego spojrzenia rozpoznać w nim wojownika – lecz i na tyle oklapła, by za jednym razem dało się poznać, że rycerz ten od dawna już nie sprawdzał się w innych zapasach niż osuszanie dzbanów.

Choć przy stole to szanowny Rejmus zasiadał na honorowym miejscu i na nim skupiała się uwaga współbiesiadników, bardziej słyhać było osobnika po jego prawej ręce. Niższy od Rejmusa i nie tak szeroki w barach, był za to jeszcze od niego grubszy; gładko wygolona, rumiana i wesoła twarz o mięsistych policzkach znamionowała skłonność do uciech stołu, a połączony łańcuch na szyi – wysoką godność. To właśnie on zarykiwał się najgłośniej, a kiedy przekrzykiwał towarzyszy, cała izba zdawała się drżeć

w posadach. Milkł jednak natychmiast, gdy tylko głos zabierał Rejmus.

Od swego hałaśliwego współtowarzysza Rejmus wydawał się starszy o dobre kilka lat. Pozostali dwaj mogliby wręcz być jego synami – młodzi chłopcy, hołubiący początki zarostu, wyraźnie zaszczycony mośliwością opróśniania kufli w takim towarzystwie i zaświadczający to jazgotliwą skwapliwością, z jaką śmiali się z każdego dowcipu starszych towarzyszy. Owe dowcipy krążyły nieustannie wokół jakiejś złotej rybki, która nie spełnia rybakowi Śyczeń, tylko jego samego wzięła na posyłki. Rejmus wywodził właśnie, Śe rybakowi zabrakło tego robaka, na który złote rybki się łapia, choć niby go każdy chłop ze sobą nosi; krzykacz w złotym łańcuchu dorzucił, Śe owszem, nosi, ale mało uŹywa. Śegostowi budzony tymi Śartami rechot wydawał się naznaczony znuŹeniem, jakby dowcipnisie powtarzali swój repertuar po raz nie wiedzieć który. Domyślał się, Śe pod tymi figurami kpią sobie z kogoś konkretnego, ale nic go to nie obchodziło; starał się nie słuchać, choć to nie było łatwe.

– Kiedyś to i sam nasz ksiąŜę tu z szanownym Rejmusem bywał. Nie raz i nie dwa u mnie gościł, wierzycie, panie Śegoście? – podjął szynkarz, pojawiwszy się przy stole z kolejnym dzbankiem. – Bo u nas to Śadna ujma nawet księciu usiąść w wiejskiej karczmie z prostymi ludźmi. A szanowny Rejmus, wiecie pewnie, to jeden z jego starych przybocznych. Dawno temu całymi dniami gromadą jeździli po wybrzeŹu, od karczmy do karczmy, co popili, to ich przejaŹdŹka trzeźwiła i w następnej wiosce mogli zaczynać od nowa. Ale teraz juŹ nie widać, Śeby ksiąŜę gdzie biesiadował, weselił się. Straszliwie w księŹnej pani zakochany, cięŹko mu ją bodaj na dzień opuścić... Choć mówią teŹ drudzy, Śe to zgryzoty. Ale, po prawdzie, skąd by tu księciu zgryzoty, kiedy mu całe panowanie jak z płatka idzie? Czas jeno minął, ot, dawni ksiąŜęcy towarzysze rozjechali się po kraju, osiedli w warowniach, jeden Rejmus Źyje po staremu. A ksiąŜę... Przysiądę przy was, panie Śegoście, o tej porze gości juŹ niewielu.

– Siadajcie.

– Ano, ksiąŜę od ludzi stroni, mało kogo przyjmie, mało komu odpowie. Ledwie czasem po gościńcu przepędzi, jakby go demony goniły. Mówią drudzy, Śe to go tak zmieniła księŹna pani, Śe niesporo mu od niej choć na chwilę. Ale po prawdzie...

Po izbie znowu poniósł się wybuch pijackiego śmiechu. „Nie za pysk, nie za pysk, juŹ ja wiem, za co trzyma!” – ponad rechot przebijał się tubalny głos grubego rycerza.

– Szkoda, szynkarzu. Myślałem, Śe waszego księcia zobaczę. Sławny jest na południu. IleŹ to pieśni ja sam o nim słyŹiałem...

– Prawda, Śe pieśni o nich śpiewają?

– Po wielkich dworach, nawet w samym Askiburionie. Na własne uszy słyŹiałem – ciągnął Śegost, chcąc zrobić karczmarzowi przyjemność. ZdaŹył juŹ zauwaŹyć, Śe

mieszkańcy nadmorskiego księstwa czerpali wielką dumę z faktu, że ich księżca para jest tak znana w królestwie. – Bardzo piękne ballady, zanuciłbym wam nawet którą, ale wiersz zbyt kunsztowny, trudny. Jest osobna pieśń o tym, jak młody książe Berghu dowiedział się o losie księżniczki Khielve z północnych wysp, sprzedanej czarnoksiężnikowi Shizzandrowi, i jak się w niej rozmiłował, i inna, jak za zgodą ojca zebrał rycerzy i popłynął z wyprawą ku Skanningen, ku lodowym skałom.

Szynkarz z zadowoleniem pokiwał głową.

– Tak to było, tak to właśnie było, panie Śegoście. Wszyscy tu pamiętają, pytajcie, kogo chcecie. Morski ptak przyniósł księciu jej wizerunek zaklęty w klejnocie i opowiedział historię. Podły mag trzymał naszą panią w wieży bez drzwi, całej z kryształu, ale nic to mu nie pomogło, bo książe ją uwolnił, ucałował i zaprzysiągł miłość aż po grób. A przedtem wraz z siedmioma druhami rozgromili w kryształowej jaskini Shizzandrowe gwardie, choć padli przy tym trupem szanowni Gudryn i Madros. Widzicie, panie Śegoście, szanowny Rejmus, który tu siedzi, to ten właśnie, co odrąbał magowi plugawą prawicę, którą ów rzucał czary. Wtedy zaś książe sztychem maga przebił. Tak... Szanowny Rejmus to wielce poważany rycerz, zaszczyt go u siebie gościć.

Wielce poważany rycerz, jakby wywołany tymi słowami, zmarszczył nagle brwi, wysunął głowę do przodu i ku radości współbiesiadników zawołał charakterystycznym, zduszonym głosem:

– Płatka, kozi synu! Gdzie się szwendasz, jak u mnie w dzbanie pusto?! Duchem, dawaj mi tu piwa!

Słowo „piwa” rozbrzmiało w jego ustach szczególną, uroczystą inkantacją, niczym modlitewna formuła w ustach kapłana. Gospodarz zerwał się z ławy i pobiegł, jakby chciał przejąć z rąk rycerza pusty dzban, nim ten trzaśnie skorupą o palenisko. Jeżeli w istocie szanowny miał taki zamiar, to szynkarz okazał się wystarczająco szybki.

Śegost spuścił wzrok na grubo ciosaną równiankę stołu, po czym umoczył usta w winie. Jeśli nie liczyć biesiadujących wojów, był w karczmie jedynym gościem. Niski strop izby podierały szerokie czworokątne słupy; gospodarz, tknięty potrzebą przyozdobienia w jakiś sposób swej domeny, nawieszał na tych słupach i po ścianach różności – tu starą sieć, tam jakieś rybackie narzędzia. Najwięcej było ususzonych ryb, zwłaszcza cudaczných, najeżonych kolcami kogutów morskich, które często wpadały do śledziowych włoków, a poza tą wątpliwą ozdobą nie nadawały się na nic innego.

Nie, prawdę mówiąc – Śegosta wcale nie było w tej pustawej mimo późnej pory gospodzie. To tylko jego cielesna powłoka siedziała za stołem, piła bez rozsmakowywania wino i słuchała, jak szynkarz opowiada o księciu, jego zamorskiej małżonce i sławiących ich pieśniach. Dusza wciąż jeszcze stała na plaży, pośród

przejętych zgroszą rybaków z Trychny, nad wyrzuconym przez fale, paskudnie okaleczonym, opuchłym ciałem. Śegost bywał jako zacieśnik i ochotnik w bitwach, zdarzało mu się teś opatrywać ofiary niejednej bójki i nieudanego polowania, ale tak zadanych ran nie potrafił sobie przypomnieć. Bezskutecznie przymierzał je do znanych sobie broni, do paszczek i pazurów stworzeń, z jakimi się w Śyciu stykał.

Ale stwory, na których się znał, Śyły na lądzie. Co tkwić mogło w morzu, w jego głębinach, i tam dalej, za linią horyzontu – co mogło tam być, tego nie wiedział nie tylko on. Dlatego właśnie morze kusiło go i przyciągało z dziwną mocą. Stęsknił się przez ostatnie lata za nim i za tą nadmorską krainą. Bergh – kraj tak bliski rodzinnego Slengu i tak zupełnie od niego różny: długi pas skał, jezior i wąwozów wzdłuż wybrzeża, z półwyspem wyrastającym pośrodku jak bodąca bezmiar skalista ostroga, uwieńczona zbudowanym na wyniosłej skale ksiąśnym zamkiem.

Zbośa, nawet trawa, ledwie tu chciały rosnąć; lasy były rzadkie, zwierzyny mało, a nieodległe mokradła i jeziora utrudniały dostęp w głąb kraju. Wielki handel idący z królestwa tutejszych portów nie potrzebował, miał inne, na zachodzie, u ujścia wielkich spławnych rzek. Obronne warownie, nawet stołeczny Ruerh, w porównaniu z estarońskimi zamkami wyglądały jak wpółzapadnięte kurniki, zaś rybackie wioski nie sprawiały wrażeń zamośnych, bo choć ryb i innych morskich stworzeń było tu pod dostatkiem, takśe i tych zdatnych na najbardziej wykwintne stoły, to większa część zysku z ich sprzedaży na południe należała do kupców. A tutejsze pospólstwo, rozmawiając między sobą, wciąż jeszcze używało dziwnej, niepodobnej do innych języków królestwa mowy. Pod jej wpływem nawet rycerze wykoślawiali słowa – sama nazwa krainy, Bergh, w ustach miejscowych brzmiała „Buerh”, a imię księcia wymawiano „Suemborh”. Dla mieszkańców królestwa imię takie brzmiałoby śmiesznie, dlatego w pieśniach ksiąś zwany był Zamborgiem. Tylko imię jego Śony, Khielve, pozostawiono bez zmian. Dziwne imię księżniczki z północy, z jednego z owych królestw na skalistych, zimnych brzegach, więcej mających dochodu ze zbójstwa i wojen niż z uczciwego gospodarzenia. Nawet wytrawni dyplomaci w królewskiej słuśbie Askiburionu miewali kłopoty ze zorientowaniem się w ich nieustannych dynastycznych swarach i często zmienianych sojuszach.

Bardziej poczuł, niż dostrzegł, Śe Płatka ponownie sadowi się na ławie obok. Nie, gospodarz nie miał racji, Śegost nie był smutny. Był wybity z nastroju, rozdraśniony, zły, sam nie wiedział na kogo – mośe na tego trupa, którego musiało wyrzucić akurat w dniu jego przybycia, na złą wróśbę. Albo na siebie samego. Zdarzają się kaśdemu takie dni, gdy nawet lany w gardło napitek nie smakuje jak powinien i nie sprowadza na człowieka pogodniejszych myśli.

– Bardzo to szanowany rycerz – podjął gospodarz. Śegost ciekawy był, z iloma gośćmi jednocześnie nauczył się szynkarz toczyć w taki sposób naprzemienne pogawędki, odchodząc w pół zdania i bez trudu podejmując przerwany wątek po powrocie. – Jeszcze stary ksiąŜę nieboszczyk wyznaczał go do przewodzenia druŜynie, a kiedy z Zamborgiem wracali ze Skanningen, ksiąŜę kazał mu wieść triumfalny pochód od nabrzeŜa portu do zamku. A potem były gody, wielkie, huczne, na cały Bergh. Sam, młody chłopak, stałem z ojcem nieboszczykiem przy Kramarskiej Bramie, kiedy nowoŜeńcy przejeŝdŜali. Widziałem z tak bliska, jak was teraz widzę. KsiąŜę pan cały promieniał od szczęścia, miał złotą zbroję, a na czole magiczny kamień.

– A ona? Naprawdę taka piękna?

– Ano, piękna. Piękna, panie Śegoście, jak... jak zorza polarna. Nigdyście piękniejszej nie widzieli i pewnie nie zobaczycie, bo księŜna pani zamku nie lubi opuszczać. Włosy jak czyste srebro, usta jak Őywa krew, a pleć biała niczym śnieg albo morska sól. Nie ma piękniejszej, to mogę powiedzieć. Pan Rejmus powiadał kiedyŝ, Őe pani Belisenna Złotowłosa piękniejsza, ale, z całym szacunkiem, nie słuchajcie tego.

– Belisenna?

– Őona dostojnego Everarda, królewskiego namiestnika z Kalboru. Widujemy ich często, bo namiestnik bywa nieraz w Ruerhu, bardzo piękna pani, ale zwykła kobieta, jeśli mnie rozumiecie, choć wysokiego rodu, a księŜna pani całkiem co innego.

– No, a co było potem? – zapytał Śegost. – Gdy juŜ wrócili jako nowoŜeńcy do Ruerhu i zamknęli za sobą bramę?

– Potem? Ano... Őyje się, panie Śegoście, ot, tyle.

Skrzypnęły drzwi izby; gospodarz poderwał się natychmiast i ruszył ku nowym gościom. Śegost przyglądał im się przez chwilę – wyglądali na prostych rybaków. Na dworze musi juŜ zapadać zmrok, aŝ dziwne było, Őe mieszkańcy wioski nie zeszli się jeszcze na wieczorne rozmowy przy kuflu. A dziś będą mieli o czym rozmawiać, zajęci długo w noc sprawą zwróconego przez morze trupa. Nie dlatego, by śmierć w morzu, nawet okrutna, aŝ tak nimi wstrząsała – ale dlatego, Őe z tą śmiercią wiązała się jakaś mroczna tajemnica. A tajemnica kusi człowieka, pociąga i nie daje mu spokoju bardziej niŜ cokolwiek innego na świecie.

Znowu popadł w zadumę, sącząc powoli wino i starając się nie słuchać porykiwań grubego rycerza. Ten ostatni obdarzony był głosem donośnym jak u buhaja i Śegost poczuł dojmującą ochotę, Őeby dla uciszenia krzykacza złamać mu na karku zydel. Aŝ sam się zdziwił i zastanowił, skąd ten nagły przypływ złości, ta irytacja wypełniającym izbę wrzaskiem i rechotem. W końcu, tłumaczył sobie, wojacy byli w gospodzie. Przyszli się zabawić, a trup znaleziony tego dnia nie musiał obchodzić ich ani odrobinę więcej niŜ

jakikolwiek inny trup w jakimkolwiek innym miejscu świata. Nie należał z pewnością do przyjaciela czy brata Śadnego z nich – a jeśli do poddanego, to zapewne mieli poddanych dość, żeby się zaledwie nie przejmować utratą akurat tego jednego.

Trzej nowo przybyli rozmawiali chwilę z gospodarzem, po czym ruszyli do kąta, gdzie siedział Śegost, po drodze skłoniwszy się nisko szanownemu Rejmusowi i jego towarzyszom.

– My tu do was, panie Śegoście. Pozwolicie?

– Siadajcie, dobrzy ludzie. Jeśli do mnie, to dobrze trafiliście, bo to akurat właśnie ja.

Rybacy popatrzyli po sobie. Nie wyglądali na onieśmiałych kmotków; byli poważni i zmartwieni.

– Ja będę mówił – rzekł do towarzyszy ten pośrodku i powstrzymawszy gestem szynkarza, by nie stawał przed nimi kubków, zaczął.

– Do was, panie Śegoście, bo już wiemy, że jesteście cechowy Śołnierz, wiemy, żeście dziś byli na plaży i że mówiliście zostać tu na noc. Jestem Dejwas, starszy maszoperii, to Gaca, a to Ludała. Śegost skinał tylko głową.

– Tak i co dużo gadać, samiście widzieli, co to się u nas zdarzyło. I pewnie już wam mówiono, że nie pierwszy raz. Za pierwszym rozdarło babę z dwojgiem dzieciaków w chałupie na wydmach, mąż zamarudził na wiecu, a jak wrócił po świtaniu, już było po wszystkim. Pewnie miał szczęście, bo i z niego by wiele nie zostało. A za drugim, tak jak i teraz, cała trójka z łodzi. Tylko tamtych nie znaleźliśmy. Jeny samą łódź wyrzuciło. Po innych to i łodzi nie było. No i ten teraz... A ślady identyczne jak na tamtej rodzinie.

– Takie same, jak wyszył, tylko trup od wody opuchł – wtrącił się Gaca. – Sam wtedy widziałem.

– Co tu gadać – podsumował Ludała. – Ten sam stwór, ot co.

Śegost zdecydowanie miał zły dzień i nie potrafił tego ukryć.

– Już się domyślam, dobrzy ludzie, o co wam chodzi. Jakiś bard z królestwa, oby oparszywał, wymyślił sobie cech najemnych wojowników, co zabijają potwory. Bardzo się o ich przygodach pięknie słucha i pewnie dlatego wszyscy w to uwierzyli. Ale takiego cechu nie ma, nigdy nie było i być by nie mogło. A ja jestem Śołnierzem, nie charakternikiem. Płacą mi, żeby umiał w piechocie i jeździe sprawić szyki, dopatrzeć musztry, zaopatrzyć rotę, podzielić sprawiedliwie Śold i łupy i żeby wiedział, co komu wypada czynić w bitwie. Ale nie tropię Śadnych strzyg, nie odczyniam te Ś czarów i nie znam się na przekleństwach. Poza tymi, które Śołnierze zwykli wypowiadać o maciach swoich przeciwników. Opowiadałem się już sekretarzom, chcecie, spytajcie ich. Wracam tedy po prostu. Byłem w zaciągu u orwańskiego palatyna, kwarta wyszła, zabrałem się i idę do Estaronu.

– Aleście tam na plaśy mówili pono...

– Mówilem, co wiem. Sługuję trochę czasu, to znam się na ranach, trochę teś na zębach, pazurach, w ogóle na zwierzynie. Ale wiele więcej wam pomóc nie mogę.

– I powiadali o was, że jesteście człowiek w świecie bywały – dokończył Dejwas. – Nie przyszliśmy wcale nagabywać was do polowania na potwora, o nie. To księcia pana robota, nie nasza. Myślałem tylko, pogadamy, kawał świata widzieliście, to może nam co poradzicie. Ale że to wam, jak widzę, nie w smak, nie będziemy przeszkadzać w samotności, panie śegoście.

Jego rozmówcy wstali niemal jednocześnie. Poderwał się w ślad za nimi, zawstydzony nagle, i chwycił Dejwasa za rękaw.

– Wybaczcie – powiedział. – Długo byłem w piechocie, to i moje obejście staniało. Siądźcie i nie chowajcie do mnie śalu, proszę.

Dwaj rybacy patrzyli na Dejwasa, który zastanawiał się przez chwilę.

– Ano – rzekł wreszcie, siadając. – Płatka! Daj jakiego piwa.

– Widzicie – zaczął Dejwas, gdy usadowili się ponownie – do dziś sam mówiłem to, co i ksiąścy komes. Tu czy tam łódź nie wróciła, to i coś, tak na morzu jest; sto razy przepłyniesz i nic, a raz nie przepłyniesz. że częściej się tak ostatnio zdarzało, coś, może prądy się zmieniły, może jaki zwierz się załagał w pieczarach na półwyspie...

– Tak wam komes prawil, powiadacie. Znaczy, chodziliście już do księcia na skargę.

– My nie. Z Cugiertu chodzili. Oni bliśej dworu i łowiska mają dane przy samym zamku.

– I stratne bardziej – wtrącił Ludała. – Trzy razy już się im zdarzyło swoich nie dorachować.

– Ten dzisiaj na plaśy teś był od nich – dodał Dejwas. – To już wiemy, kowal przyjechał, mówi, że po zębach poznaje. Niejaki Sulwir, zwany Śmigielem. Może nie jakiś wielce doświadczony rybak, ale już nie śóltodziób, który by mógł sam przewrócić łódź, wybierając więcierze.

Poznali po zębach, pomyślał śegost. Nie bardzo było po czym innym poznać – trup wyglądał, jakby kto chwycił go upazurzoną dłonią u nasady włosów i zdarł z głowy twarz niczym maskę. Pozostały tylko czoło i śuchwa, pomiędzy nimi ziała dziura, w której roiło się robactwo.

– A choćby nawet, to nie wyglądałby tak, gdyby po prostu przewrócił łódź i się utopił – uciał śegost.

– Ano, chyba nie.

– Z lewej się takiego tnie, baranie, z lewej! O, tak, finta, przerzut i trzask! – Kompania szanownego Rejmusa najwyraźniej znudziła się w końcu sprośnymi śartami

nie wiadomo o kim.

– No dobrze – podjął Śegost. – Własną śmiercią ten wasz Śmigiel nie umarł, to jasne. Ani ta kobieta w chacie na wydmach, o której mówicie. A i zniknięcie tych kilku łodzi, które nie wróciły z morza, teŜ pewnie miało z tym coś wspólnego. Domyślam się, Śe czekacie, Śebyam wam powiedział, co to mogło być, jaki stwór, demon czy co tam jeszcze. Ale naprawdę nie wiem, co wam mogę powiedzieć, szanowny Dejwasie. Cokolwiek to jest, przyszło z morza. Na morzu znacie się lepiej ode mnie.

– Nie jesteŝmy szanowni, tylko rybacy – sprostował Dejwas. – Na morzu się znamy, ale na wielkich sprawach nie. A wy, jak zgadujemy, pewnie idziecie na słuŝbę do naszego księcia?

– Źle zgadujecie – pokręcił głową Śegost. – Nie idę.

Starszy zastanawiał się chwilę.

– Wybaczone ciekawość, ale Śadna ryba nie popłynie tam, gdzie nie ma Śeru. Dawno na naszym wybrzeŝu nie widziano nikogo z waszego cechu. Jeŝli juŝ ma być wojna, dobrze by to było wiedzieć.

– Bądźcie spokojni, dobrzy ludzie. Wojna nigdy nie wybucha znienacka, umny człowiek moŝe ją zawsze wypatrzeć jak burzę po chmurach. Pomyŝcie – upił wina i perswadował, rozparłszy się wygodniej – kto szykuje wojnę, musi zebrać zapasy. Kupcy to wyczuwają od razu, więc ceny idą w górę. Musi wyszkolić tarczowników, więc po wsiach zaczyna brakować chłopów, praca się przeciąga, tego się teŜ nie da ukryć. Zaciągi ogłasza się dopiero w ostatniej chwili, najdalej na miesiąc przed wyprawą, by nie trzymać gotowego wojska pod bronią, Śywiąc i płacąc kwartę, tylko dla pustej pogróŝki. Więc póki nie usłyszycie, Śe gdzieś na wyspach nagle brakuje solonego mięsa, a łąki stoją niekoszone, moŝecie spać spokojni. Choćby się w tej karczmie zeszło jeszcze siedmiu takich jak ja.

Śegostowi wydało się, Śe jego wywód nie mógł być bardziej przekonujący, ale starszy maszoperii pokiwał tylko głową.

– Nikt, panie Śegoście, nie ogłosił zaciągów?

– Wiedziałbym, gdyby tak.

– Na dalszym wybrzeŝu albo na wyspach? PrzecieŜ jeŝli tam idziecie, moŝecie rzec, nikt wam drogi nie wzbroni, a samiście powiedzieli, Śe i tak tajemnica długo się nie uchwowa.

– Nie ma Śadnej tajemnicy. A gdyby była, to, bądźcie pewni, panie starszy, rzekłbym wam po prostu, Śe to nie wasza sprawa. Nie podejrzewajcie mnie, Śe zniŝałbym się do łgarstw. Powiedziałem nikt i to znaczy: nikt. Ciekawi was coś jeszcze?

– Nie sierzdcie się, panie ŝołnierzu. Dziwimy się tylko. Powiedzieliście, Śe wracacie

z Orwanu do Estaronu. A to przecieŜ przez nasze strony wcale nie po drodze.

– A to wlaŝnie, panie starszy, nie wasza sprawa.

– Nie moja. – Dejwas westchnaÅ i rozejrzaÅ siÄ po milczÄcych towarzyszach. – Macie siÄ sierdziÄ, to juŜ nie bÄdÄ o nic pytaÅ, tylko sam opowiem. Bo, widzicie, myŝmy juŜ wczoraj wiedzieli, Ŝe dzisiaj ktos na morzu zginie. Nie wiedzieliŝmy kto, ale Ŝe zginie... Ja, prawdÄ mowiaÄ, jeszcze do dziŝ nie wierzyÅem. Ostatni. Ale teraz i ja muszÄ uwierzyÄ.

Ŝegost skinÄÅ gÅowÄ, ale nie skomentowaÅ.

– KsiaŝÄ pan przez tyle lat siÄ nie ruszaÅ ze swej warowni. Na uczty prawie przestaÅ jeŝdziÄ, nawet z polowaÅ siÄ wymawiaÅ. PowiadajaÅ ludzie, Ŝe niejedyn moŝny sÄsied bardzo siÄ na niego za to obraziÅ, niejedyn siÄ ŝmiaÅ, Ŝe nie honor tak siÄ ŝony trzymaÄ, zza jakiegokolwiek by byÅa morza. Aŝ nagle od jakiegoŝ czasu nie ma ksiÄŝyca, Ŝebyŝmy ksiÄcia nie widzieli na drodze. Bez orszaku; samotrzeÄ, samoczwor, rÅŝnie... Nie myŝcie, Ŝe go próbujemy szpiegowaÄ, nic nam do paÅskich podrÅŝy. Sami widzicie: jadaÄ z pÅlwyspu w gÅÅb kraju, nie da siÄ Trychny ominaÄ w Ŝaden sposÅb. A zobaczyÄ samego ksiÄcia to dla dzieciakÅw i bab wydarzenie. Zawsze biegnÄ o nim opowiadaÄ na prawo i lewo.

Dejwas zawiesiÅ gÅos, jakby nagle zwÄtpiÅ, czy naprawdÄ ma chÄÄ opowiadaÄ to, co zaczaÅ, do koÅca.

– I, widzicie – podjÄÅ wreszcie – co o tym opowiedzÄ, to na nastÄpny albo na drugi dzieÅ potem gruchnie wieŝÄ o nieszczÄŝciu. Wychodzi, Ŝe co ksiÄŝÄ w podrÅŝ, to u nas, w Cugiercie albo po drugiej stronie pÅlwyspu ŜaÅoba.

Ŝegost piÅ w milczeniu.

– I zawsze tak? – zapytaÅ wreszcie.

– Tak do koÅca to nie – rzekÅ LudaÅa. – KAPOÅ z Brusiem jak siÄ utopili, zaraz po wiosennym sÅoÅcu, to ksiÄŝÄ akurat byÅ w paÅcu. No, chyba Ŝeby siÄ jakoŝ po nocy wymknaÅ...

– KAPOÅ normalnie burza zabraÅa – przerwaÅ mu Gaca. – ChciwoŝÄ go zgubiÅa, mÅwili mu wszyscy, Ŝeby odŝaÅowaÅ, bo na szkwaÅ idzie, on siÄ uparÅ, Ŝe zdÄŝÄ, i masz...

– To przecieŜ ja wcale...

Umilkli obaj zgromieni gwaÅtownym gestem starszego.

– Ja mÅwieÅ. Zawsze co, pytacie, panie Ŝegoŝcie? Czy zawsze, gdy zdarzy siÄ nieszczÄŝcie na morzu, ksiÄŝÄ pan poza zamkiem? Nie. Ale jeŝli pytacie, czy zawsze, kiedy wyjeŝdŝÄ, zdarza siÄ nieszczÄŝcie, to odpowiedŝ brzmi: tak. OdkÄd zaczaÅliŝmy liczyÄ, Åodzie i ludzie znikajaÅ wlaŝnie wtedy.

– Od samego poczÄtku, odkÄd tylko zaczaÅ tak jeŝdziÄ?

– Nie. Chyba nie, głowy nie damy. To się zaczęło później.

Śegost pokiwał tylko głową, przygryzając wargę. Nawet nie zwrócił uwagi na kolejny wybuch wesołości przy biesiadnym stole.

– Książę pan nikomu się opowiadać nie musi, ale na polowania to on przecież nie jeździ, starczy spojrzeć, że za bardzo wystrojony. Ale na uczty przecież też nie...

– Skąd wiecie, że nie?

– Choćby stąd, że choć raz musieliby za nim i inni szanowni jechać, przynajmniej panowie Ingold z Rejmusem. Wraca na drugi, trzeci dzień, więc też nie wyprawia się nigdzie daleko.

– Zawsze jeździ w tę samą stronę?

Dejwas uśmiechnął się nieznacznie. Pytanie istotnie nie było najmądrzejsze.

– Przez Trychnę tak. Tu są tylko dwie strony, do morza i od niego. Czy gdzie dalej nie skręca, tego wiedzieć nie możemy, ale jeśli by się trzymał gościńca, przed następnym wieczorem minie Olk, a dalej to już Sleng.

– Wiem – przytaknął Śegost i znowu sięgnął po kubek z winem.

– Ja, panie Śegoście, przy ogniu służę – rzekł Ludała. – Dwunastu nas takich na książęcej służbie. Wiecie, o jaki ogień mi idzie? Tu zaraz, jeśliście jeszcze nie widzieli, na Łososiowej Skale...

Śegost skinął głową.

– Chcecie powiedzieć, że co dwunastą noc nie śpicie, tylko czuwacie przy ogniu...

– Jeśli prawdę rzec, to co szóstą, bo po dwóch słyszę raźniej. I tego akurat świtania słuszę miałem. Morze, panie Śegoście, tak gładkie i piękne, jak się rzadko widzi. Ledwie co fala szumiała i ptaków trochę, a już się słyszało nawoływania z warowni. Wierście lub nie, ale ja słyszałem, jak z morza krzyczeli. Nikt inny to nie mógł być, tylko ci z Cugiertu. Po węgorka szli, jak co dzień, nie musieli daleko wypływać. Gdyby im łódź wyrzuciło, utrzymaliby się przy niej, a bodaj nie, doszliby brzegu wpław. Przynajmniej jeden. Słyszałem, jak krzyczeli pomocy... A potem cisza.

Przez chwilę trwało milczenie, nawet Rejmus i jego towarzysze wyraźnie przycichli.

– Powiedz teraz, Dejwas, o śmiechu Shizzandra – odezwał się Gaca.

– Właśnie do tego zmierzam – podjął starszy. – Pieśni o naszym księciu znacie, panie Śegoście, ale pewnie bardowie nie o wszystkim w nich pamiętają. Powiadali nieraz szanowni, że gdy już Shizzander zdychał na swych kryształowych posadzkach, to wcale nie rzeźił, nie złorzeczył, tylko się śmiał. Okrutnie się śmiał i księciu panu urągał. Że się nie opatrzy nawet, kiedy go Shizzandrowa pomsta ogarnie, że jeszcze będzie przeklinał, tak szydził, tę północną księżniczkę i swą niewczesną miłość.

– Co miał innego robić? Gdy kto widzi, że już po nim, to chce przynajmniej swego

zabójcę nastraszyć.

– MoŜe tak. Tak sãdzą i szanowni. Ale moŜe nie? MoŜe zdãŝył Shizzander wezwaç jakichŝ swoich druhów, ŝeby go pomścili? Pono magowie, tak powiadali ŝercy z Wieszczej Góry, to tyła ŝyją, ŝe dziesieç lat to dla takiego jak dla człowieka jeden księŝyc. MoŜe byç, ŝe dopiero teraz się na Shizzandrowe wezwanie stawiają.

– Jeszcze wam trzeba wiedzieç – podjął Gaca – ŝe kiedy starszy Cugiertu z rybakami poszli do zamku, to ksiãŝe nawet i gadaç z nimi nie chciał. Całkiem nie jak on, bo zazwyczaj kaŝdego uwaŝnie wysłucha, nie ŝeby co pomógł, ale przynajmniej uszanuje. A tym razem tylko się ŝachnął, jakby wszystko z dawna juŝ wiedział, i kazał gadaç z komesem.

– Więç moŜe i wszystko wie – dokończył Dejwas. – Wie, ŝe się wróg na niego zamierza, stãd ta ksiãŝeça zgryzota, o której na zamku gadają, i stãd to zjeŝdŝanie się gdzieŝ po nocy bogowie jedni wiedzą z kim i na jakie narady.

ŝegost wzruszył ramionami.

– Jeŝli nawet zgadujecie dobrze, nic to nie wyjaŝnia. Kto rybaków zabija i dlaczego akurat wtedy, jak księcia na wybrzeŝu nie ma?

– Kto zabija? Tyle jest morskich stworów, a juŝ na północy zwaŝcza. Kaŝdym z nich mogli się Shizzandrowi mściciele posłuŝyç. Mogli takiego przysłaç na przespīgi albo ŝeby strachu posiaç. A ŝe to coŝ boi się ruszyç, kiedy ksiãŝe w zamku, to nas nie dziwi. Wy, panie ŝegoŝcie, naszego księcia nie znacie, ale jak on weźmie w garŝ miecz, jak zbierze swoich rycerzy i siãdã do łodzi, byle kto ich nie pokona. To juŝ co innego niŝ bezbronnych rybaków napadaç.

Poryki idãce od strony paleniska zdãŝyły juŝ ŝegostowi spowszednieç na tyle, ŝe zapomniał o biesiadujãcych szanownych. Dopiero na wzmiankę Dejwasa popatrzył na nich ponownie, nie mogãc przy tym powstrzymaç uŝmiechu.

– Trudno w to uwierzyç – mruknãł.

Dejwas wydał się byç dotknięty tym powãtpiewaniem.

– Dlatego was pytãłmy, czy nikt na wybrzeŝu zaciãgów nie ogłaŝzał – podjął, puszczając jego słowa mimo uszu. – Bo jeŝli tak, to juŝ się wszystko robi jasne. Magowie, powiadał nam ŝerc, najchętniej ludziom szkodzą rękami innych ludzi. Podjudziç jednego władcę przeciw drugiemu, obiecaç mu czarnoksięskã pomoc, a tak swoje zrobiç, oto ich obyczaj.

– Toŝ i naszą księŝnã paniã ojczym sprzedał Shizzandrowi za wojenne przysługi – wtrãcił Ludała.

– Kiedyŝmy zobaczyli, ŝeŝcie wy, najemny ŝołnierz, tu na nasze odludzie przybyli, to i myŝleliśmy, ŝe juŝ teraz zagadka się wyjaŝni – dokończył starszy.

– Przykro mi, dobrzy ludzie. Wierzcie albo nie, nic mi o Śadnej wojnie ani zaciągach nie wiadomo. Nie dlatego tu jestem. Ale choćby nawet... – Z pochylonego nad kubkiem dzbanka pociekło ledwie kilka ostatnich kropel wina; Śegost, nie przerywając, zamachał ręką na Piątkę, uwijającego się akurat wokół stołu szanownych. – Choćby nawet i któreś z północnych księstw szykowało się na was, nic to nie wyjaśnia. Zresztą, niezbyt na to patrzy. Zamborg jest lennikiem estarońskiej korony, Śaden nadmorski władca nie waży się narażać na królewską pomstę.

– Pewniście, panie Śegoście? Jeśli kto nas tu napadnie złupić wybrzeże, spalić i wziąć pomstę za Shizzandra, myślicie, że sam estaroński król znajdzie chęć i czas naszą nędzę mścić?

– Nie waszą nędzę, panie starszy, tylko swoją zniewagę. Wybaczcie, ale na królewskich obyczajach to wy się nic nie znacie. Ale, jak mówię, choćby nawet, nic to nie wyjaśnia, dokąd tak książe podróżuje. Na radę z sojusznikami władca nie przyjeżdża samotrzeć. Musi mieć orszak jak należy, rękodajnych, oficerów. Kto by go inaczej szanował? Nie, gdziekolwiek tam wasz książe jeździ, nie dla narad...

– Ej, rybole! A wam co, dokąd książe jeździ? Co? Gdzie jeździ, tam jeździ, was nie zaprasza! I ciebie, ty, jak cię tam zwać, teś nie. Coś w ogóle za jeden?

Rybacy zmilkli natychmiast, omalże skulili się przy stole pod gniewnym spojrzeniem szanownego Rejmusa. Śegost przez chwilę mierzył się z nim wzrokiem.

– A ty coś za jeden, dobry człowieku, że pytasz? – powiedział wreszcie spokojnie.

Rejmus wziął się pod boki i rozejrzał po współtowarzyszach.

– Co ja jestem za jeden, słyszycie? – Biesiadnicy zarechotali gromko. – On się pyta, kto ja jestem. A nie widzisz no, że ja jestem u siebie, a ty nie? Podejdziesz no tutaj, ty... dobry człowieku – zakończył z przekąsem, ale bez złości.

– Idźcie, panie Śegoście. Idźcie – mruknął Dejwas prosząco. Tę samą prośbę dostrzegł Śegost w oczach karczmarza, który zastygł pośrodku izby z niesionym dla niego dzbankiem wina.

Śegost uniósł się niechętnie, pośegnał skinieniem głowy z rozmówcami i zabrawszy swój kubek, podszedł najpierw do Płatki, wyjął z jego rąk naczynie, po czym dopiero skierował się w stronę szanownego Rejmusa. Gruby rycerz ze złotym łańcuchem na szyi usunął się nieco na ławie, czyniąc miejsce.

– Piwa się napij, przybyszu – Rejmus z nagłą pijacką hojnością podsunął mu dzban.

Śegost podziękował, ale nie sięgnął po piwo. Nalał sobie wina i popatrzawszy w krąg po rycerzach, oznajmił:

– Zważ mnie Śegost.

– Śegost. Na rybaka nie wyglądasz, Śegoście – zauważył najgrubszy.

– Jestem Œolnierzem. – Ciągłë opowiadanie sië kaëdemu spotkanemu było jednë z najbardziej nuëających stron wëdrëwki, ale odmowë poczytano by we wszystkich okolicznych krajach za grubiaënstwo i dowëd złych intencji. – Sł&uësyłem jako kapitan własnego zaciëgu rotëy w orwaëńskich tarczownikach, ale tamtejszy ksiëszë zawarł z sąsiadami pokëój i rozpuëścił armię. Idë teraz zaoferowaë swe usłëgi ktëremuë z baronëw w krëlestwie. Ale nie spieszy mi sië, wiëc nie szukam najkrëtszej drogi.

– Cechowy najemnik, patrzcie no, w naszych stronach? Czołem, czołem szanownemu – wycedził nieco bełkotliwie Rejmus. – A tu oto, obok ciebie, zasiada waleczny Ingold z Otleru, dzierëśawca tutejszej wioski i trzech innych, równie zapyziaëłych dziur w okolicy. To zaś së Woyt i Szabah, obaj z ksiëszëcej druëŒyny.

Pierwszy rycerz Berghu nie wspomniëł o sobie, zostawiaëjąc prezentacëję swej szanownej osoby Ingoldowi, ktëry wywiëzał sië z zadania z wprawë wyëwiczonego dworskiego mëwcy.

– Czołem szanownym – skinëł głëwë śëgost i okazujëąc, Œë zna dobre maniery, wzniosł kubëk, po kolei wysuwajëąc go ku kaëdemu ze współbësiadnikëw, spoglëdajëąc mu przy tym w oczy, u jednych bardziej pijane, u innych mniej.

Wypili.

– Dziwne wszelako mają zaciëŒnicy obyczaje – oznajmił Ingold, ktëremu rozładowanie napiëtej przed chwilë atmosfery sprawiło wyraënë przyjemnoëć. – Pijesz, Œolnierzë, wino jak kupczyna z połëdnia, a nowin pytasz u rybakëw?

– Nie szukam nowin. Rybacy prosili o radë. Coë zabija ich wëspëtowarzyszy. Jesteëcie tutejsi, wiecie pewnie lepiej, co sië dzieje.

– Bajki – mruknëł jeden z mëłdszych druëŒynnikëw, chudy, ciemnowłësy, o najbardziej sennych i pijanych oczach. Jego towarzysz, blondyn o czerstwej, z natury wesołej twarzy, pokiwał energicznie głëwë.

– Bajdy – potwierdził Rejmus z naciskiem. – Przy pëłwyspie së wiry, pogoda u nas zmienna, pod wodë skały. Zawsze łëdzë ginëły, nie ma na to siły.

– Widziałem dzië trupa. Rany paskudne...

– Ba, rany! Starczy pëł dnia w wodzie, raczki morskie i inne paskudztwo tak potrafië trupa oskubaëć, Œë sië wydaje, jakby go nie wiem co rozdarło.

– Wiecie lepiej – zgodził sië śëgost. – Rybacy zawsze ginëli, jak to na morzu. Widocznie dopiero niedawno zaczęli to zauwaëać.

– Muerh beudy, muerh tauda – wyrecytował Ingold tonem bakaëlarza. – Tak to był wyëspiewaëł słëwny tutejszy bard: morze Œywi, morze uëmierca. Ksiëszë kazał sprawëę zbadaëć komesowi, wiëc wy sië juë moëŒecie o nië nie kłëpotëać. Nic mëdrzejszego nië on, z caëłym szacunkiem, nie wymyëlicie.

– I lepiej nie próbujcie, jeśliście na tyle mądrzy, by posłuchać dobrej rady – dodał Rejmus tonem wskazującym, że ten wątek rozmowy należy uznać za definitywnie zakończony.

Nie byli mu wrodozy i nie szukali zwady. Po prostu pili. Powinien był przyjąć to do wiadomości, przestać myśleć już o trupie na plaży i zagadce, jaka się z nim wiązała. A w każdym razie przestać o tym mówić. Wojacy chętnie posłuchaliby o orwańskiej piechocie i konnicy, o granicznej służbie. Jeszcze chętniej sami poopowiadaliby mu nowiny z okolicy. Nie trzeba było obserwować szanownego Rejmusa długo, by zauważyć, że należy do ludzi, którym sam kufel do szczęścia nie starcza, potrzebują jeszcze publiczności. Jego krzykliwy towarzysz sprawiał podobne wrażenie. Zapewne też nieczęsto trafiał im się do picia kompan ze stron dalszych niż pobliskie warownie.

Śegost nie musiał odrzucać tej gotowości i pewnie innego dnia nie zrobiłby tego. Posiedziałby z szanownymi przy stole do późnego wieczora i rozstał w przyjaźni, to, co myślał, zachowując dla siebie.

– A kto ma tego próbować? – rzekł. – Książę ma swoje tajemne sprawy, a szanowni wolą osuszać dzban niż nadstawić karku w pogoni za morskim potworem. Cóż się dziwić rybakom, że szukają rady u przejezdnego żołnierza?

Znowu zapadła cisza.

– Popatrzcie – Rejmus zwrócił się do współtowarzyszy. – Co o mnie wygadują te lizusy u dworu? Śem awanturny opój, czyś nie, Ingoldzie?

– Szanowni, szanowni, dajmy spokój. – Ingold rozłożył pojednawczo ręce. – Nasz gość nie zna po prostu...

– Śem awanturny opój! – Rejmus podniósł głos i rycerz w złotym łańcuchu nie próbował się z nim przekrzykiwać. – A zobaczcie. Czy ja dzisiaj piłem?

– Piłeś – potwierdzili obaj młodszy, przy czym blondyn nie wiadomo dlaczego plasnął radośnie dłonią o stół.

– Piłem. I co by zrobił awanturny opój, kiedy po całym dniu picia słyszy, jak jakiś wędrowny wojak obraża jego i jego przyjaciół? Co by zrobił? – Zawiesił na długą chwilę głos. – A ja co robię? Patrzcie!

Szanowny Rejmus ujął w dłoń wielki kufel i trzymając go przed sobą, z teatralnie groźną miną pochylił się nad stołem do Śegosta, aś przybysza owionął cięski od nieprzetrawionego piwa oddech rycerza.

– Ja mu tłumaczę jak staremu przyjacielowi: nie wtrącaj się w nie swoje sprawy. Nic ci do tych rybaków, nic ci do naszego dzbana, a już zwłaszcza, powtarzam, zwłaszcza nic ci do sekretnych spraw naszego księcia pana. Napij się piwa albo tego tam swojego cienkusa, raduj człowiecze zmysły i nie dbaj o więcej.

Wygłosiwszy tę mowę, wyprostował się i patrząc w oczy Śegostowi, uniósł naczynie do ust. Śegost chcąc nie chcąc musiał zrobić to samo.

Wypili wszyscy.

– Święta racja, dobry człowieku – oznajmił Śegost, ocierając usta. – Nic mi do spraw waszego księcia. A jeszcze mniej do tego, jak się w nich dzielnie sprawują jego znani w całym księstwie rycerze.

Można było odnieść wrażenie, że mimo buzującego na palenisku ognia przy stole zrobiło się chłodniej. Śegost właściwie nie miał zamiaru powiedzieć tych słów. Pomyślały mu się same chwilę wcześniej, przed przemową Rejmusa, i przeczekawszy ją gdzieś na skraju pamięci, jakimś sobie znanym sposobem znalazły nagle drogę na język.

Gdyby szanowny Rejmus nie wypił wcześniej tyle piwa, być może udałoby mu się Śegosta zaskoczyć. Z pozoru zachował niewzruszoną twarz. Musiało go zdradzić coś nieuchwytnego, może drgnienie powieki, może minimalny, niezauważalny ruch dłoni. Śegost nie umiałby tego powiedzieć. Uchylił się odruchowo, niemal kładąc się na ramieniu Ingolda, który właśnie zaczął przywoływać jakąś kolejną starą sentencję. Piwo z Rejmusowego kufła chlusnęło mu obok twarzy, tylko kilka bryzgów wylądowało na kaftanie. Zaraz potem wystrzeliła w jego stronę ręka rycerza.

Śegost miękko odchylił się na ławie do tyłu, tak że przez moment jego plecy zawisły poziomo nad ziemią; palce szanownego, stojącego już i wyciągniętego nad stołem, prawie sięgnęły jego twarzy, ale zaraz Rejmus zmuszony był cofnąć się i wyprostować, by nie utracić równowagi.

Śegost, zaparłszy kolana o stół, poderwał się w tej samej chwili na równe nogi i porwawszy z blatu dzban z winem, obrócił go w dłoni, po czym z całym impetem wyrzucił szanownego w okoloną rudawym włosem łysinę.

Wbrew jego spodziewaniu Rejmus nie padł po ciosie. W pierwszym momencie ledwie nań zareagował, zamrugał tylko oczami i potrząsnął głową; wreszcie, po dobrej sekundzie, która wydawała się niezwykle długa, usiadł ciężko na ławie, jakby zdumiony, że przybysz mógł się ważyć na coś równie świętokradczego.

Ta chwila, podczas której pozostali szanowni wydawali się równie osłupieni, pozwoliła Śegostowi wyplątać nogi zza ławy.

– Szanowni, szanowni! – zapał nerwowo Ingold. – Co wy ro...

Jasnowłosy Woyt, najtrzeźwiejszy chyba z całego towarzystwa, błyskawicznym zamachem rzucił ciężkim kuflem, który gwizdnął o włos od głowy Śegosta i roztrzaskał się o obmurowanie paleniska.

– Uspokójcie się! Co robi... – wrzask Ingolda zmieszał się z krzykiem nadbiegającego Płatki, ale obydwu zagłuszył szanowny Rejmus. Wciąż jeszcze otrząsał

się ze zdumienia, ocierając twarz zalaną winem i krwią z rozciętego brzegiem glinianej skorupy czoła, aŜ wreszcie podskoczył na równe nogi, rycząc do młodych druŜynników:

– Woyt, Szabah! Ubić mi to Őcierwo!

Ŝegost rzucił się w stronę drzwi. Tak nakazywał rozsądek: wypaść na otwartą przestrzeń, na podwórze, gdzie szybkość i zwinność ruchów zniweluje liczebną przewagę ocięŜałych po przepiciu przeciwników. Ale na drodze do drzwi stanął mu Woyt, który po rzucie kuflem, nie czekając na komendę Rejmusa, oparł się dłonią o blat i jednym skokiem przesadził stół, strącając zeń przy okazji gliniane dzbany i misy, po czym błyskawicznie wyszarpnął z pochwy przy pasie nóż. Długi na ponad łokieć, wąski nóż królewskich łuczników, często uŜywany w tych okolicach przez piechotę – równie zdatny do walki na pokładzie łodzi, jak do Őgnięcia w brzuch atakującego wierzchowca. JeŜli jasnowłosy druŜynnik miał odrobinę wprawy w posługiwaniu się tym narzędziem, mógł mimo całej sprawności Őgosta nadziać go na Őelastwo niczym prosiaka na roŜen.

W otwartych drzwiach gospody zamigotało Őwiatło płonącej przed wejściem latarni; to wymykali się z izby przeraŜeni rybacy. Őegost, juŜ rozpędzony do biegu, uskoczył za drewniany słup obwieszony rybackim ekwipunkiem. Miał jeszcze szansę przeŐlizgnąć się miêdzy stołami a Őcianą, poza zasięgiem sztyletu blondyna, i dopaść otwartych drzwi.

Miał tę szansę tylko przez chwilę, zanim Ingold, zaniechawszy beznadziejnych prób zaŐegnania bójki, postąpił dwa kroki w stronę Őrodka izby. Gdyby Őegost teraz spróbował sięgnąć Őiany, miałby go w krytycznym momencie za plecami. Bez wátpienia naleŜało zaryzykować – Ingold, najbardziej z całej czwórki niechętny bójce, moŜe nie wykorzystałby tej okazji, aby palnąć go czymkolwiek w potylicę. Őegost nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Odskoczył odruchowo. Błąd – szansa na wydostanie się z gospody znikła. Przewracając za sobą jeden z wielkich stołów poŐrodku izby, tak aby stworzyć przeszkodę na wypadek ataku blondyna, Őegost rzucił się ku miejscu, gdzie zostawił wcześniej swe podróŜne sakwy i jedyną pamiątkę, jaką zabrał sobie z orwańskiej słuŜby – lekki oficerski szponton na krótkim drzewcu, sięgającym od ziemi do ramienia.

Rycerze uzbroili się takŜe. Szanowny Rejmus, wydostawszy się z za stołu, dobył z opartej pod Őcianą pochwy długi, szeroki miecz piechura – broń w bitwie zabójczą, choć tu akurat, w ciasnej izbie, niezbyt poręczną. Podobny miecz, niewiele mniejszy, pojawił się w rękach Ingolda. Woyt pozostał przy swoim noŜu, natomiast Szabah trzymał teraz krótki tasak, najpewniej zdobyczny, gdyŜ zwykle uŜywali takich marynarze z wysp.

Ignorując błagania Płatki, rycerze powoli obchodzili półkolem Őgosta, odpychając na boki stoły i ławy. Osaczony zdołał tylko zerwać ze Őiany zdobiącą ją starą sieć. Ujął ją poŐrodku lewą dłonią; wleczone po ziemi pływaki i małe ołowiane kręŜle

zagrzechotały na polepie.

Mógł jeszcze spróbować przebić się do szynkwasu, ale wątpił, by wiodło tamtędy jakiegokolwiek przejście na podwórze. Zresztą po chwili tę drogę zagrodzili Rejmus z chudzielcem. Dwaj pozostali zachodzili go od strony drzwi. Jednych od drugich oddzielał drewniany słup.

Ale Śegost przestał myśleć o ucieczce nie tylko dlatego. Zbliżająca się walka podnieciła go, jak to się dzieje z każdym prawdziwym żołnierzem. Ciało ożyło i nabrało lekkości, zniknął gdzieś męczący go przez cały wieczór smutek, myśli popędziły rażno. Miał ochotę zaśmiać się głośno, wywijając bronią.

Powinien, nie dając przeciwnikom czasu, uderzyć albo na Ingolda, albo na Rejmusa. Wybrał tego drugiego, bo wyglądał na doprowadzonego do największej wściekłości, w jakiej łatwo popełnia się błędy. Nadto flankujący Rejmusa chudzielec wydawał się mniej groźny od blondyna. Śegost wiedział, co wprawny człowiek może zdziałać w walce łuczniczym nosem, i nie kwapił się sprawdzać, czy drużynnik też to wie.

Rejmus nie dał się zaskoczyć, sparował pierwszy atak i zamiast kontratakować, rozsądnie ustąpił o krok, odbierając Śegostowi szansę na wyprowadzenie nagłego ciosu nasadą szpontonu w grdykę. Sam z kolei uderzył z trzech czwartych, bez specjalnej finezji, ale bardzo mocno i szybko. Śegost uskoczył, natarł na chudzielca, jednocześnie licząc, że zdoła rzutem zwiniętej sieci związać miecz Rejmusa na chwilę potrzebną, by przedrzeć się pomiędzy brodatym rycerzem a Szabahem na środek izby. Ale Rejmus, choć sapał z wściekłości, śledził uważnie jego lewą rękę i usuwał się w porę, nie dając Śegostowi szans na zaskoczenie. Chudy zaś sparował i odwrócił atak na tyle sprawnie, iż Śegostowi nie pozostało nic innego niż użyć sieci tak, jak planował od początku, rzucając ją w twarz Rejmusa. Tylko że teraz nie dawało mu to nic; nawet gdyby szanowny nie uchylił się, Śegost nie mógł sobie pozwolić na pójście za ciosem. Wracając na pozycję wyjściową, uchwycił drzewce szpontonu oburącz przed sobą i zawinął nim w szybkim młyńcu. Zaraz potem wyskoczył w drugą stronę, wymieniając dwa szybkie ciosy i zasłony z Ingoldem, ale i ten wypadek nie dał szansy na przedarcie się przez atakujących. Woyt nie kwapił się nacierać, szachując Śegosta od prawej strony trzymanym w pogotowiu do nagłego ciosu ostrzem.

Byli pijani, lecz – co rzadko zdarza się walczącym po dłuższym pijaństwie – brali ten fakt pod uwagę. Obracając szpontonem jak włócznią, mógł trzymać ich na dystans, ale dopóki pilnowali linii, każda próba wyeliminowania jednego z przeciwników wystawiała go na cios pozostałych. Zdawali sobie z tego sprawę; nie wrywali się do gwałtownych pojedynków, nawet Rejmus, zmuszony co i rusz ścierać z czoła płynącą wąskim strumykiem krew. Śegost za to musiał stale obracać bronią i atakować to jedną, to drugą

dwójkę, wiedząc, że jeśli zepchną go jeszcze kilka kroków w stronę ściany, tak by mieć słup za plecami, wpadnie naprawdę w poważne kłopoty.

Z drugiej strony już w kilku złośnieniach zdołał pokazać przeciwnikom, że potrafi wykorzystać przewagę drzewcowej broni i że nie mają co liczyć, by zahaczył nią o powalę. Gdyby nie osłaniali się wzajemnie, już byłby ze swym szpontonem górą.

Zaryzykował w końcu silniejszy atak na Ingolda i niemal natychmiast Woyt skoczył w jego stronę, wyprowadzając piękne głębokie pchnięcie w odsłonięty bok. Śegost uskoczył w porę, ostrze minęło go o kilka cali; o przedarciu się w taki sposób nie było co marzyć. Ledwie zdążył z kolei powstrzymać nieuchronny atak chudzielca i Rejmusa.

I raz jeszcze – zamach i cios w lewo, zasłona, młyniec, zmiana nogi, wykrok, cios i błyskawiczna parada w przeciwnym kierunku.

Uświadomił sobie, że przeszarżował – przeciwnicy byli zbyt wprawni w swoim rzemiośle, by na zamkniętej przestrzeni mógł dać radę całej czwórce. Jeśli nie popełni błędu, straci w końcu siły. Zmuszony był wciąż pozostawać w ruchu, podczas gdy oni, nie przemęczając się, stali półkolem, mając za plecami tylko biegającego w tę i w tę i zasypującego ich błaganiami o zaniechanie walki szynkarza. Będzie musiał zatrzymać się choć na chwilę, nabrać oddechu, a wtedy jedna albo druga dwójka posunie się naprzód i zepchnie go z tego bezcennego, rozstrzygającego o wszystkim kawałka podłogi.

Uderzenie w lewo nie rokowało nadziei, w prawo nie miało sensu. Postanowił natrzeć na Szabaha, zepchnąć go choć na moment w stronę Rejmusa i gwałtownym piruetem prześlizgnąć się między nimi a słupem.

Zamysł był ryzykowny; choćby nie wiadomo jak szybko się obrócił, przez długą chwilę będzie wystawiony na cios Ingolda. Nawet jeśli dla zwiększenia swych szans zamarkuje najpierw atak właśnie na niego, by skłonić rycerza do cofnięcia się choć o krok. Czy Ingold skorzysta z okazji, aby uderzyć w plecy – nie wiedział. Rejmus, wydawało mu się, nie wahałby się, dwaj młodzi zapewne też. Jak zachowa się Ingold, miał się zaraz dowiedzieć.

Nie dowiedział się. W czasie gdy przenosił ciężar ciała na lewą nogę, by zaskoczyć Ingolda szybką fintą, cała czwórka szanownych nagle w tej samej sekundzie zatrzymała się w pół ruchu, a potem cofnęła, opuszczając broń. Odruchowo zrobił to samo.

Dopiero chwilę później uświadomił sobie, że przyczyną tego było ciche, prawie półgłosem, ale bardzo stanowczo wypowiedziane:

– Spokój tam.

Opuścił szponton, uświadamiając sobie, że oddycha ciężko i że jest zlany potem. Przeciwnicy rozstąpili się, dwaj młodszy podnieśli broń w wojskowym pozdrowieniu,

Rejmus i Ingold zaś po rycersku unieśli na wysokość piersi prawe dłonie, obracając je wnętrzem w stronę człowieka, którego słowa przerwały walkę.

Od drzwi zbliżał się ten, o którym przed dziesięciu laty śpiewano w całym królestwie pieśni wyciskające z oczu dworskich dam łzy wzruszenia. Był wyższy od Rejmusa i wszystkich pozostałych, ciemnowłosy, odziany bez przepychu, w obrzeżony futrem myśliwski płaszcz, spod którego wystawał kaftan z dobrego sukna. Przy boku miał miecz, raczej od parady, niewiele dłuższy od łuczniczego noża, o rękojeści, w której iskrzył się w blasku płomieni wielki czerwony kamień. Jeśli nie liczyć srebrnej, prostej klamry pasa, był to jedyny klejnot w stroju księcia. O kilka kroków za Zamborgiem szedł milczący przyboczny z dłonią na rękojeści miecza. Dalej, u wejścia, tłoczyła się grupa rybaków.

Zamborg zbliżył się niespiesznym krokiem, odpowiadając na pozdrowienia lekkim skinieniem głowy. Przez długą chwilę przyglądał się spod zmarszczonych brwi swoim drużynnikom, potem przeniósł wzrok na Ingolda, Śegosta, wreszcie na Rejmusa. Widząc ranę na jego czole, skrzywił twarz w fałszywym, przesadnym wyrazie współczucia.

– Na morskich bogów, a coś to ci się stało w głowę, mój najlepszy druhu? Chyba nie zahaczyłeś nią o powalę, co?

Rejmus zagryzł ze złością wargi, sięgnął dłonią czoła, a potem zbliżył ją do oczu.

– No patrzcie, a to ci dopiero... – rzekł. – Nawet nie wiem. Musiałem się skaleczyć.

– Musiałeś się skaleczyć – potwierdził książę. – Jakśby inaczej? Po prawdzie wyglądasz całkiem, jakby cię kto palnął w łeb kuflem. Ale nie, nie uwierzę nigdy... Któżby śmiał i zdołał zrobić coś takiego szanownemu Rejmusowi, pierwszemu z moich rycerzy?

Książę przeniósł wzrok na milczącego Śegosta. Nie, mina Zamborga zdecydowanie nie wskazywała, żeby rozbicie głowy jego najlepszemu druhowi sprawiło księciu przykrość czy przejęło go oburzeniem.

Trwało to tylko przez mgnienie oka. Zamborg przestał się uśmiechać, odwrócił się do chudzielca i innym zupełnie, ostrym tonem wyrzucił z siebie:

– Szabah, co tu się działo?

Młody drużennik rozejrzał się rozpaczliwie, szukając wzrokiem pomocy u przyjaciół.

– Ot tak, chcieliśmy sobie z przyjacielem Śołnierzem pokazać, co kto umie – powiedział Ingold. – Takie śarty, książę panie. Wiemy, że niestosowne, no ale tak jakoś... Dopyszamy się przebaczenia.

Zamborg zdawał się tego wszystkiego nie słyszeć.

– Czemu nie w słuźbie? – spytał tym samym srogim tonem drużenników. – Zord was

zwolnił?

– Zwolnił, ksiąŜę pa...

– Ostatni raz to zrobił, juŜ ja dopilnuję. Chwili spokoju nie ma, jak z ostatnimi... Zbierać się, wracacie ze mną. – Teraz, nie czekając, aŜ młodzi wojownicy opuszczą izbę, odwrócił się do Ingolda i Rejmusa: – Wam teŜ, druhowie, dobrze by juŜ zrobiło pójść na spoczynek. Poćwiczyliście sobie, pochwaliliście się, jak który umie bronią obrócić, i wystarczy. Następnym razem ćwiczcie gdzieś w polu, a nie w karczmie. Nastraszyliście prostych ludzi, biedacy, całkiem opacznie was zrozumieli, a przecieŜ nie chcecie chyba przyczyniać im zgorzenia. Nie zawsze będę przejeŜdżał w pobliŜu.

Książę mówił szybko, zdecydowanie i jakby ze szczególną wzgardą, zdawało się – nie dla rozmówcy jako konkretnej osoby, ale dla całego świata, którego rozmówca stanowił część. Znać było, Őe na swoje słowa nie oczekuje Őadnej odpowiedzi, wręcz nie dopuszcza myśli, Őe ktoś śmiałby się odezwać, zamiast skłonić głowę i wykonać polecenie.

– No, a teraz ty. – Podeszedł do Őegosta. – Coś za jeden?

Sam nie wiedział który to juŜ raz tego dnia Őegost opowiedział, kim jest i co robi w księstwie Berghu.

Zamborg starał się nie pokazać po sobie zainteresowania; zdradził go ledwie uchwytne błysk oczu, gdy lustrował Őegosta od stóp do głów.

– Płatka, a masz to samo wino co dawniej? – rzucił przez ramię. – Podaj no, skoro juŜ się tak złoŜyło, Őe tu jestem. A ty, Őołnierzu, odłóŜŐe ten drag.

– Zaszczyt dla mnie, ksiąŜę panie – sapał szynkarz, podając wydobyty z jakiejś najgłębszej skrzyni szklany kielich.

Zamborg upił, skinął aprobująco głową ku wielkiej radości Płatki, choć gest ten wydał się nieszczerzy, po czym dał Őegostowi wzrokiem znak, by szedł za nim. Nie miał jednak zamiaru siadać. Zatrzymał się po przeciwnej stronie izby, opodał paleniska. Intencja księcia była wyraźna i nikt nie próbował się do nich zbliŜyć, nawet gdyby nie pilnował tego przyboczny Zamborga.

– KtóŜ taki ogłosił zaciągi, do kogo droga wypada przez moje ziemie? – spytał ksiąŜę.

– Nie szukam zaciągu...

– Aha. Tak sobie po prostu wędrujecie, bez konkretnego celu? – Zamborg miał zwyczaj przerywać rozmówcy, gdy tylko uznał, Őe usłyszał juŜ to, co go interesuje. Gdy mówił sam, wyrzucał z siebie słowa w taki sposób, jakby bardzo się śpieszył albo był bez reszty zaaferowany czym innym, czy moŜe wręcz zaniepokojony. W kaŜdym razie: jakby chciał jak najszybciej załatwić, co było do załatwienia, i kończyć rozmowę. WraŜenie

takie było tym silniejsze, Œe ksiąŜe, raz obejrzawszy sobie rozmówcę, więcej prawie na niego nie spoglądał, wbiwszy wzrok w jakiś trudny do uchwycenia odległy punkt, tak jak zawiesza się na czymś oczy w chwili zamyślenia. Na twarzy widać było skupienie. Kiedyś zapewne była to twarz pełna zdecydowania i wyniosła, teraz zepsuły ją początki otyłości, która zatapiała w sobie rysy, tak Œe zacięte usta wydawały się za małe w stosunku do policzków i podbródka. Lata, które w Œyciu męŒczyzny są najlepsze, miały się u Zamborga ku końcowi. Œegost mimowolnie pomyślał, Œe jeśli dane mu będzie spotkać księcia za dziesięć, pięć zim, ujrzy łysiejącego grubasa, podobnego bardziej do szanownego Rejmusa niŜ do bohatera pieśni.

– MoŜe nie zabrzmi to przekonująco, ale to właśnie prawda. Wędruję. Taki juŜ mój los, wiecznie wędrować, i zawsze bez konkretnego celu.

Zamborg upił długi łyk wina i smakował je jakiś czas.

– Rozumiem zatem – odezwał się wreszcie, wciąż patrząc gdzieś w bok – Œe szybko zbierzesz swoje rzeczy i powędrujesz dalej, poza granice mego księstwa. W miarę moŜliwości jeszcze przed jutrzejszym wieczorem.

– To ksiąŜęcy rozkaz?

– Nie, to ksiąŜęca rada: poniechaj tego, po co tu przybyłeś, i idź dalej. Uznaj ją za spłatę skromnego długu, jaki mam u ciebie za rozwalenie łba memu szanownemu druhowi. – Zaśmiał się nagle. – Myślą, dranie, Œe nie wiem, o czym to najmilej im dowcipkować przy kielichu i jak... Uznaj, Œe zyskałeś sobie moją Œyczliwość, i zbieraj się razem z nią w swoją stronę. To wszystko.

– Doprawdy, cóŜ za miły kraj. Wszyscy są tutaj tak Œyczliwi wędrowcowi, Œe jeden przez drugiego spieszą doń z dobrą radą. I wszyscy z tą samą: Œeby nic nie widział, nic nie słyszał, a najlepiej co ducha się wynosił. – Œegost starał się nie poddać ogarniającej go nagle złości. – Jeszcze się nawet nie zdąŜyłem w waszych włościach porządnie napić, ksiąŜe panie. Zdołałem sobie tylko obejrzeć trupa, którego morze wyrzuciło dziś na brzeg, a o którym co wspomnę, to słyszę dobre rady. A gdybym tak przypadkiem znalazł tu chętnego do wzięcia mnie na słuŜbę? Co wtedy będzie?

Zamborg wreszcie przeniósł spojrzenie na rozmówcę. Jego twarz nie wyrażała niczego, jakby Œegost całkiem mu zobojętniał.

– Nic nie będzie. Jesteś, jak zgaduję, wpisany do królewskiego cechu? Więc znasz swoje Œołnierskie prawa i musisz znać moje jako suwerena tego kraju. Nie wolno ci tu brać Œadnego zaciągu bez mojej wiedzy. A skoro, jak powiadasz, nie masz słuŜby i nie szukasz jej, nie widzę Œadnego powodu, byś tu pozostawał. Rób, przybyszu, co uważasz.

Nie wykonał najdrobniejszego gestu, który moŜna by uznać za poŒegnanie. Po prostu dopił wino i odstawiając po drodze kielich na jeden ze stołów, ruszył ku drzwiom. Za

nim, rzuciwszy obok kielicha drobną monetę, podążył milczący przyboczny. Obaj szanowni musieli zrobić to samo już wcześniej. Śegost uświadomił sobie, że w izbie pozostali tylko: on sam, szynkarz i kilku rybaków, wraz z Dejwasem trzymających się na uboczu.

Usiadł ciężko na ławie, nagle ogarnięty zmęczeniem i nieprzepartą potrzebą, by przeplukać zaschnięte gardło.

Płatka odgadł jego stan bez trudu. Schowawszy troskliwie kielich i zapłatek, wrócił z nowym dzbankiem. Śegost chciwie zanurzył wargi w napitku.

– No cóż – zaczął wreszcie. – Narobiliśmy wam, karczmarzu, wraz z szanownym Rejmusem szkód. Zapłatek, nie kłopotcie się.

Szynkarz machnął lekceważąco ręką.

– Jakie tam szkody, dajcie spokój. Dwa dzbany, kufel i parę kubków. Więcej by szanowni sami wyflukli, gdyby ich księżę pan nie przegnał.

– Tacy oni awanturni?

– Śeby awanturni, to nie. Pierwszy raz się zdarzyło. Ale jak sobie podochocą, to tracą miarę. Nie ze złości, tylko tak... Zwłaszcza szanowny Rejmus. Pod ścianę naszcza, bo to, mówi, nie będzie na zimno wychodził. Albo znowu... – Płatka machnął ręką, rezygnując z dalszych szczegółów.

– Wielce szanowany rycerz – mruknął Śegost. – Zaszczyt takiego u siebie gościć.

– Nie myślcie, że się skarzę. Zresztą szanowny Ingold zawsze potem hojnie za wszystko płaci. Tak sobie myślę, tyle już lat księżę pan nie dał szanownym śadnej okazji do wojaczki, nawet na turnieje ich nie posyła, to i cóż...

– Kto wie, może im się znowu okazja do wojaczki trafić, szybciej niż się kto spodziewa – mruknął Śegost.

Płatka uniósł czujnie głowę i wbił w Śegosta pytające spojrzenie.

– Późno już – ziewnął Śegost, ale nie wypadło to naturalnie. – Pójdę do szopy, jutro się rozliczymy. Dobrej nocy, gospodarzu.

Wyszedł z izby odprowadzany spojrzeniami rybaków, zanim Dejwas i jego towarzysze zechcieliby wrócić do przerwanej rozmowy. Nie miał nic konkretnego na myśli, mówiąc to ostatnie zdanie, ot, powiedziało się i tyle. Wiedział, że rybacy będą teraz roztrząsać jego słowa do najciemniejszej godziny, gubiąc się w domysłach, o czym to sam księżę był łaskaw rozmawiać z wędrownym najemnikiem na osobności.

Noc była chłodna i wietrzna, ale jasna, skąpana w księżycowym blasku. Śegost zatrzymał się u wejścia do szopy i po namyśle ominął ją, przecinając podwórze, przemierzył wąski pas trawy za domem i zszedł po piaszczystej skarpie wprost na plażę. Nie musiał długo maszerować, zapadając się w kopnym piachu, żeby dojść do przystani.

Pomiędzy brzegiem a wysoczyzną gęsto było od długich stojaków do suszenia sieci, zbitych byle jak, niczym koszary na pastwisku. Minał suszące się na tykach włóki i nie dochodząc do spoczywających na piasku łodzi, przysiadł na podstawie wielkiego drewnianego kieratu do ich wyciągania. Usiadł wygodnie, otulając się szczelniej kurtką przed chłodnym wiatrem.

Morze szumiało jednostajnie, potężnie; toczące się w stronę brzegu fale w księżycowym świetle wyglądały jak góry płynnego ołowiu zwieńczone srebrem. Jedna za drugą waliły się na brzeg i z sykiem rozplywały po nim, wsiąkając w piach. Drewniane bale kieratu, zarysy łodzi i sprzętów stały się w tym świetle smolistoczarne, jego własne ręce ciemnogrnatowe.

Właśnie tu, nieopodal, rybacy znaleźli rano wyrzucone przez morze ciało.

Śegost oparł łokcie na kolanach i chłonał śpiew morza, wpatrzony w tajemniczą, nieskończoną potęgę przed sobą. Zastanawiał się przez chwilę, jak skończyłaby się bójka w karczmie, gdyby uciekający z izby rybacy nie spotkali akurat na gościńcu powracającego księcia, i jakie zrobił w niej błędy; potem jego myśli pobiegły ku szanownemu Rejmusowi, ku Śmigielowi z Cugierty, ku zagadkowym zdarzeniom, o których opowiadał Dejwas, znowu ku Śmigielowi, ku Shizzandrowi – a wreszcie skupiły się na zamierzchłej wyprawie Zamborga ku wyspom najdalszej północy, wyprawie, z której książe Berghu przywiózł sławę i piękną, umiłowaną Sonę. Myślał o skutych lodem odległych wyspach, gdzie od wielu ludzkich pokoleń żyli czarnoksiężnicy, o rycerzach walczących w mroźnych kryształowych salach, o śmiechu pokonanego maga. O śmierci. O zemście.

I, sam nie wiedział dlaczego, o miłości.

Rozmyślał tak, zatopiony w bezkresie morza i kołysany szumem fal, coraz bardziej spokojny i odprężony, zapominając z wolna o dręczącej go od rana i szukającej ujścia złości – a wreszcie, nie zauważywszy kiedy, zapadł w sen.

Rozdział 2

Pierwsi rybacy, ci, którzy szli po węgorza, zaczęli pojawiać się na przystani jeszcze przed brzaskiem. Przynosili ze sobą prymitywne harpuny, nazywane tu bodarzami – długie, niewywaśane tyki, zakończone rozwidleniem, pośrodku którego tkwił metalowy zadziór rozklepany w kształt grotu. Nie budzili śpiącego przybysza, nie komentowali jego dziwnych obyczajów; zajmowali się swoimi sprawami, mało rozmawiając. Śegost patrzył spod półprzymkniętych powiek, jak w resztkach księżykowego blasku, pomagając jedni drugim, spychali na fale małe, pękate baty. Ci, którzy już się z tym uporali, zapalali na dziobie pochodnię i wiosłowali, każdy bat w swoją stronę.

Potem na jakiś czas wróciła cisza, tylko morze szumiało wciąż na tę samą, wieczną nutę. Niebo nad horyzontem jaśniało z wolna, dojrzywało niczym brzemienny światłem owoc; w końcu pękło i u samego szwu z krawędzią morza rozlał się po wodzie złotoczerwony blask, z którego szybko podnosiło się słońce.

Śegost otulił się szczelnie opończą i czekał.

Na przystań zaczęli się schodzić ludzie. Zbierali ze stojaków wiklinowe kosze, bosaki, pęki powrozów i szapory, ładując je do łodzi. Teraz przyszedł czas na większe od przybrześnych batów zugi, z półpokładem, mieczami i zagrodzonymi w tylnej części kadłuba sadzami na złowione ryby – trzeba było po kilkunastu rybaków do zepchnięcia każdej z nich na wodę.

Zugi płynęły wybierać połów z zastawionych na łowiskach węcierzy, sprawdzać ich stan, w razie potrzeby dokonywać napraw lub wymiany uszkodzonych sieci. Nie było z tym takiego pośpiechu jak z połowem bodarzami, do którego trzeba zaskoczyć rybę odrętwiąłą, o świcie. Toteż nim ostatnie zugi znalazły się na wodzie, zaczęli już wracać ci, którzy szukali węgorza na bliższych wioski toniach.

Rybacy rozmawiali po swojemu, mową zarazem podobną i niepodobną do używanej w królestwie. Śegostowi zdawało się, że rozumie większość słów, ale nie był tego do końca pewien. Znużony bezczynnością i chcąc odpędzić poranne dreszcze, podniósł się i zaczął przechadzać po przystani. Miejscowi odpowiadali na jego pozdrowienia, ale nie zaczęli rozmowy. Jak w tarańskiej tawernie, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

W miarę jak słońce wznosiło się i wypędzało z ciała poranny chłód i odrętwienie, nabierał intensywności przenikający wszystko wokół morski zapach. Niepowtarzalny zapach, który w pierwszej chwili mógł się wydawać po prostu smrodem wilgotnej zgnilizny.

Rybacy najpewniej nie zauważali go w ogóle; Śegostowi wydawał się teraz, o poranku, niemalże przyjemny, pełen morskiej soli i świeżości obmytego w morzu

słońca.

Zaszedł znowu w to samo miejsce, gdzie poprzedniego dnia leżał trup. Nie pozostało już po nim najmniejszego śladu, woda opłukała niezliczoną ilość razy każde ziarnko piasku. W Cugiercie zapłonnie tego wieczoru skromny pogrzebowy stos, sprowadzeni Sercy zaopatrzą zmarłego na ostatnią podróż. Morze Śywi, morze uśmierca, jak raczył powiedzieć czy zacytować szanowny Ingold. Pozostała tylko zagadka.

A może naprawdę nie było żadnej zagadki, myślał Śegost, wpatrzony w rozplywające się u jego stóp fale. Może nie było żadnego tajemniczego potwora na zatoce, żadnej Shizzandrowej zemsty. Po prostu rybak utonął, jak często bywa, a morskie stworzenia oporządziły unoszone falami zwłoki, stwarzając pozór tajemniczych, oddziałujących na wyobraźnię ran. Zbrodnia dokonana przez kogoś na Sonie i dzieciach jednego z rybaków nie miała z tym nic wspólnego, a resztę zrobiły plotki i domysły, snute wieczorem przy kuflu.

Skłonniejszy byłby w to wierzyć, gdyby nie wczorajsza bójka i rozmowa z księciem.

Nie oddalił się zbyt od przystani, wciąż była w zasięgu wzroku. Zawrócił już, gdy dostrzegł zmierzającego ku niemu Dejwasa.

– Jak w Taranie, mości starszy – powitał go, wiedząc, że rybak nie mógł nigdy słyszeć o tarańskich obyczajach. Wyjaśnił, że grzeczność wymaga w tej południowej krainie przede wszystkim, aby się gościowi nie narzucać; mogłeś chodzić, gdzie chciałeś, albo siedzieć w tawernie cały dzień i póki nie odezwałeś się pierwszy, nikt cię nie zauważał, jakbyś był duchem. Niektórych to gniewało; Śegostowi ten zwyczaj odpowiadał. Ale Dejwas nie chciał o tym rozmawiać.

– Wiem, że nie rybak – zaczął z powagą, którą, zdaje się, przywykł demonstrować jako znak swego starszeństwa – ale może się na tym co znacie...

– Trochę się znam. Na jeziorach sporo swego czasu łowiłem, na rzekach.

– Włókiem?

– Włókiem, mancą... Z bodarzem też się zdarzało chodzić.

– Z brzegu czy z łodzi?

– Umiem z brzegu, umiem i z łodzi. Ale z brzegu nie o tej porze roku, a z łodzi nie o tej porze dnia.

– Tak... Bywały z was człowiek, panie Śegoście, od razu to wiedziałem. Co to laskom i jak się nim porządzić, też, rozumiem z tego, że wiecie?

Śegost przytaknął. Laskornu, ogromnej sieci wyrzucanej na morze z kilku łodzi i ściąganej do brzegu przez zgromadzone na plaży tłumy, używano rzadko. Każde jego zarzucenie, wielki połów, było wydarzeniem, jednym z tych, podług których odmierzano rybacki rok. Gdy przychodził na nie czas, potrzebna była każda para rąk w wiosce, a jeśli

wioska była mała, zbierała się na tę okazję z innymi. Starzec, dziecko, kobieta – wszyscy, ktokolwiek ma odrobinę siły w rękach i nogach, biorą udział w wielkim połowie. A potem, po udanym połowie, w święcie. Święcie łososia.

Śegost wiedział, bo teŜ brał w nim kiedyś udział. Dawno temu. Zanim jeszcze Dejwas przyszedł na świat. Dlatego wołał o tym nie mówić.

Starszy maszoperii przez chwilę patrzył z oddali na krzątaninę swoich rybaków, potem gdzieś w niezmierną dal, ku horyzontowi. Zastanawiał się nad czymś. Śegost nie przeszkadzał jego myślom.

Morze szumiało jednostajnie.

– Jest coś waŜnego, panie Śegoście, o czym trzeba by pogadać – przemógł się wreszcie Dejwas. – WaŜniejszego niŜ ci potopieni. Tylko nie zdradźcie tego nikomu.

– Słucham was, panie starszy.

– Ano. – Dejwas pokręcił głową. – Najlepiej by było, panie Śegoście, gdybyście sami zechcieli zobaczyć. Co? Nie popłynęlibyście ze mną na tonie? Po śniadaniu, rzecz jasna.

Kiedy po śniadaniu wrócili na przystań, wypełniała ją krzątanina jeszcze Őywsza niŜ wcześniej i Śegost wiedział, Őe tak będzie przez cały dzień. Przywiezione ryby trzeba było szybko posegregować i sprawić, jedne zasolić, inne nastawić do wędzenia. Trzeba było, póki trwała dobra pogoda, wysuszyć i natłuścić rybackie narzędzia i ubrania, rozplatać i ponaprawiać sieci, powyciągać na brzeg i starannie opatrzyć uŜywane rano łodzi. Kilku rybaków wybrało się spróbować połowu włókiem, choć pora roku, gdy taki połów najbardziej mógł się opłacić, jeszcze nie nadeszła. Grupki chłopców kręciły się w ujściu strumienia i na niedalekim szelfie, łapiąc Őywcówką drobne ryby i raczki morskie na przynętę. Kobiety plotły więcierze i wędy, rozciągały po piachu nieukończony Őaki. Na podwórze przy karczmie znoszono świeŜo ściętą wiklinę. Pracy o tej porze roku nie brakowało i wielu mieszkańców wioski nie miało przed zmrokiem czasu nawet na uwarzenie sobie stawy – w karczmie Płatki, która wieczorem była prawie pusta, teraz dwie słuŜebne dziewczuchy ledwie nadały z podawaniem. Całkiem odwrotnie niŜ w większości niezliczonych gospód i karczem, które przyszło Śegostowi w Őyciu odwiedzać. A jeszcze co i rusz pojawiał się ktoś dokupić soli, gwoździ albo liny.

Ta powszechna krzątanina zdawała się zupełnie nie dotyczyć Dejwasa. On nie musiał pracować przy sieciach i łodziach, nie oczekiwano po nim nawet, jeśli sam tego nie zechciał, Őe wypłynie na połów. Starszego maszoperii nie wybierano po to, Őeby pracował tak samo jak inni. Nie po to nawet, by umiał obliczyć wdowi grosz we wspólnej kasie i by pilnował jej sprawiedliwego podziału, choć to takŜe naleŜało do niego jako do

najbardziej zaufanego.

Ale przede wszystkim starszy miał służyć wspólnocie swoją wiedzą, doświadczeniem i swoim rybackim nosem. Był po to, by wiedzieć, gdzie i o jakiej porze zabrać się do połowu, i jakimi narzędziami. Upleść sieć, zarzucić ją i ciągnąć za łodzią umiałby może każdy; sztuka polegała na tym, by wiedzieć, gdzie umieścić pływaki i ciężarki i jak wielkie, tak by sieć szła stosownie do pory roku i kształtu dna, pod odpowiednim kątem i na odpowiedniej głębokości. By zostać starszym, Dejwas musiał w tej sztuce przewyśszyc innych i dlatego przysługiwało mu zwyczajowo prawo przeglądu każdej sieci, jakiej używano we wsi, i nakazania w niej odpowiednich zmian.

Miał on też znać obyczaj rybich ławic, stosowną dla każdej ryby przynętę oraz skuteczne pułapki. Miał wreszcie wiedzieć, do jakiego bóstwa i jakimi słowy się zwrócić, i czego pod śladnym pozorem nie czynić, by nie rozgniewać morskich mocy. Z porady kapłanów nie korzystano, bo choć bogowie z królestwa panowali na wybrzeżu już od kilku pokoleń, nie wierzono, by ich moc mogła sięgać w głębiny i rozkazywać bóstwom o imionach znanych tylko rybakom.

Starszy nie musiał brać udziału w połowach, ale zazwyczaj robił to z własnej chęci, by nie wyjść z wprawy; musiał natomiast każdego dnia opłynąć wszystkie łowiska, wszystkie – jak zwali je rybacy – tonie, po to, by wiedzieć, ilu ludzi i po jaką rybę wysłać na którą z nich. Bo tylko przybyszowi z głębi lądu morze mogło się wydawać jednolitą wodną taflą. Dla oczu rybaka granica między jedną a drugą tonią była równie oczywista jak granica między łąką a lasem. Różne były w różnych miejscach morza prądy, różne i rozmaicie porośnięte dno, inny kolor wody.

Rybacy, którzy pomogli im zepchnąć łódź na fale, traktowali Śegosta z szacunkiem, ale próby wciągnięcia ich w rozmowę zdawały się wywoływać zaniepokojenie – zagadnięty odpowiadał półsłówkami i starał się pod byle pretekstem oddalić. Nie miało to nic wspólnego z tarańskim obyczajem, uświadomił sobie z przykrością Śegost. Człowiek, który wdał się w bijatykę z czterema szanownymi, a potem rozmawiał na osobności z samym księciem, przestał się mieszkańcom wioski wydawać odpowiednim kompanem. Może dla starszego, ale na pewno nie dla prostego chłopca.

Przez pewien czas Śegost zastanawiał się, czy Dejwas nie myślał w duchu podobnie, bo kiedy znaleźli się na morzu i wspólnymi siłami opuścili miecze, na dłuższy czas jakby w ogóle zapomniał o istnieniu gościa, którego sam w końcu zaprosił do łodzi. W milczeniu poruszał umocowanym u rufy wiosłem, aś wydostali się z zatoki na wyższą falę i mocniejszy, prawie równoległy do brzegu wiatr. Wtedy sprawnie rozstawił trójkątny śągiel i nie opuszczając miejsca przy wiosle, manewrował linkami, prowadząc łódź w sobie tylko znanym kierunku i nie zwracając uwagi na Śegosta, siedzącego na

półpokładzie z nogami spuszczone w głąb pustego sadzu, skąd wionęło rybią wilgocią. Wreszcie, by jakoś przerwać tę ciszę, wędrowiec zaproponował, że zastąpi starszego przy wiosle. Tamten wyraził zgodę, ale tylko gestem, w taki sam sposób przekazywał też przez cały czas komendy co do ustawienia steru.

Co i raz Dejwas ustawiał Śagiela w łopot i przyklekał bądź kładł się na dziobie z piersią wspartą o brzeg burty. Czasem tylko wpatrywał się długo w morską głębię, czasem mieszał w niej długą tyką i oglądał uważnie czepiające się drewna wodorosty. Rybacy często mówili o „wączaniu wody”, ale mało kto wiedział, jak dosłownie należało traktować ten zwrot.

W pewnym momencie, zatrzymawszy łódź po raz kolejny, Dejwas sięgnął po bosak i przymierzywszy kilkakrotnie, wyciągnął z wody cienką linę zakończoną haczykiem, na którym tkwiła mała martwa rybka. Dopiero wtedy Śegost dostrzegł unoszące się w pobliżu pływaki zmyślnie wykonanej takli. Rybak ściągnął śniętą rybę z haczyka, pokazał ją na otwartej dłoni i rzekł głośno:

– Ano tak. Widzicie.

Śegost odpowiedział coś, ale starszy nie podjął rozmowy. Cisnął rybkę za burte, z drewnianego wiadra, które zabrał z przystani, wydobył następną, Śywą, i ostrośnie, by nie zabić od razu, nawlókł ją na hak. Rybka trzepotała się rozpaczliwie, gdy sękata, zniszczona dłoń haratała ją stalowym grotem, przebijając nim srebrne boki, aś okrwawione śelazo, przewleczone sprawnie między wnętrzościami, pokazało się w głębi chwytającego z bezgłosną rozpaczą powietrze rybiego pyska. Dejwas poruszył hakiem raz i drugi, aby ostre zadziory worały się odpowiednio głęboko; ostrośnie opuścił przynętę do wody na wielogodzinne bezgłosne zdychanie, wydobył następny haczyk, wymienił na nim przynętę, potem zrobił to z kolejnym.

Popłynęli dalej zygzakowatym szlakiem, to zbliżając się do brzegu, to zupełnie tracąc go z oczu.

Po jakimś czasie, wypełnionym wączaniem wody i mieszaniem w niej tyką, dopłynęli do drugiej takli, potem do trzeciej. Za każdym razem wyglądało to tak samo. Dejwas wyciągał nietkniętą przynętę i pokazywał ją Śegostowi z mniej lub bardziej artykułowanym pomrukiem niezadowolenia.

Nagle Śegost zdał sobie sprawę, że już od pewnego czasu odczuwa delikatny, trudny do uchwycenia niepokój. Uczucie szczególnego rodzaju, którego nauczył się nie lekceważyć, dodatkowy zmysł wędrowca, oczywisty dla niego jak dla zwykłego człowieka spostrzeżenie promienia światła albo smugi zapachu. Wstał na równe nogi, nie puszczając wiosła, i rozglądał się wokół, ale byli na morzu sami. Tylko gdzieś daleko, prawie na horyzoncie, dostrzegł parę malutkich z tej odległości barkasów.

Odwrócił wzrok w przeciwną stronę, ku brzegowi. Zza cypla, który opływali, wyłonił się skalisty półwysep i zbudowana na nim warownia. Wysoka wieża, zwieńczona tarasem, górowała nad szarymi murami, wyrastającymi, zdawało się, wprost z nabrzeżnych skał. Z dala zamek nie wyglądał imponująco. W miarę jednak jak się do niego zbliżali, odsłaniał szczegóły świadczące o kunszcie i rozwadze budowniczych. Nabrzeżne skały tu i ówdzie ociosano, w innych miejscach wzmocniono przyporą lub kamiennym usypiskiem, uniemożliwiając bezpośredni dostęp do murów. Jedynym miejscem do lądowania była otwierająca się tuś obok zamku piaszczysta łacha, nad którą całkowicie panowała wieża i wyższy w tym miejscu mur. Być może, obok łachy otwierało się takś przejście do chronionego murem wewnętrznego portu.

Mieli przed sobą Ruerh, warownię księcia Zamborga. Na ile dało się zauważyć z tej strony, również od lądu dostęp do niej nie był łatwy i w Zegoście, gdy tak przyglądał się nie niepokojony przez zajętego swoimi sprawami Dejwasa, obudził się najemny żołnierz, rozważający, jak wielkimi siłami trzeba by uderzyć i od której strony, by kusić się o zdobycie Ruerhu. Jakkolwiek przymierzał, wychodziło, że spodziewani przez Dejwasa Shizzandrowi mściciele musieliby się zjawić w licznej i dobrze okrytej kompanii. Jeśli tylko, oczywiście, twierdza miała dość zbrojnych do obrony swych murów.

Ta myśl przypomniała mu na chwilę wczorajszą bójkę; dziwna rzecz, ani Dejwas, ani Płatka nie wspomnieli dzisiaj o niej ni słowem, jakby nic się nie zdarzyło. Nie próbowali przestrzegać go przed gniewem obrażonego Rejmusa, nie komentowali.

Ale ta myśl tylko błysnęła i zgasła natychmiast. Choć wciąż byli dość daleko od warowni, nie mógł wątpić, że niepokój, jaki czuł, wiąże się właśnie z nią.

Zaczynał rozumieć.

Niosący ich zug podpłynął do kolejnej takli, starszy sprawdził, że i na tę nic się nie złapało, a potem dał znak, że będą zawracać łódź. Najwyraźniej tutaj kończyły się łowiska należące do Trychny. Teraz trzeba było mocniej popracować wiosłem; Dejwas zrzucił śagiel i usiadł przy śegoście.

Gdy zawracali, śegost raz jeszcze popatrzył na warownię. Ktoś właśnie wyszedł na taras u szczytu wieży i stał tam nieruchomo, spoglądając w morze. Pochylony lekko nad balustradą, z opartymi o nią dłońmi. Patrzył na nich. Odległość była zbyt wielka, by dostrzec wyraz twarzy, ale pamięć podpowiedziała śegostowi nieobecny, wbity gdzieś w horyzont wzrok i małe usta w opuchniętej twarzy, zacięte niczym u rozgniewanego dziecka.

Uznał, że wypada uklonąć się księciu; Dejwas, gdy spostrzegł Zamborga, poderwał się i zrobił to samo. Książę nie odpowiedział w śaden sposób, nie poruszył się w ogóle. Może ich nie zauważył. Gdy jednak śegost odwrócił się po jakimś czasie raz jeszcze,

odniósł wrażenie, że Zamborg patrzy w ich stronę.

Śegosta w każdym razie musiał poznać. Choćby po tym, że zamiast rybackiej kurty ze skóry szarej fok i przesyconego tłuszczem płaszcz z kapturem miał na sobie to samo podróżne ubranie co wczoraj.

Pracowali teraz wiosłem we dwóch, twarzą w twarz, i Dejwas uznał najwidoczniej, że dalsze milczenie uwłaczałoby gościowi.

– Powiadają – odezwał się wreszcie – że księżę pan wczoraj proponował wam służyć, aleście odmówili?

Śegost roześmiał się.

– Nie. Ani on proponował, ani ja odmówiłem. Ale wybaczcie, że nie powtórzę, co mi powiedział. Pewnie by sobie księżę tego nie śyczyl.

– Pewnie nie. Tak tylko mi się... – Starszy zamilkł na chwilę. – Ano, mam tu jeszcze jedną taklę, podpłynmy do niej.

– Możemy pod płynąć. Ale nie ma się co łudzić, będzie pusta.

Dejwas pokiwał smętnie głową.

– Będzie pusta – wyrzucił z siebie wreszcie. – Ot co. Widzicie. Już tydzień idzie, jak powinny się zacząć łapać. Zawsze tak było. Najpierw mało, tu jeden, tu drugi, aś pewnego dnia... I wtedy już wiedziałem, jeszcze dzień, dwa... Ja, panie Śegoście, w zeszłym roku miałem w łaskornie trzy setki ryb, niech mnie bogowie zaraz utopia, jeśli łś. Trzy setki, nikt nigdzie tyle łososa nie wziął na jeden raz, co Trychna. A w tym roku...

– Wasi już wiedzą?

Wiosło do siebie, wiosło od siebie, do siebie, od siebie, i znów – dziwnie się rozmawiało w tym wymuszonym pracą rytmie.

– Nie wiedzą. Chyba nie. Do wiosłowania biorę młodych, nie znają się jeszcze. Może któryś się zdziwił, że tak furt a furt wyciągam puste haki, ale Śaden o nic nie pytał. Tylko co z tego, wiedzą czy nie wiedzą?

– Nic.

– Nic. Jeśli się nic nie zmieni... Już sobie pomyślałem, że trzeba iść do chramu, do Śerców, choćby wszystko dać, co mam, aleście akurat wy do nas zaszli. Pomyślałem, może was jaka dobra siła przywiodła.

Po pewnym czasie ruch wiosłem stawał się tak naturalny, że niemal się o nim już nie myślało.

– Co wam będę mówić, kiedy sami się domyślacie – podjął Dejwas. – Tak w ogóle, to ryby tej wiosny, chwała bogom, nie brakuje. Na cercie i dorszu wioska prześyje. Ale dla kupców liczy się tylko łosoś. Królewska ryba, mawiają, nie myślę, żeby tam

rzeczywiście sam król nie miał nic lepszego do jedzenia, ale tak w każdym razie ją zwał. I płacą za nią. Nie będzie w laskornie łososia, nie będzie zapłaty. Śelaza, warzonej soli, igieł, lin... niczego. Myślicie, stary boi się, że go pogonia. Nie, tego się nie boję, znajdzie się kto lepszy, to trudno, prędzej czy później... Ale co będzie z wioską? Z czego się opłaci księciu i szanownym, za co przezimuje?

Śegost milczał.

– Nigdy tak nie było? – spytał wreszcie.

– Nigdy. Dwa, cztery dni mogła się ryba spóźnić albo pospieszyć. Więcej nie. Łosoś kapryśny jest, jak idzie o podejście do brzegu, to tak; trzeba dobrze dzień wybrać, akurat kiedy napłynie, w tym cała wiedza. Ale żeby w ogóle nie przyszedł na zatokę? Ani sztuki?

Zamilkli obaj, Dejwas zapatrzony ponuro w wodę, Śegost zamyślony.

– Coś go odeгнаło.

– A co by mogło całą ławicę wyгнаć z zatoki? Przychodzi wam co do głowy, panie Zegoście?

– Tak. Przychodzi.

Starszy wbił wzrok w rozmówcę.

– Pamiętacie legendę, skąd się wziął łosoś na tych wodach?

– Jakże! Wiadomo, z dalekiej północy spłynął. Wszyscy wiedzą. Dlatego co rok tam wraca na wyłęg.

– Spłynął przed laty z dalekiej północy, no właśnie. A dlaczego? Co mu tam przeszkadzało?

Dejwas milczał stropiony.

– Nie pytajcie mnie. Nikt mi tego nie mówił. Rzecz rybaka znać, gdzie rybę można znaleźć, a nie skąd jest na świecie tak czy tak.

– Łosoś zaczął schodzić na wybrzeże, kiedy się na najdalszych wyspach pojawili magowie. Jakby uciekł przed nimi. Tak, zdaje mi się, ktoś kiedyś opowiadał. Potrafię w to uwierzyć. Łosoś to szlachetna ryba, morski król, może to mają kupcy na myśli...

– Może i tak, nie wiem. Ale mówcie, panie Zegoście, mówcie dalej.

– Nie wiem o morzu wiele, ale sporo się wędrowało po świecie. Widziałem na południu gród, pod którym zatrzęsła się ziemia. Opowiadano, że na trzy dni przedtem odleciały z miasta wszystkie ptaki. Nikt z ludzi się niczego nie spodziewał, a one wiedziały. Widziałem miasto, które spustoszył pożar. Wszyscy mówili, że kilka dni wcześniej żywnia ryczała po całych nocach i kręciła się po zagrodach jak w strachu, a psy i koty pouciekały.

– Myślicie, że i u nas... Ziemia się może trząść?

– Nie, nie Œeby to. Mówię wam po prostu, Œe wiele zwierząt czuje swymi zmysłami więcej niŒ człowiek. O szlachetniejszych z nich powiadają, Œe wyczuwają rzucane czary. Koty choċby, w wielu Œwiątyniach i na dworach trzymają je właŒnie dlatego. Powiadają, Œe łosoŒ spłynął na te wody, gdy na północnych wyspach zaczęli osiedlać się magowie ze Shizzandrowego plemienia. Myślę, moŒe być tak, Œe uciekł przed złą magią jak sowa ucieka przed Œwiatłem.

– Mówcie dalej, panie ŒegoŒcie. Mówcie dalej.

– Co tu jest jeszcze do powiedzenia? ŁosoŒ nie chce w tym roku wpłynąć w zatokę. CoŒ mu widać przeszkadza, czegoŒ się tu boi.

– Ale czego? Czego?

Dejwas obejrzał się za wzrokiem Œegosta w stronę, gdzie pozostała warownia Ruerhu, zakryta teraz przez skały. Wędrowiec nie czuł juŒ niepokoju.

– GdybyŒmy to mogli wiedzieć... CzegoŒ, czego tu wcześniej na zatoce nie było, a co mu pachnie północnymi wyspami.

Stali w dryfie przy pływakach ostatniej takli, ale Dejwas nawet nie sięgnął po bosak.

– Więć moi dobrze gadają – mówił ni to do rozmówcy, ni do siebie. – Zemsta. JakiŒ północny stwór, naŒlany, Œeby ludzi haratać, rybę płoszyć... Tak, panie ŒegoŒcie, jasne jak słońce, jasne. Od razu znać, ŒeŒcie bywały człowiek. No, czarno na białym. Trzeba zaraz do księcia iŒć, niech ludzi zbierze, wojaków i szanownych, trzeba stworę znaleźć.

– JuŒ przecie do niego chodzili, panie starszy – zauwaŒył Œegost. – I nic. Czemu teraz ksiąŒę ma poŒluchać?

O tym starszy wyraŒnie nie pomyŒlał.

– Wtedy nie wiedzieliŒmy nic pewnego.

– Teraz wam ksiąŒę moŒe powiedzieć to samo. Kto widział jakiego potwora? Porwał komuŒ sieci, popsuł nastawy? Nawet waszych takli nic nie ruszyło. Łososia, mówicie, spłoszył, powie wam ksiąŒę, a skąd to wiecie, rozmawialiŒcie z rybą, co ją spłoszyło? TacyŒcie pewni, Œeby wszystkie kaprysy morza przejrzeć, tak was zapyta.

– Znowu mądrze mówicie, panie ŒegoŒcie – westchnął Dejwas, a potem, przypomniawszy sobie o takli, pociągnął kilka razy mocno wiosłem, by okręcić łódź, i sięgnął po bosak.

Później, rozpamiętując sprawę, Œegost uznał, Œe swoją decyzję, od której zawisły losy tylu oŒób, powziął właŒnie w tej chwili – siedząc oparty o wiosło, z nogami spuszczone w głąb sadzy, i patrząc, jak Dejwas powtarza swe beznadziejne zabiegi przy kolejnych hakach wędy. Czy aŒ tak się przejął losem zagroŒonej wioski? Nie. Tak z ręką na sercu nie obchodziła go wcale bardziej niŒ niezliczona liczba wiosek, które w Œyciu odwiedzał lub omijał z daleka, które pomagał bronić albo zdobywać, odbudować

albo puścić z dymem.

Cokolwiek tkwiło pod wieśią Ruerhu, rozbudziło w nim nie tylko niepokój. Rozbudziło także ów głód przygody, który gnał go przez świat i któremu nigdy nawet nie próbował się oprzeć. Wprawiło w podniecenie podobne do tego, w jakie wprawiła go wczorajsza, przerwana przez księcia bójka. A do tego wszystkiego była jeszcze tajemnica, jaka wiązała się z wyrzuconym na brzeg trupem.

– Trzeba będzie się nam zebrać ze wszystkimi starszymi z wybrzeża – powiedział Dejwas, siadając z powrotem i ciągnąc ku sobie wiosło. – Może co razem uradzimy, a choćby i nie, pójdziemy do księcia wiecem, już nie każdy z osobna. Podziękowanie wam za radę, panie Śegoście.

Wrócił już do swego normalnego sposobu mówienia, poważnego, niemal ceremonialnego, jakby nie miał zamiaru pozwolić rozmówcy zapomnieć, że ma do czynienia ze starszym.

Szarpnął wiosłem, obracając dziób łodzi ku brzegowi.

– Czas wracać – wyjaśnił. – Trzeba rozsyłać ludzi po toniach, już czekają.

– Powiedźcie, panie starszy – zagadnął Śegost po chwili. – Tamtej nocy, kiedy zginęły kobieta w chałupie i jej dzieci, nie pływało się? Był sztorm?

– Tak, był. Wielki jak rzadko... Ktoś wam opowiadał?

Wędrowiec skinął tylko głową.

– Zostaniecie u nas jeszcze? – zapytał Dejwas, gdy zbliżali się już do przystani. – Wiem, powiedzieliście już, żeście nie do walki z potworami, ale tu przecież idzie sprawa z jakimiś Shizzandrowymi mścicielami, tylko patrzeć, jak ksiąŜę pan będzie ogłaszał zaciąg. A wtedy każda maszoperia daje nie tylko strawne dla wojska, ale i musi wystawić łódź z druŜyną. Wiem, że jak się dowodziło rotą, łódź Śaden honor, ale będzie tych naszych łodzi więcej, po jednej od każdego starszego, a przecież będę z nimi rozmawiał. Co do lafy się dogadamy. Co na to powiecie, panie Śegoście?

– że was słyszałem i będę pamiętał, panie starszy. Na razie nic więcej do powiedzenia nie ma, bo ksiąŜę Śadnych zaciągów nie ogłosił i póki tego nie zrobi, znacie prawo, ani wy, ani nikt w Berghu nie ma prawa zwoływać zbrojnych.

– Szanowni mają – zauwaŜył starszy.

– To prawda. Szanowny Ingold z Otleru, jeśli pamiętam, jest dzierŜawcą Trychny, a pewnie i Cugierty także?

– Cugierty nie, Cugierty to wieś na ksiąŜęcej woli, u komesa Zorda. Szanowny ma jeszcze dwie wsie, ale dalej od morza i nie rybackie, choć sporo z tamtejszych ludzi najmuje się do pływania, paru i u mnie. I tam, jak wiem, ma dworzyszczce. Czy w nim wiele bywa, to inna sprawa, bo wiecie jak to z szanownymi: to po warowniach siedzą na

książęcej słuźbie, to u dworu, to gdzieś jeszcze.

– Tak. – Śegost przypatrywał się coraz bliźszej krzątaninie na przystani. – Myśl nie jest zła, panie starszy. Zatrzymam się tu póki co. Muszę koniecznie porozmawiać z szanownym Ingoldem, Őby wam co obmyślił dla bezpieczeństwa. W końcu to jego interes, Őby wioskę było stać na daninę.

Dejwas popatrzył na niego podejrzliwie.

– Nie wiem, panie Śegoście, czy on z wami będzie chciał gadać.

– E, myślicie o wczorajszych niesnaskach? Samiście słyszeli, co mówił. Chcieliśmy tylko sobie wzajem pokazać, co kto umie, ot tak, jak to między przyjaciółmi.

Rybacy na przystani, którzy nadbiegli z linami do wyciągnięcia zuga na brzeg, patrzyli na Śegosta z jeszcze większym szacunkiem i jeszcze bardziej stronili od wdawania się z nim w rozmowę.

Nie zastanawiał się potem ani razu, czy dobrze zrobił, zabijając Woyta. Skoro wiedział, Őe miał sam zginąć z jego ręki, w zupełności rozstrzygało to sprawę.

Mógł co najwyżej mieć do siebie pretensje, Őe zamarudził w Trychnie tyle czasu. W przeciwnym razie jasnowłosy drużynnik nie znalazłby go już w wiosce i prawdopodobnie do walki doszłoby gdzieś po drodze, bez świadków. Ale w sumie niewiele by to zmieniło. Śegost i tak przecieŐ nie zniŐałby się potem do ukrywania ciała napastnika czy zaprzeczania zdarzeniu, nie mówiąc już o rzeczy tak niskiej jak ratowanie się ucieczką.

Nie miał zresztą tego dnia Őadnych przeczuć i nie czuł Őadnego powodu do pośpiechu. Przeciwnie – siedziba Ingolda z Otleru znajdowała się blisko, a zamierzał pojawić się w niej w porze wieczery, kiedy zwyczajowe prawo, szanowane w większości krain, nie pozwala bez waŐnej przyczyny pozostawić gościa za bramą. Podjadł u Płatki solidnie, przy okazji ucinając sobie z nim w pustoszejącej z wolna gospodzie długą rozmowę. Szczęściem przynajmniej karczmarz nie nabrał zabobnego dystansu do tajemniczego przybysza, który z księciem rozmawia jak zaufany, ze starszym maszoperii jak równy, a szanownego bije po łbie dzbanem. Dzięki temu Śegost miał się u kogo wywiedzieć o zwyczajach trycheńskiego dzierŐawcy.

Tak jak przypuszczał, z Otlerem wiązało zaŐywnego rycerza tylko imię, ale do Berghu faktycznie przybył z południa, już parę lat po sławnej wyprawie, z której Zamborg przywiózł swą księŐniczkę. O wojennych talentach szanownego nie wiadomo było zbyt wiele, księŐ pono cenil go natomiast bardzo jako znawcę starych ksiąg i pieśni oraz człowieka obytego za młodu na dworze królewskim. Wśród znanych z popędliwości szanownych z pobraŐa Ingold uchodził za tego, który w czasie kaŐdego sporu potrafił

pozostawać w jednakiej zgodzie ze wszystkimi, co zresztą bardzo mu się przydawało. Nie przejawiał większego zainteresowania ani rybołówstwem, ani rzemiosłem, ani kupiectwem, rozsądnie jednak patronował w swoich dzierżawach każdej z tych dziedzin, co przynosiło mu spore dochody. Które, zapewne, nie pozostawały bez związku z sympatią, jaką cieszył się wśród innych szanownych.

Karczmarz, słysząc, że podróżny nie zamierza jeszcze opuszczać księstwa, rzekł nawet, że gotów jest poczekać z zapłatą, ale na to śegost nie chciał przystać.

– Jeszcze i mnie jaki potwór na wydmach rozerwie i będę się musiał na wieczność błąkać po pustkowiach za niezwrócony dług – zażartował ku nieskrywanemu zgorszeniu Płatki.

Zapłacił i szedł jeszcze raz na brzeg, pozostawiwszy pieczy gospodarza sakwy oraz szponton. Z nałożonym na głowę drewnianym pokrowcem pamiątkowa broń sprawiała wrażenie, jakby śegost odstawiał pod ścianę przesadnie ozdobną kapłańską laskę.

Może istotnie zamarudził, ale chciał skorzystać z okazji, by wspinać się na sterczącą ponad wysoczyzną Łososiową Skałę, na której nocami stróżowali Ludala oraz jego dobrani przez komesa kompani. Widoczna z daleka i z morza, i z zatoki, musiała też stanowić najlepszy punkt, z którego mógł się przyjrzeć okolicy, miastu i ksiąścemu zamkowi.

Pieśń fal zmieniła się nieznacznie, gdy szedł; była teraz cichsza, spokojniejsza. Śegost, popatrując na roziskrzone słonecznymi refleksami fale i krążące ponad nimi ptaki, skierował się ku kamienistemu cyplowi, zagradzającemu widok Ruerhu. Bez trudu znalazł ścieżkę wchodzącą między usypiska i stamtąd wrzynającą się stromymi zakosami w urwisko. Nie musiał wspinać się zbyt długo.

Skała, która z morza wydawała się niedostępna, jak wyszczerzony w niebo kiel w szczęce olbrzymiego smoka, od drugiej strony schodziła w łagodne, niemal płaskie pole. Na samym szczycie, w zagłębieniu chronionym od wiatru skałą jak blankami muru, cztery kamienne słupy, pochylone mocno ku sobie, tworzyły coś w rodzaju rusztu, o który wspieranym stanowiącym serce ognia belki. Wokół widać było ich niedożarzone fragmenty, złożone równo u brzegów paleniska. Popiół spod kamieni był starannie wybrany, obok usypanej z niego hałdy opierały się o szopę odstawioną jedną przy drugiej szufle. Szopa z dwóch stron miała grube, upchane mchem i słomą ściany, od lądu pozostawała otwarta; część jej musiała być przeznaczona na schronienie dla opiekunów ognia, tam zaś, gdzie zmieniała się w otwarte z boku zadanie, ułożono stertę dREW. Osobno leżały mniejsze i większe szczapy, osobno ogromne kłocE, zdolne utrzymać śar przez całą noc.

Obszedł całe to bezludne w tej chwili gospodarstwo, podziwiając ład i ustalony

pewnie od wielu lat porządek. Z okolic paleniska morza prawie nie było widać, wrócił więc na schodzącą ku plaży ścieżkę. Kilkanaście kroków niżej znalazł pochyłe, niemal poziome drzewo, sprawiające wrażenie, jakby ostatkiem sił trzymało się korzeniami kamienistego zbocza przed runięciem w przepaść. Przysiadł na nim i z uwagą przyglądał się widocznemu stąd jak na dłoni miastu na niedalekim półwyspie.

Samo miasto pozostawało prawie nieobwarowane, jedynie na rogatkach postawiono coś w rodzaju cekhauzu. Kolorowe dachy domów rozrzucone były nieregularnie, najgęściej w pobliżu szarych murów i wokół portu. Dostrzegął z dala dwa rynki i kilka śurawi przy krótkim umocnionym nabrzeżu – tak krótkim, że większej części przeładunków musiano tu chyba dokonywać z łodzi. Kilka wielkich barkasów stało w porcie i na redzie. Nic poza rozmiarami nie różniło Ruerhu od kupieckich miast, które Segost oglądał w deltach rzek czy na Wielkich Jeziorach; zdawało się ich pomniejszoną, ubogą kopią, proporcjonalną do stosunkowo niewielkich możliwości interesu, jakie dawała tutejsza kraina.

Całkiem inaczej było z warownią wieńczącą skalisty cypel, niepodobną zupełnie do wznoszonych w królestwie. Zamek w Ruerhu przede wszystkim zajmował bardzo niewiele miejsca – szara czworokątna bryła piętrzyła się wokół małego dziedzińca, a jej zewnętrzne ściany wtapiały się w obronny mur, sprawiający wrażenie, jakby chciał zgnieść budowlę w swym uścisku i ścieśnić ją jeszcze bardziej. Przypominało to, o czym sami mieszkańcy może zdążyli już zapomnieć, że fortecę wznosili zdobywcy, nieczujący się wówczas jeszcze na skalistym brzegu u siebie. Nie miała ona wcale, jak w spokojniejszych krajach, służyć schronieniem dla mieszkańców miasta i okolicznych wsi na wypadek najazdu. Przeciwnie, właśnie przed nimi miała chronić garnizon, gdyby doszło do buntu.

Takiemu zadaniu podołałyby może prosty stołb i wał dość wysoki, żeby chlusnąć z jego szczytu na głowy tłumu wrzącą wodą. Ale o zhołdowaniu przez królestwo tej części wybrzeża zdecydowała swego czasu potrzeba okiełznania pirackich księstw z północy i zagrozenia łupieżczym wyprawom raz na zawsze drogi do miast w głębi lądu, bez czego nie mogły one stać się bazą i zapleczem dla stopniowego zasiedlania puszczańskiego wschodu. Ruerh był więc twierdzą znacznie potężniejszą, niż zasługiwałyby na to niewielka i raczej biedna osada u stóp murów. Jeśli nie liczyć podzamcza, dobudowanego w wyraźnej niezgodzie z pierwotnym projektem, fortyfikacje także od strony miasta praktycznie nie dawały napastnikowi przystępu. Musiałby długo, mozolnie, kruszyć skałę u podstaw muru, sam umacniając półwysep przed niechybną odsieczą z królestwa, albo zbudować co najmniej trzy obelężnicze wieże na łodziach, do czego śadna z północnych armii nie była w pojedynkę zdolna.

Pozostawała jeszcze zdrada. Przed tym nie była bezpieczna Śadna forteca.

Śegost gryzł w zamyśleniu źdźbło trawy, chłonał ciepło staczającego się z wolna ku zachodowi słońca i przypatrywał się to wozom na drodze do grodu, to dachom kupieckich i rzemieślniczych kamienic, to wreszcie zamkowi, sprawiającemu w tej chwili wrażenie jeszcze bardziej ponure i przygnębiające, niż kiedy oglądał go od morza. I podobnie jak wtedy czuł wyraźnie złowrogą siłę, przyczajoną gdzieś w zamkowych murach lub w ich pobliżu.

Na blondyna natknął się w powrotnej drodze, już blisko pierwszych zabudowań wsi. Młody woj nie czekał na Śegosta, szedł z przeciwnej strony – najwyraźniej szukał go we wsi i powiedziano mu, w którą stronę się skierował. To, Śe spotkali się w tym akurat miejscu, było dziełem albo szczęśliwego przypadku, albo opiekujących się Śegostem mocy – w różnych chwilach swego Śycia różnie myślał o takich sprawach.

Było to miejsce, gdzie do morza wpadał jeden z licznych tu strumieni, przełamując się przez wysoczną niewielkim, mocno zacienionym jarem. W jarze, na kilkadziesiąt kroków w głąb, gęsto było od wikliny. Z obfitości tej korzystali zbieracze z Trychny. Przy granicy zarośli walały się po wielkim klepisku ich narzędzia, przycięte łodygi i powiązane solidnie snopy gotowego już surowca.

Woyt miał przy pasie ten sam co wczoraj łuczniczy nóż, a na ogorzalej twarzy ten sam uśmiech, który tym razem nie wydał się Śegostowi wesoły.

Mówiąc prawdę, druśnyk przyglądał mu się tak, jak kot przygląda się złowionej myszy. Zatrzymał się na drugim brzegu płytkiego strumienia i czekał na Śegosta, pieszcząc palcami rękę swego noża.

– I co, dobry człowieku? – zapytał w końcu Śegost, wytrzymawszy jego długie spojrzenie. – Śyczysz sobie czegoś ode mnie?

Uśmiech blondyna zrobił się jeszcze bardziej paskudny.

– Tym razem księżę nam nie przerwie – powiedział, wyjmując ostrze z pochwy. Poruszył nim wolno, sprężony do skoku. – No, dalej, przybłęd. Poproś mnie o litość albo coś takiego. Albo przynajmniej powiedz, Śe nie masz przy sobie broni.

– Nie mam przy sobie broni.

– No, to masz pecha – zarechotał Woyt. Nadal nie atakował.

– Przepuść mnie. Wezmę tylko broń i wrócę. Wtedy będzie uczciwie.

– Jak przydźwigasz ten swój drag? Kpisz sobie. Tak właśnie jest uczciwie: ja mam nóż i ty masz nóż. Wyjmuj go i chodź tutaj. Póki mnie nie rozdrażnisz, obiecuję to zrobić tak, Śeby cię za bardzo nie bolało.

Rzeczywiście, Śegost miał przy pasie nóż. Podróżny nóż o ostrzu krótszym niż długość dłoni, znakomity do patroszenia złowionej zwierzyny, dzielenia pieczeni

i czyszczenia skór. Nawet o nim teraz nie pomyślał.

– Za duŝo gadasz – odpowiedział po długiej chwili, juŝ cały spięty, czujny, z rękami lekko odwiedzionymi na boki. – Szczeniak.

– Wyjmij nóż.

– Za duŝo...

Tak jak się spodziewał – blondyn skoczył w jego stronę w połowie zdania, licząc na zaskoczenie. Przesadził strumień i od razu zaatakował, mierząc ostrzem w brzuch. Gdyby zdecydował się uderzyć w gardło, walka mogłaby się na tym zakończyć. To była loteria: przeciwnik był zbyt szybki. Œeby unik miał sens, Œegost musiał go zacząć, zanim jeszcze mógł wiedzieć, w jaki sposób Woyt uderzy. Musiał zgadywać.

Tym razem zgadł. Wykorzystując moment potrzebny druŝynnikowi na złapanie równowagi, zdołał odskoczyć kilka kroków w stronę wiklinowego wyrobiska.

– ...gadasz – dokończył spokojnie. – Szczeniak.

Z całą pewnością nie można było tego uŝmiechu nazwać wesołym.

– Dobrze skaczesz. Gdybyś był młodszy, ksiąŝę mógłby cię wziąć do druŝyny.

Œegost cofał się krok po kroku, nie spuszczać oczu z przeciwnika.

– Powiedz mi, Œegoŝcie, czy jak ci tam, dlaczego ludzie są tacy głupi? – Blondyn wcale nie próbował mu w tym przeszkodzić. Szedł za nim, nie starając się na razie zbliŝyć na odległość zdatną do zadania ciosu. – Przecieŝ ci mówiono: jedź w swoją stronę. I Œeby jeszcze byle kto tak mówił. A ty nic. No, dlaczego?

Woyt miał powody uŝmiechać się coraz szerzej. Widział, Œe Œegost sam pakuje się w pułapkę: Œe cofa się w stronę zaroŝli, gdzie nie będzie mógł ani odskoczyć, ani zrobić uniku. Z kaŝdym krokiem czuł się coraz bardziej pewny swego zwycięstwa.

Przedwcześnie.

Œegost przykucnął nagle i sypanął Woytowi w oczy piachem. Tamten cofnął się o krok i uchylił z miną pełną dezaprobaty, Œe przeciwnik ucieka się do tak marnych sztuczek.

Ale Œegost wcale nie próbował oślepić napastnika, chodziło mu tylko o skłonienie go do tego jednego kroku w tył – o zyskanie na czasie. Nie tracąc chwili na wstawanie, bezpośrednio z głębokiego przysiadu wędrowiec rzucił się w bok, ku miejscu, gdzie zbieracze pozostawili swe narzędzia.

Obok sterty powiązanych starannie snopów leŝał nóż do wikliny – zakrzywiony jak sierp i by oszczędzić właścicielowi bólu w krzyŝach, osadzony na długim, drewnianym trzonku. Miejscowi nazywali to narzędzie knypem.

Blondynowi los z całą pewnością oszczędził w Ŧyciu mozolnego zginania karku przy zbiorze wikliny. Prawdopodobnie sądził, Œe Œegost w ŝmiertelnej rozpaczyci rzuca się na

niego z kijem, którym chce go uderzyć w głowę jak pałką. Roześmiał się więc tylko, uskakując lekko przed tym desperackim, jak sądził, atakiem i odwodząc prawą rękę do ostatecznego, śmiertelnego pchnięcia Śegosta pod Śebra.

Ale już nie zadał tego ciosu. Zabrakło mu nagle siły. Cienki, wyostrzony jak brzytwa sierp, którym wieśniacy cięli twarde, zaschnięte łądygi, wszedł w jego ciało lekko niczym w masło, zatrzymując się dopiero na mostku. Śmiech zamienił się w charkot. Woyt cofnął się sztywno o krok, machinalnie sięgnął osłabłą ręką do gardła, jakby nie od razu potrafił sobie uświadomić, Śe dziwne narzędzie, jakiego nigdy by nie uznał za broń, tkwi wbite głęboko u nasady jego szyi.

Śegost chwycił teraz drewniany trzonek oburącz i zakręcił knypem tak, aby wrywając ostrze, poderŚnać przeciwnikowi gardło do reszty. DruŚynnik zacharczał, na jego wargach pojawiły się krwawe bąble – z rozciętego gardła jaskrawa krew tryskała szerokim strumieniem jak ze szlachtowanego prosiaka. Oczy młodego woja były pełne niewysłowionego zdumienia. Bezradnie gmerał dłońmi w strumieniu posoki, jakby usiłował zamknąć ranę albo upewnić się, Śe jej tam nie ma, Śe to, co się stało, nie mogło się zdarzyć. Podniósł na Śegosta zdziwiony wzrok, usiłował coś powiedzieć, ale nie był już w stanie wydać z siebie Śadnego słowa. Zwalił się ciężko na piasek, wciąŚ z tym bezbrzeŚnym zdumieniem wypisanym na twarzy.

– Trzeba atakować od razu, a nie gadać. Szczeniak – usłyszał Śegost jakiś głos.

To był jego własny głos.

Usiadł ciężko na piasku, osłabły nagle i spocony, czując bijące w skroniach tętno.

Patrzył, jak Woyt kopie piasek i podryguje konwulsyjnie. Tamten umierał bardzo długo; młode, zdrowe ciało nie godziło się oddawać ducha.

Dopiero po pewnym czasie Śegost uświadomił sobie, Śe wokół stoją ludzie. Wstał, przemagając drŚenie nóg, i przez dłuższy czas wycierał starannie ostrze knypa o kaftan leŚącego. Doprowadziwszy wreszcie nóg do poŚadanego stanu, odłoŚył go troskliwie w to samo miejsce, obok powiązanych snopów wikliny.

W końcu zdobył się, by podnieść wzrok na cisnących się wokół struchlałych ze zgrozy rybaków. Z jakiegoś powodu po głowie kołatała mu się tylko jedna, niespecjalnie mądra myśl: ale będą mieli o czym gadać, pewnie przez całe lata nic się tu nie zdarzyło, a teraz nagle aŚ dwa trupy dzień po dniu.

Odnalazł w tłumie znajomą twarz – to był jeden z rybaków, z którymi rozmawiał wczoraj, Gaca albo Ludała, nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć.

– Widzieliście – powiedział do niego schrypniętym głosem. – Nie mogłem inaczej. Nawet nie miałem broni. Sami widzieliście.

Cisza.

Wydawało się, że ta cisza nigdy się nie skończy.

– Wyście go, panie Śegoście, zabili – powiedział wreszcie struchlały z grozy Ludala czy Gaca. – Książęcego woja.

– Głusi jesteście? Przecież mówię: nie mogłem inaczej. Samiście chyba widzieli. Widzieliście? – Śegost rozejrzał się po twarzach świadków. – Chyba ktoś widział, co tu się działo. No?

Cisza. Wiedział, że nie usłyszy nic prócz zacichającego rżenia konającego. I prócz wszechobecnego szumu morza.

Ruszył do wioski, nie oglądając się. Nawet Płatka nie pytał go o nic, kiedy zabierał swój szponton i sakwę. Dopiero gdy wychodził z karczmy, zobaczył nadbiegającego od strony przystani Dejwasa. Parę kroków za nim trzymał się tłumek rybaków, ich kobiet i dzieci.

– Nie mogłem inaczej, panie starszy. Bronilem się tylko. Dajcie znać na zamek. Powiedźcie, że sam tam przyjdę na książęcy sąd. Powiedźcie, gdyby nie uwierzyli, dokąd poszedłem. I zostańcie w zdrowiu.

Starszy miał minę jeszcze bardziej poważną niż dotąd.

Fale szumiały i syczały jednostajnie, rozplywając się po piasku plaży.

Śegost obrócił się plecami do morza i ruszył drogą przed siebie. Nikt go nie zatrzymywał.

Mówiąc karczmarzowi o pieśniach, które śpiewano po estarońskich dworach, Śegost nie kłamał. Ale i nie mówił do końca prawdy. Nie dodał, że pieśni te śpiewano przed dziesięciu laty i dawno już powychodziły z mody.

Przez dziesięć lat, które minęły od Zamborgowej wyprawy, uwaga królestwa skupiała się raczej na południu – to na buntach chłopskich i obronie Grah Daren, to na dynastycznych kłopotach marszałków Laren Lan albo na religijnych sporach szarkanów z terganami. Każda z tych spraw obrastała własnymi legendami, na każdą z wypraw czy egzekucji ciągnęła tłuszcza rymopisów i śpiewaków. Historia Zamborga i Khielve musiała szybko popaść w zapomnienie i tylko tutejsi prości ludzie mogli wciąż myśleć, że ich książę i jego małżonka nadal przyciągają uwagę świata.

Choć każdy przyznać musiał, że historia tej pary była naprawdę niezwykła i, przynajmniej taka, jak przedstawiali ją bardowie, bardzo wzruszająca. Śegost, gdy usłyszał ją po raz pierwszy, postanowił sobie odwiedzić kiedyś Ruerh i spotkać bohaterów opowieści. Ale przez szereg lat jakoś się to nie składało; dopiero przypadkowa i krótka, ale burzliwa wojna w Orwanie, na którą pociągnął z przyjaciółmi z cechu, dała mu okazję, by wybrać się w te strony.

Khielve była córką Idara Byka, który mimo iż uważany za jednego z największych wodzów morskich rozbójników, zapisał się w pamięci swych rodaków przede wszystkim jako człowiek o nadmiernie wygórowanych ambicjach. Nie zaspokajały tych ambicji sukcesy prowadzonych wypraw ani wygrane wojny z kolejnymi krewniakami. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Idarowi marzyło się zostać królem północy. Gdy był już tego celu bardzo blisko, uderzył w konkury do Vanady, córki namiestnika Maronaru. Skaldowie, oczywiście, wyśpiewywali cuda o jej urodzie, ale po prawdzie chodziło w tych konkurach tylko o to jedno, że Vanada była, jak to określano w królestwie, księżniczką krwi i północny wataśka, choć nie przestał przez to małżeństwo śmierdzieć baranim kołuchem, stawał się dzięki niemu powinowatym panującej dynastii.

Fakt, iż się na to zgodzono, dowodził, że królewska dyplomacja rokowała mu wielkie nadzieje na sukces – inaczej Vanada prawdopodobnie pozostałaby, jak większość księżniczek krwi, starą panną rezydującą przy którymś z wielkich dworów. Zapewne tak byłoby dla biedaczki lepiej, bo natura północnych zbójów zdecydowanie nie godziła się na władzę inną niż wojennych wodzów, wybieranych i strącanych głosami wiecu. Mała Khielve miała ledwie kilka lat, kiedy Idar, a niedługo po nim i jego Sona zostali, jak to nazywano w ich krainie, wyprawieni za najdalsze z mór przez odległego krewnego niedoszłego króla, imieniem bodajże Gungard. Śegost nie był tego imienia pewien, bo owego Gungarda, czy jakkolwiek się zwał, wyprawiono ich śladem niewiele później i w sposób równie gwałtowny, jak to leżało w miejscowym zwyczaju.

Istotne było to, że nowy władca nie kazał zabić dziewczynki, co należałoby do rutyny, jako że na północy obyczaj dawał kobietom równe z mężczyznami prawo dziedziczenia. Zamiast tego odesłał ją, oficjalnie „na wychowanie”, do Shizzandra – jednego z magów żyjących wśród wiecznych lodów najdalszej północy. Najpewniej była to zapłata za pomoc w dokonaniu przewrotu, bo ostry i dobrze znający uczucia swego ludu Idar nie dałby się podejść bez jakiegoś czaru. Pasowało to w każdym razie do wszystkiego, co Śegost słyszał w Śyciu o magach z najdalszej północy, podobnie jak i fakt, że spełnienie Śyczeń skończyło się dla Gungarda tak, jak się skończyło. Panowała opinia, że magowie zawsze wywiązują się bardzo rzetelnie z zawartych umów, szczególnie gdy idzie w nich o wyrządzenie jakiejś podłości – i że z reguły dokładne spełnienie Śyczenia ich kontrahenta kończy się dla niego samego w sposób tyleż nieprzewidziany, co fatalny. Co zresztą ani trochę nie zmniejszało liczby chętnych.

Tu kończyły się fakty, które Śegost mógł skonfrontować ze swą znajomością historii królewskiej dyplomacji i toczonych na rubieżach walk. Resztę znał tylko z pieśni, a o ich wiarygodności miał swoje zdanie. Młodemu Zamborgowi, tak jak to streszczał

karczmarz, miał pewnego dnia morski ptak rzucić pod nogi klejnot, w którym zaklęty był wizerunek Khielve; klejnot oszlifowany jej ręką, bo tym właśnie – tworzeniem pięknych klejnotów i hodowaniem ptaków – miała się wedle legendy zajmować księżniczka uwięziona przez maga w lodowej wieży. Oczywiście następca ruerhańskiego tronu zakochał się w owym wizerunku na śmierć i byłby umarł ze zgrzyoty, gdyby ojciec nie dozwolił mu wojów i łodzi na wyprawę.

Dalej ballady opowiadały o bohaterskiej walce, jaką młody książę i jego rycerze mieli stoczyć ze Shizzandrem. Śegost uważał ją za wytwór wyobraźni pieśniarzy. Przeciwno magowi Śaden osiłek z mieczem, ani nawet cała ich drużyna, nie miał w uczciwej walce szans i jedynym, czemu Zamborg mógł zawdzięczać swój sukces, był podstęp. Najpewniej mag uznał go za kolejnego interesanta chętnego słono zapłacić za sprowadzenie nagłej śmierci na głowę krewnego, zarazy na włości nieprzyjaciela albo za inne typowe zlecenie, z jakimi wybierano się na najdalszą północ. Ufny w grozę swego imienia albo w książęcy ród gościa przyjął go bez zachowania odpowiednich środków ostrożności i w którymś momencie dostał znieczeka nożem w plecy. Zdawał się o tym świadczyć fakt, że po śmierci maga Zamborg i jego towarzysze na dłuższy czas znaleźli się w kropce, niezdolni do sforsowania lodowej fortecy, w której Shizzander trzymał Khielve. Nieoczekiwanie więzienie rozpadło się dopiero wtedy, gdy książę stracił już wszelką nadzieję i w rozpacz zapewnił ukochaną, że woli umrzeć u stóp jej baszty z głodu i zimna niż odejść.

Według innej wersji mury wieży miała skruszyć jego przysięga dożgonnej miłości. Szczegóły nie miały większego znaczenia. U stóp lodowej wieży musiał Zamborg powiedzieć coś, co zdolne było zniweczyć czar. Powrócił wraz ze swą ukochaną do rodzinnego kraju, gdzie w kilka lat później, po śmierci starego księcia, objęli tron.

Szanowny Ingold prawdopodobnie przyjąłby Śegosta tak, że o innej niż wieczorna porze dnia. Okazał mu nawet więcej szycliwości niż wymagał miejscowy obyczaj: sługa, któremu polecił zająć się gościem i pokazać mu komnatę, nie był zwykłym chłopem, ale jednym z rękodajnych. Wrażenie, jakie uprzejmość ta powinna wyrzeć, w sporym stopniu zniweczyło jednak zachowanie sługi. Jego lepsze pochodzenie dało się zauważyć po sposobie mówienia oraz obyciu i młodzian zupełnie niepotrzebnie starał się w oczach Śegosta zaznaczyć je bezceremonialnym odnoszeniem się do odźwiernego i pacholka szycującego dla wędrowca kąpiel.

Śegost nie czuł jednak potrzeby wychowywania Ingoldowych przybocznych. Podziękował, odświeżył się najszybciej jak mógł i kazał prowadzić do gospodarza. Nie chciał odwlekać spotkania z szanownym, choć nie przewidywał wtedy, że zostanie ono

przerwane tak szybko.

– AleŜ przykrość, Őŏlnierzu! – zawołał na jego widok gospodarz z tą samą teatralnoŏcią, którą naznaczona była rozmowa w karczmie. – Wina w całym domu ani kropli. No cóŜ poradę, nie zwykłem! Bodajbyŏ, Őŏlnierzu, uprzedził, Őe się do mnie wybierasz, poszukałbym gdzie, ale cóŜ...

– Pokłon temu domowi, waszym przodkom i opiekunom. – Dworska estarońska formuła powitania w połączeniu z rycerskim ukłonem wyraźnie sprawiła gospodarzowi satysfakcję. – Nie kłopotz się, szanowny Ingoldzie, piwo jest mi równie miłe. Wczoraj po prostu Płatka chciał się przed przybysem pochwalić winem z południa, a ja nie odmawiałem, by mu nie sprawiać przykroŏci. Mówił, Őe trzyma je dla księcia, który kiedyŏ u niego pijał, ale Őe teraz juŏ stracił nadzieję, by się jeszcze miało przydać.

Ingold westchnął cięŏsko, jakby goŏc przypomniał mu o jakimŏ ciąŏcym od dawna na sercu problemie. Usiadł za stołem, wskazał miejsce rozmówcy i po chwili odezwał się juŏ całkiem normalnym tonem:

– Jedz, Őegoŏcie, pij i w ogóle... Nie przeszkadza ci, mam nadzieję, Őe będziemy sami? Nie tęsknisz za huczny przyjęciem?

– Bynajmniej. – Őegost upewnił się spojrzeniem przez ramię, Őe rękodajny Ingolda opuŏcił jadalnię i zamknął za sobą drzwi. – Zwłaszcza Őe, jak się pewnie domyŏlasz, nie przyszedłem tu dla biesiady, tylko Őeby porozmawiać.

Wzniósł wysoko gliniany kufel, spoglądając gospodarzowi w oczy. Wypili obaj.

– Owszem. I, przyznam, spodziewałem się, chociaŏ nie tak szybko. Tak jest zawsze: po paru kuflach prędko rezolucja, a potem do poczciwego Ingolda, Őeby jednał... – Szanowny naleŏał do ludzi, którzy przy piwie łatwo się rozgadują. – Nie powinieŏs byŏ sobie z nas kpić, nigdy tego na przyszłość nie róŏ. Wszyscyŏmy się zrobili na tym punkcie bardzo draŏliwi, a Rejmus zwłaszcza... No, nie martw się, nasz bohater ma swoje wady, ale pamiętliwy na pewno nie jest. Zły był wczoraj, fakt, całą drogę obiecywał, Őe ci wypuŏci flaki, zanim zdąŏysz umknąć z księstwa. Ale do dziś pewnie mu juŏ przeszło, znam go. Zajedziemy doń wieczorkiem z jakim dzbanem, jeszcze się powŏcieka dla honoru i tyle będzie. Niech tylko pomyŏlę, ale zdaje się, Őe powinien być w Ruerhu... Chyba ksiąŏ nie kazał znowu, tak od razu, niewaŏne zresztą...

– Nie, Ingoldzie. Nie o to chodzi. Nie myŏlę o jednaniu się z Rejmusem, w kaŏdym razie nie o tym chciałem rozmawiać.

– Nie? – Ingold, zdziwiony, odstawił kufel na stół. – To o czym?

– O księciu.

Izba, w której siedzieli, jak i cały dwór, który Őegost obejrzał sobie od zewnątrz, sprawiała wraŏenie utrzymywanej doŏc niedbale. Sprzątano tu, owszem, ale w ustawieniu

i doborze sprzętów nie można było dostrzec śadnego wyboru i racji. Dworzyszcze miało swoje lata, Ingold musiał je przejąć po poprzednim dzierśawcy i pewnie nie czuł się do niego aż tak przywiązany, by kazać cokolwiek zmieniać czy ozdabiać.

Szczytową ścianę izby ponad miejscem zarezerwowanym przy stole dla gospodarza zdobiło parę sztuk starej bądź ceremonialnej broni i kilka ususzonych, powleczonych błyszczącym pokostem ryb – głównie kogutów morskich, takich samych jak w karczmie Płatki, tylko znacznie większych okazów. Nie wyglądały na tej ścianie ani mądrze, ani gustownie, ale widocznie należały do tutejszego obyczaju.

– O księciu... Prawdę mówiąc, to ty, Őłnierzu, prędzej byś mi mógł coś o księciu opowiedzieć. Dawno już z nikim tak długo nie rozmawiał jak z tobą. I o czym to, jeśli wiedzieć wolno?

– Powiedział mi mniej więcej to samo, co i wy. Őeby nie wtykał nosa w tutejsze sprawy, a najlepiej pozbierał swoje rzeczy i ruszał gdzieś, gdzie mogę liczyć na zaciąg.

– Oczywiście, nie zamierzasz posłuchać?

– To jedna z przyczyn, dla których sobie pozwoliłem złoŹyć tę wizytę. Ale to później. Powiedziałeś, Ingoldzie, Őe z nikim od dawna już tak długo nie rozmawiał jak ze mną. A ze mną przecieŹ wymienił raptem parę zdań. Zresztą trudno to nawet nazwać wymianą zdań: rzekłbym raczej, Őe ksiąŹę pan raczył rzucić pod moim adresem kilka poleceń, po czym odwrócił się i wyszedł, nie wątpiąc, Őe zostaną wykonane.

Ingold uśmiechnął się krzywo.

– Zgadza się. Tak zwykł się zachowywać: „Tego a tego dnia jesteście ze mną na uczcie w Ravingen, nie pętać mi się po stolicy”. I ani słowa dyskusji.

– Mam rozumieć, Őe wasz ksiąŹę zwykł obcesowo traktować nie tylko przybłędów, ale i swoich szanownych? A czemuŹ to, znasz moŹe jakieś wyjaśnienie?

– A temuŹ – Ingold znowu się uśmiechnął, tym razem z przesadną słodyczą – Őe nasz ksiąŹę pan raczył być zgłupieć. Zgłupieć i zdziwaczeć. To się, niestety, czasem zdarza panującym i jeśli się zdziwisz, Őe nigdy o podobnych wypadkach nie słyŹałeś, to przestanę wierzyć, byś naprawdę naleŹał do cechu najemników.

– SłyŹałem, dlaczego nie. Nawet znam parę takich wypadków osobiście. Ale z reguły, jeśli panującemu zdarza się coś, co jego rycerze okreŹlą mianem zgłupienia lub zdziwaczenia, to ma to jakąś przyczynę.

– Jasne. Czy ktoś mówił, Őe nie ma przyczyny? KsiąŹę pan zgłupiał i zdziwaczał z przyczyny, która jego starym przyjaciółom i wiernym rycerzom jest doskonale znana. Dlatego dokładają starań, aby o wstydlivym stanie umyŹłu księcia nie gadano zbyt wiele poza ich gronem.

– Jakkolwiek sami, w owym gronie, nie odmawiają sobie przyjemności kpienia

z miłościwego pana ile wlezie.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy dla gościa – zauważył Ingold – ale wydaje mi się, że to sprawa, o której nie powinieneś w taki sposób mówić. Gdybyś się był wczoraj powstrzymał, nie doszłoby do tego godnego pośladowania incydentu w Trychnie.

– Bardzo bym nie chciał uchybić gospodarzowi, Ingoldzie, ale w tym punkcie ja z kolei jestem drażliwy. Mam swoje wady, ale zwykłem się bardzo brzydzić fałszem. Zawsze jak widzę, gdy kogoś obgadują za plecami, bierze mnie gniew, że mogliby sobie podobnie postępować i ze mną.

Ingold nie od razu odpowiedział. Sięgnął po chleb, przez chwilę maścił kromkę grubo smalcem i posypywał solą. Zanim ugryzł, zaprosił gestem Śegosta, by również się częstował. Miało to i swoje symboliczne znaczenie, Ingold najwyraźniej liznął w Śyciu południowej ogłady. Zapraszając gościa do jedzenia, pokazywał, że ujawniona w rozmowie różnica zdań nie umniejsza Śyczliwości dla niego.

– Nie bądź skory do podobnych sądów, Śegoście – rzekł wreszcie. – Znamy Zamborga od wielu lat, wykończyliśmy razem więcej beczek, niż byś może umiał, bez urazy, swoim Śołnierskim rozumem policzyć. Co na niego gadamy, to z tej starej przyjaźni i z... i z Śalu. Tak. Ale nam wolno. Z tobą nie powinienem rozmawiać w ogóle, gdyby nie to, żeś uparty i szkoda mi cię pozostawiać w błędzie.

– Zresztą – dodał, przeżuwszy kolejny kęs – jeśli zamierzasz tu szukać jakiegoś zajęcia, będziesz musiał zajrzeć do Ruerhu, inaczej wręcz nie wypada. No, a jak się znajdziesz na dworze, to i sam zobaczysz. Na własne oczy.

– Co zobaczę?

Ingold odłożył napoczęty chleb, odsunął się nieco od stołu, jednocześnie pochylając w stronę rozmówcy, podobnie jak robił to w karczmie szanowny Rejmus, i tym samym dudniącym głosem, który tak wtedy Śegosta irytował, powiedział dobitnie:

– Wiedźmę, na rogi Kebdira! Najpaskudniejszą wiedźmę, jaką ci się w Śyciu zdarzyło widzieć! Nie wierzę, że byś był tak głupi, że jeszcze się tego nie domyśliłeś.

Śegost z nieprzeniknioną twarzą śuł czerstwawy chleb, potem popił go piwem.

– Zgaduję, kogo musisz mieć na myśli, Ingoldzie. Ale jak dotąd od wszystkich słyszałem coś wręcz przeciwnego. Śe pani Khielve jest ponoć nieziemsko wręcz piękna.

– Piękna, piękna! Pewnie, że jest piękna. Gdyby pozostała, jak ją głupi Zamborg zobaczył, w jakimś kryształ, może bym i sam się w niej zakochał; chociaż teraz już trochę przywidła, czas przecieś swoje robi. Nie myślę o jej urodzie, Zegoście. Babsko patrzy na ciebie, jakbyś nie był szanownym, ksiąścym rycerzem, tylko kupką nawozu. Tfu, do stu czartów, ja wiem, że jej matka, diuszesa, pochodziła w prostej linii z królewskiej rodziny i że gdyby jej nie byli otruli czy zarżnęli, nasza księżna nie

siedziałyby na tych parszywych skałach, tylko w jakiejś bardziej godnej jej urodzenia stolicy. Ale bywałem, mości Zegoście, mośesz mi wierzyć, i na wielkich dworach, widywałem większe władczynie, a Śadna nie miała w sobie ani połowy tej wyniosłości i pychy. Uwierzysz, Śe ona się takimi ludźmi jak ty czy ja po prostu brzydzi? Brzydzi się, jak padliną! Śebyś widział, jaką ma minę, kiedy juŚ naprawdę musi zamienić z kimś parę słów!

Ingold nie starał się podnosić głosu. Po prostu nie umiał mówić inaczej, trzeba było się do tego przyzwyczaić. Zwłaszcza, będąc u niego w gościnie.

– No, tak. – Gospodarz plasnął dłonią o stół, dolał sobie oraz gościowi piwa i wznosił kufel. – Niech słuśy, Zegoście. Sam rozumiesz. Normalnie ksiąŚę dawno by juŚ, jak bogowie przykazali, odesłał rodzicom małŚonki jej posag, z nią samą na dokładkę, i wziął jaką inną. Bergh to nie jest pierwsze lenno w królestwie, niech tam, nawet i nie dziesiąte, ale zawszeć księstwo, kandydatek by nie zabrakło. No, ale to przecieŚ jego ukochana wybranka, po którą się wyprawiał do Skanningen. Wielka miłość, bardowie o tej wielkiej miłości śpiewają bodaj do dziś, a w kaŚdym razie kiedyś śpiewali. No i ta chędośona przysięga... To wiesz? Śeby ją z tego lodu wydłubać, zaprzysięgał, juŚ się nawet boję samego wymieniania na jakie potęgi, Śe będzie ją całe Śycie kochał, czcił i otaczał opieką... Bodajby, głupiec, nigdy tego nie robił. Tkwiloby babsko w tym Shizzandrowym lodowcu, w sam raz dla niej miejsce, a nie ksiąŚęcy dwór... WyobraŚasz sobie, Śołnierzu, dworską ucztę, na której księśna pani siedzi odęta, jakby ją kolka sparła, z gębą jak na pogrzebie, ani tknie kielicha czy misy, Śeby kaŚdy widział, Śe to nie na pani Khielve podniebienie takie jadło ani nie na jej obyczaj taki dwór... I, uwaŚasz, przez cały czas nie odezwie się ani słowem. Tylko siedzi, jakby miała rzec: „a idźcie wy wszyscy wreszcie czarnemu trollowi w dupę”, tylko Śe nawet tego jej się nie chce do kogoś takiego jak ty powiedzieć. WyobraŚasz to sobie, Śegoście?

– Nie. Nie wyobraŚam.

– No, tego juŚ przynajmniej nie zobaczysz. Zamborg w końcu dość miał świecenia przed gościami oczyma ze wstydu i w ogóle przestał uczyty urzędzać. Od dobrych sześciu lat juŚ się nie zdarzyło. Nawet na zimowe słońce! W sumie wyszło jeszcze gorzej, bo wszyscy sąsiedzi się na nas poobraŚali. I pewnie, boŚ to zwykłe grubiaństwo. Grafa Ravingen ledwie się Rejmusowi udało udobruchać na tyle, by przynajmniej nie wyzwał Zamborga na pojedynek. Nie wiem, jak to zdołał zrobić. My teraz nie bardzo mamy czego szukać po ościennych dworach. Zaraz ci wyjadą w oczy z Zamborgowym dziwactwem i co zrobisz, prawdy powiedzieć nie mośesz, a Śeby tak słuśać, jak na twojego pana wygadują, i nic, teŚ przecieŚ nijak. Więc siedzimy w tym zapyziałym księstwie, zamiast błyszczeć po turniejach. Ktoś normalny, Śegoście, na miejscu księcia

pana sprawy jaśnie panią raz i drugi po jaśnie wielmożnym tyłku, jeśli nic innego nie pomaga, i może by nabrała rozumu. No, ale Zamborg zamiast tego zgłupiał jeszcze bardziej... I ot co.

Ingold, kiedy już się rozgadał, nie potrzebował wcale rozmówcy. Wystarczał mu słuchacz. Toteż Śegost nawet nie próbował przerwać jego wymowy. Słuchał uważnie, nie wtrącając swoich pytań.

– Nie moja sprawa Zamborga sądzić, ale powinien postawić sprawę jak mężczyzna i jak księżę, zamiast kręcić jak szczeniak. Przysięga, co tam warta przysięga dzieciaka, lata minęły... I tak się przecież tajemnicy długo nie utrzyma. No, i teraz ta przepowiednia.

– Przepowiednia? – podchwycił Śegost.

– A co, nie słyszeliście? To i nie powinienem wam mówić, żołnierzu.

– Może i nie powinniście. Ale skoroście już zaczęli...

– Jakby mało jeszcze było to wszystko pokręcone – westchnął Ingold – czcigodnego Everarda z Kalboru z małżonką musiało zanieść podczas jednej z podróży na Wieszcza Górę. I patrz, co za złośliwe błazny z tych kapłanów. Zazwyczaj, wydrwigrosze, nabelkocą, nabelkocą, Śe łbem bij w ścianę, nic z tego nie pojmiesz. A tym razem akurat ichni chędożony wieszczy musiał całą wróżbę sformułować tak jasno, Śe jaśniej nie można.

– I coś takiego wywróżył czcigodnemu Everardowi?

– Do czorta z tym, co wywróżył jemu. Jakieś tam sukcesy, bogactwo i temu podobne. Ważna jest wróżba, jakiej Śercy udzielili jego małżonce. Ni mniej, ni więcej, tylko Śe zostanie księżną Ruerhu. Kropka. Nie Śadne: „wielka cię czeka radość blisko szarego kamienia, jeśli się ustrzeżesz dziurawej kobzy”, czy inne tam, Śe „najlepsze kasztany są na małym rynku w Skurgonie”. Kawę na ławę: „pani, będziesz księżną Ruerhu”. I co więcej trzeba? Takiej przepowiedni w tajemnicy nie utrzymasz, wszystkie ptaszki... tfu, na psa urok! W każdym razie prędzej czy później musi się roznieść.

– Prędzej czy później – przyznał Śegost. – A co na to czcigodny namiestnik z Kalboru?

– A wiesz, Śegoście? Wszyscy się nad tym zastanawiamy. Większość jest zgodna, Śe wie o wszystkim od dawna, tylko umie się zachować jak przystoi na dwornego męża i królewskiego dyplomatę. Zamborg, głupi czy nie, to w końcu księżę. A ja wręcz bym się nie dziwił, gdyby namiestnik sam małżonkę namówił do takiej służby interesom królestwa. Everard z Kalboru, może o tym nie wiesz, jest w wielkich łaskach u dworu, czy raczej, powiedzmy, u kanclerza. I ceni to sobie wielce. Wschodząca gwiazda królewskiej służby, wiecznie jak nie w ważkich misjach, to z kurtuazyjną wizytą w tej czy innej prowincjonalnej dziurze. A Belisenna, biedactwo, ma bezpożytecznie siedzieć

w zamku sama i czekać? On przecież w tych podróŜach teŜ w łoŜu nie marznie... No ale, niestety, nasz Zamborg na zrozumienie u swego babsztyla liczyć nie moŜe. I w tym całe nasze nieszczęście, bo zmusza nas do tej błazenady i udawania co raz, Őe niby pojechaliśmy z nim... Nawiasem mówiąc, wyjątkowo by to był głupi pomysł!

Ingold, śmiejąc się serdecznie, dolał sobie z dzbana. Czynił to zresztą dość często, im częściej, tym robił się bardziej oŜywiony i wymowny. Rzadko widać miał równie wdzięcznego słuchacza i korzystał z tego z chęcią.

– Głupi by to był pomysł, brać Rejmusa ze sobą. Bo nasza pani Belisenna, jeśli zrozumiesz, co mam na myśli, darzy go akurat Őywiołową abominacją. Liczne, pojmujesz, sukcesy odnoszone u dam uczyniły szanownego nieco rozzuchwalonym i pani Belisenna chyba poczuła się przez niego źle oceniona. – Ingold zaniósł się śmiechem, od którego w karczmie u Płatki zatrzęsłaby się powała.

Őegost jakoś nie zmusił się, by dzielić Ingoldową wesołość. Zapewne powinien; gdyby był wtedy jeszcze odrobinę pociągnął szanownego za język, moŜe nie zrobiłby potem głupstwa. W kaŜdym razie Ingold, widząc, Őe rozmówca nie myśli rechotać wraz z nim, zaczął z wolna zmieniać temat.

– Ot co, Őołnierzu – podsumował wreszcie. – Sam widzisz, jak z tym wszystkim wyglądamy. Udawać, Őe się nic nie dzieje, nie sposób, a przyznać prawdy nie sposób tym bardziej, jeśli jej kto jeszcze z plotek nie poznał. Nie wiem nawet, czyby kto uwierzył. Przez te pieśni bardów w całym królestwie damy dworu wzdychają, jakaŜ to musi być piękna para, nasi ksiąŜe pan i pani. A tu w końcu nawet rybole zaczynają coś dostrzegać.

– Zdaje mi się, Ingoldzie, Őe rybacy mają teraz inne zmartwienia. Przynajmniej ci twoi i ich kamraci z Cugiertu.

– Aha. Nie myśl, Őe nie słyszałem: pojawił się na zatoce morski potwór z północy, mściciel Shizzandra, sieci rwie, straszy baby na wydmach i przewraca przed świtem łodzie. Prawda? Nikt go wprawdzie nie widział, ale są dowody: trzy czy cztery łodzie się przez ostatnie pół roku potopiły. DajŜe spokój, Őołnierzu. Nie pochodzę stąd, ale mieszkam tu juŜ dziewiąte lato i co roku mi ubywa paru poddanych, a to w sztormie, a to przez skały czy wiry, a to jeden Kebdir wie dlaczego, bo po prostu nie wrócił taki z morza, i szukaj, jak chcesz. Nikt by nie plół o Őadnych potworach, gdyby chłopów nie gryzła ciekawość, co to się na dworze wyrabia i gdzie tak ciągiem zaczął jeździć ksiąŜe pan. No, a tego im przecież nie będziesz tłumaczył. Więc wymyślają czort wie co.

– Ale tam jest potwór, Ingoldzie. Na zatoce. Jest, moŜecie mi wierzyć.

Ingold właśnie próbował dolać sobie z pustego dzbanka piwa i gdy podniósł wzrok, trudno było zgadnąć, czy wypisane na jego twarzy zniechęcenie miało dotyczyć ostatnich słów gościa, czy po prostu braku napitku. Gospodarz podniósł się z westchnieniem,

uchylił drzwi i zawołał o następny dzbanek.

Na szczytowej ścianie obok wysuszonych ryb wisiał także krótki mieczyk w zdobionej pochwie – zdobionej dość bogato, choć bez specjalnej pomysłowości. Nie była to broń przeznaczona do walki. Takie miecze przyznawano jako wyróżnienie giermkom z królewskiej estarońskiej drużyny. Dwa pokolenia wcześniej otrzymać od króla podobny dar było dla młodzieńca ogromnym wyróżnieniem. Teraz już nie. Po wojskowych reformach poprzedniego władcy do drużyny królewskich giermków formalnie należeli wszyscy najstarsi synowie rycerskich rodów z metropolii i głównych prowincji, a mieczy przy różnych okazjach narozdawano im tyle, że można je było oglądać w co trzecim zamku.

Ingold wrócił po chwili na swoje miejsce, odczekał, aż zamkną się drzwi za sługą, i westchnął ciężko.

– A miałem cię, Segoście, za poważnego człowieka... Więc, powiadasz, mamy potwora. Skoroś taki przekonany, to pewnie już go widziałeś?

– Nie. Ale to będzie łatwe. Potrzeba tylko dwóch dziesiątek ludzi, kilku łodzi i doświadczonego dowódcy, który pokieruje poszukiwaniami. Dowódcę masz właśnie przed sobą, z ludźmi i łodziami też problemów nie będzie.

– Ale z zapłatą będą. Nie kpij sobie, Segoście, Zamborg cię nigdy do takiej roboty nie zaciągnie.

– Nie. Wy mnie zaciągniecie, panie Ingoldzie.

Gospodarz odstawił z rozmachem kufel na stół – w dwornym obyczaju był to najsilniejszy wyraz irytacji, na jaki można sobie było pozwolić, nie ryzykując wszczęcia pojedynku.

– I co jeszcze? Może wezmę cię na utrzymanie?

– Nie trzeba. Mój żołd wypłaca maszoperie. Wiecie, Ingoldzie, tacyście dworni, że dla was pracowałbym i za ten dzbanek piwa, ale bez żołdu służyć mi nie wolno, za takie rzeczy cech surowo karze.

– Proszę, proszę, jużście się, widzę, z moimi rybolami ułożyli? To niech wam i płacą, co mi do te...

– Dwie rzeczy wam do tego, panie szanowny. Pierwsza, że, jak powinniście wiedzieć, maszoperiom nie wolno czynić śadnych zaciągów w pokojowym czasie, a wam wolno, skoroście dzierśawca. A druga jest taka, że jeśli nic nie zrobicie, tylko będziecie głupio powtarzać po księciu, że się rybolom uroiło, to wiecie, ile będziecie mieli na jesieni z tej dzierśawy? Ucho od śledzia, jak to mawiają w stołecznym grodzie. Czyli ani szeląga, jeśli to nie brzmi dość jasno. A na tym, jak sądzę, powinno wam zależeć.

Gospodarz przyglądał mu się ni to zdumiony, ni rozbawiony.

– Albo jesteś od dawna szalony, Śegoście, albo musiałeś oszaleć od tego, jak cię Rejmus zajechał w łeb...

– To ja jego zajechałem.

Ingold machnął tylko ręką, Śe to nieistotny szczegół.

– A czemuŚ nie miałbym dostać na jesieni dzierŚaw? Chcesz powiedzieć, Śe się rybacy będą bali wypływać na łowiska? Nie takie...

– Posłuchaj, Ingoldzie. Opływałem dzisiaj zatokę. Cokolwiek tam jest, spłoszyło rybę. W zasięgu sieci twoich poddanych nie ma ani jednego łososa. I nie będzie. Wiesz dlaczego? Bo pojawiło się coś, od czego bije, wybacz fachową mowę, bardzo intensywna aura magiczna, przed którą szlachetne zwierzęta uciekają jak przed ogniem. Pytasz, czy widziałem potwora, więc odpowiadam: nie, nic nie widziałem. Ale poczułem jego istnienie. Zapomnij, Ingoldzie, o małŚeńskich kłopotach waszego księcia, bo to drobnostka w porównaniu z kłopotami, jakie się wam szykują. Oczywiście, moŚcie udawać, Śe nic się nie dzieje. Powtarzać sobie, Śe głupi rybacy plotą co bądź, a mnie przegnać w czorty z księstwa. Ale rozsądny człowiek, a tak o was wszyscy, Ingoldzie, mówią, Śeście tu jeden z najrozsądniejszych, nie powinien tak robić.

Cisza, jaka teraz zapadła, zdawała się trwać w nieskończoność.

– Jesteś tego pewny, Śołnierzu?

– Śe tak o was mówią?

– Nie, do kroćset! Tej, jak mówisz, magicznej aury?

– Bardziej niŚ jakiegokolwiek innej rzeczy, która dotyczy tego księstwa.

– A skąd moŚesz mieć aŚ taką pewność?

– Mogę i mam. NiewaŚne skąd, racz mi uwierzyć na słowo, Ingoldzie.

Gospodarz odsunął się gwałtownie od stołu i wstał. Posapywał z przejęcia, ledwie dosłyszalnie, ale wyraźnie. Otworzył okiennicę i przez chwilę udawał, Śe wygląda czegoś za oknem, choć na dworze zapadła już ciemność.

– A co ty, kurwa, wiesz o magii? – zwrócił się nagle do gościa. – W tych stronach rzadko się widuje najemnych Śołnierzy, ale znam was wystarczająco, by wiedzieć, Śe tego wojaków nie uczą. Księgi to teŚ nie wasza dziedzina, lada który potrafi przedukać co prostsze modlitwy. Czemu mam ci wierzyć?

– Nie musisz. Wezwij sobie starszego maszoperii i popytaj o łososa, potwierdzi, Śe nie kłamie. A co do magii, powiem, Śe wiem o niej dosyć jak na swoje potrzeby.

– Tak? MoŚcie cię to zdziwi, ale ja nie przesiedziałem całego Śycia na tej zapyziałej prowincji. – W głosie szanownego zadrgało przez krótką chwilę rozŚalenie. – Pobierałem nauki w szarkańskiej akademii, jeśli moŚcie kiedyś słyszałeś...

– Słyszałem, owszem. Przyrodzony od bogów umysł na to jest, byśmy nim samym

wyjaśnili wszystkie zawiłości i tajemnice świata. Ani myślę wdawać się teraz w filozoficzne spory, zresztą ponad wszelką wątpliwość mistrz Szarkan miał rację, że zdecydowana większość wypadków, które ludzie prości i naiwni zwykli tłumaczyć magią, znajduje rozumowe wyjaśnienia i że niechając ich szukania, godzimy się na gnuśnienie naszych umysłów. Oczywiście. Ale nawet on sam nie przeczył, że wysoka magia jednak istnieje. I zresztą inni filozofowie dawno już wywiedli, że jej istnienie wcale się z rozumem nie kłóci. Jeśli się, naturalnie, wie, czym magia w swej istocie jest.

– No? A czym jest, twoim zdaniem?

– Według mojej wiedzy magia to po prostu wola. Tyle że natężona ponad ludzką miarę. Tak samo, jak zdarza się czasem w wielkim uniesieniu tak natężyć mięśnie i rąbnąć, że miecz zatrzyma się dopiero na zębach, bodaj tam, na napierśniku. Albo dźwignąć głaz, pod którym siłaczowi pękłby kręgosłup. Mądrzy ludzie wiedzą, że nawet zwykłemu człowiekowi może się trafić, że co powie w wielkim wzruszeniu, spełnia się jak zaklęcie maga. Czasem spełnia się jeszcze i wtedy, gdy ten, kto powiedział, już nie żyje. Wielu znasz ludzi, którzy by się nie bali klątwy umierającego?

Ingold potrząsnął głową i nagłym ruchem przetarł obiema dłońmi twarz.

– Aha! Klątwa Shizzandra. Od lat o tym słyszę i jakoś...

– Ja bym jej sobie lekce nie ważył, Ingoldzie. Shizzander uchodził za potężnego czarnoksiężnika, nawet w swoim plemienu.

– Przekleństwo – rzucił Ingold. Wrócił do stołu i doławszy sobie do kufła, pociągnął na stojąco potężny haust.

– Przekleństwo na wszystkich czarnoksiężników – podjął. – Niechby zostali tam, na dalekiej północy, niechby ich ludzie nie oglądali...

– Niechby, niechby... Bądźmy sprawiedliwi, Ingoldzie. Oni z zasady nawet nie opuszczają swoich wysp. To my, z kontynentu, wyprawiamy się do nich z worami złota i prośbami, odkąd się zwiedzieliśmy, jakim mocom potrafia rozkazywać. Shizzander wcale nie porywał waszej księżnej, nawet jej nie szukał. Pozwolę sobie przypomnieć, że to jej ojczym, diuk Skjelgorde, oddał pasierbicę magowi w zamian za umówione przysługi, z których zresztą ten drugi w pełni się wywiązał. Cokolwiek sobie myślimy o śądaniu takiej akurat zapłaty i o tym, który na to śądanie przystał, diuk miał prawo rozporządzać pasierbicą wedle swego uznania.

– A to ciekawe – zaśmiał się Ingold. Jak często się w takich chwilach zdarza, chętnie skorzystał z okazji, by uciec myślą od postawionego przed nim problemu ku zupełnie innej sprawie. – Jeszcze nie słyszałem, by ktoś tak o tych rzeczach mówił jak ty teraz. Bardowie i ich słuchacze nigdy nie mieli wątpliwości, że księżniczkę należało uwolnić, a magowi wypruć flaki.

– Znam historię magów. – Śegost wzruszył ramionami. – I czasem dla zabawy lubię patrzeć na jakąś sprawę z innego punktu widzenia. PodróŜe, których sporo odbyłem, bardzo temu sprzyjają. Dziś trudno w to uwierzyć, ale przodkowie magów byli ludźmi jak inni, tyle Őe osiedli bardzo daleko na północy. Z czasem zaczęło tam być coraz zimniej, coraz trudniej, pastwiska i pola zamieniały się z roku na rok w mroźne pustkowia, a ludzie, którzy nie mieli dokąd uciec, umierali od zimna i głodu. Sądono, Őe wyginęli wszyscy. Potem okazało się, Őe niektórzy rozwinęli w sobie umiejętności, które pozwalały przetrwać na lodowej pustaci. Najzdolniejsi z nich stali się w ciągu paru pokoleń magami. Do dziś jest ich niewielu, Őyją w wielkim rozproszeniu, ale bardzo długo. No i, zdaje się, cierpią na brak kobiet. Bo przygoda waszej księŜnej pani nie była wcale niczym wyjątkowym, tyle tylko, Őe o niej jednej ułoŜono tyle strof. Magowie kupują dziewczynki z wysokich rodów i w ich pojęciu jest to równie uczciwe jak dla kupców z królestwa to, Őe biorą od was rybę. Słuchaliśmy tych samych pieśniarzy, Ingoldzie, więc uważamy, Őe Zamborg uwolnił ukochaną ze srogiej niewoli i Őe to była bohaterska, godna podziwu wyprawa. Ale gdybyśmy byli Shizzandrowymi krewniakami, uznałbyś za równie oczywiste, Őe ten Zamborg to podstępny zbój, godzien, by go obedrzeć ze skóry, a jego księstwo spustoszyć do gołej ziemi.

Gdy Śegost mówił te słowa, Ingold wrócił na swój zydel i przypatrywał mu się z zaciekawieniem. Nie spytał jednak, skąd u wędrownego Őołnierza ta wiedza i podobne pomysły. Kręcił tylko z podziwem głową jeszcze długo po tym, jak rozmówca skończył.

– A niech cię, Őegoście. Hm, prawdę mówiąc, sam bym im chętnie jeszcze dopłacił, Őeby babsko zabrali z powrotem. KaŜdy, kto zna sprawy, potwierdzi ci, Őe Zamborg Őciągnął tę sławną wyprawą nieszczęście na siebie i na księstwo, wszystko się od tej chwili zaczęło psuć... Ale jeśli w ogóle Shizzander ma jakiegoś mściciela, to czemu on przez tyle lat zwlekał? I przede wszystkim, cóŜ by to niby miała być za zemsta, topić ryboli? Co za pomysł? Akurat się Zamborg raczy tym zmartwić. Gdyby mu całą wioskę zatopili, ledwie by dopiero zauwaŜył...

– Ano właśnie – podjął Ingold po chwili zamyślenia. – KsiąŜę. Widzę z tego, co tu mówisz, Őegoście, Őe to z nim musisz porozmawiać, nie ze mną. Cóż ja mogę...

– JuŜ powiedziałem, co moŜesz. Zaciągnąć mnie. Nic za to nie zapłacisz, a pewnie zyskasz.

Ingold był wyraźnie zakłopotany. Przyglądał się ścianom, jakby spodziewał się dostrzec na nich jakiś argument pozwalający mu uprzejmie odmówić propozycji Śegosta.

– Dziwne – rzekł wreszcie, wskazując wzrokiem uchyloną okiennicę. – Jakby tętent koni. Słyszysz, Őegoście?

– Nic nie słyszę.

– Tak, teraz umilkł. MoŜe mi się zdawało.

– MoŜe. Powiedzcie lepiej, co się wam zdaje, gospodarzu, w kwestii mojego zaciągu?

– Zdaje mi się – Ingold nabrał powietrza – Ő powinniśmy wcześniej pomówić o tym z Zamborgiem.

– Który jeśli poprosisz go o rozmowę w tej sprawie, kaŜe nam czekać lichu wie jak długo. Jest lepszy sposób, Ingoldzie. Jako suweren Zamborg musi wyrazić zgodę na twój zaciąg, tak wynika z naszych cechowych praw. Podpiszmy patent i poślij go do kancelarii, wtedy ksiąŜe pan będzie zmuszony do podjęcia jakiejś decyzji. To najlepsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy. Sam wprowadzicie mam nadzieję widzieć się z Zamborgiem w najbliższych dniach, ale bez gotowego dokumentu moŜe nie zechcieć podejmować w rozmowie ze mną tego tematu.

– Mistrz Szarkan, skoro nam się dziś o nim zgadało, pisał, Ő nie naleŜy rozwaŜać spraw po zachodzie słońca. Czas na myślenie jest rano, na ćwiczenie po południu, a wieczorem na zabawę. Poczekajmy z tym do czasu na myślenie. – Ingold na dłuŜszą chwilę zanurzył usta w piwie, rad z siebie, Ő zdołał na jakiś czas wybrnąć z problemu. Odstawił kufel i, jakby teraz dopiero usłyszał ostatnie słowa gościa, powiedział: – No proszę, spodziewasz się audiencji u księcia, a mi opowiadasz...

– Nie mówiłem nic o audiencji. Jutro muszę stawić się w Ruerhu, bo zabiłem dziś człowieka. A to bez względu na okoliczności wymaga zawsze sądu miejscowego władcy.

Spodziewał się, Ő gospodarz będzie bardziej zdziwiony. Ale Ingold popatrzył nań tylko z miną znaczącą, Ő czeka na dalsze szczegóły.

– Zostałem napadnięty na plaŜy, niedaleko Trychny Broniłem się.

– Coś podobnego... Ani myślę wątpić w twoje słowa, ale trudno uwierzyć. Napadnięty? O tej prowincji moŜna powiedzieć wiele złego, ale takie rzeczy zdarzają się tu nader rzadko. KaŜdy kupiec potwierdzi. Z samych nudów Zamborgowa druŜyna wytepiła niemal do ostatniego wszystkich obwiesiów imających się podejrzanych zajęć. Ostatniego spławili w zatoce bodaj parę lat temu, a i wtedy szło, jeśli pamiętam, bardziej o jakąś prywatną pomstę niŜ o rozbój. I kto by w ogóle napadał wędrownego Őłnierza? Zrabować takiemu nie bardzo jest co, a w łeb zarobić łącno...

– Nie napadł mnie Őaden zbój, tylko właśnie ksiąŜęcy druŜynnik. Być moŜe z nudów. Nie chciał niczego rabować. Chciał mnie zabić. Nie taił tego zamiaru, choć, niestety, nie wytłumaczył jego przyczyn.

– KsiąŜęcy...?

– Znałeś go zresztą, pił z wami wczoraj. Ten blondyn, jak mu tam mówiliście... Woyt?

Teraz dopiero mógł przyjrzeć się, jak wygląda szanowny Ingold, kiedy jest bardzo zdziwiony. Ale i to nie trwało długo.

– Aha – rzekł ze ściągniętą twarzą. – Przyjmijmy... Miałeś jakąś zwadę z drużynnikiem i nieszczęśliwie trafiłeś go tym swoim drągiem...

– Źeby być ścisłym, nośem do wikliny, który przypadkiem się nadarzył w pobliżu.

– ...co, trudno, zdarza się czasem między zbrojnymi. Ale w takiej sytuacji zamiast do Ruerhu – kontynuował Ingold – przychodzisz najpierw do mnie? Zatajasz to, co się zdarzyło, i namawiasz mnie, żebym podpisał i wysłał do kancelarii patent zaciągu?

– Zgadza się.

Ingold pokręcił głową. Minę miał teraz zupełnie inną niż jeszcze przed kilkoma minutami.

– Nadużywasz mego zaufania i gościnności. Doprawdy, nadużywasz.

– Niczego nie zataiłem. Sam wam mówię, jak było. Nie mieliśmy żadnej zwady, tamten przyszedł mnie zabić wtedy, gdy nie miałem przy sobie broni. Może nie mógł przeboleć wczorajszej zniewagi szanownego Rejmusa, a może z jakiejś innej przyczyny. Liczę, że się to wkrótce wyjaśni. Przeszedłem najpierw do was, bo sprawa z potworem jest pilniejsza niż tłumaczenie się urzędnikom księcia, co zaszło.

Ingold nie wyglądał na przekonanego, ale zanim odpowiedział, rozległo się pukanie do drzwi. Po czym po przyzwalającym okrzyku gospodarza do izby wszedł Ingoldowy rękodajny, by oznajmić przybycie książecego drużynnika Zegli z dwoma sierżantami.

Rozdział 3

Zegla nie przypominał druŝynników, z którymi Őegost bił się w Trychnie. Nosił wprawdzie te samą barwę co oni, choć nieco bardziej spłowiła, ale przy pasie nie miał ani zbójeckiego, łuczniczego noŝa, ani marynarskiego tasaka, tylko zwykły jednoręczny miecz. Przede wszystkim był męŝczyzną mocno juŝ w sile wieku, o siwych węsach, ogorzalej twarzy i krępej, ŝylastej posturze. Őegost zdawał się nie budzić w nim innych uczuć, niŝ budzi w drwalu drewniany kloc, który ma pociąć. Kazali mu go odnaleŝć na Ingoldowym dworzyszczu i odwieŝć do ksiąŝęcej warowni, więc odnalazł i odwoził. Kazano mu odebrać broń, więc odebrał i polecił jej pilnować sierŝantom – Őaden z nich teŝ nie był młodzikiem. Ale skoro szanowny Ingold zdobył się na kolejny Őyczliwy gest, poręczając za swego goŝcia, Őe nie będzie próbował ucieczki, bez oporu odstąpił od skuwania więźniowi rąk. Zwłaszcza Őe Ingold wyraził teŝ gotowość uŝyczenia Őegostowi konia.

To ostatnie wyraŝnie Zegłę ucieszyło.

– Gdybym was musiał, Őołnierzu, przed sobą pędzić, nie zajechalibyŝmy do Ruerhu jak dopiero ze ŝwitem – wyjaŝnił. – A tak i my zdąŝymy sobie jeszcze parę godzin pospać.

Przysłani druŝynnicy nie pochodzili bowiem z garnizonu ksiąŝęcej warowni. Stali załogą w Narwardzie, grodzie między dwoma jeziorami, pilnującym skrzyŝowania wiodących w cztery strony ŝwiata szlaków – tym samym, gdzie dwa dni wcześniej Őegost opowiadał się jako nowo przybyły sekretarzom groddzierŝcy.

– A czemuŝ to was akurat przysłali, rotmistrzu? – zagadnął Őegost, gdy mieli juŝ za sobą sporą część drogi. – Przecieŝ z Ruerhu bliŝej.

– Jaki tam, do czorta, ze mnie rotmistrz! – Őachnął się druŝynnik. – Widzieliŝcie kiedy rotmistrza, co się tłuŝe po nocy za... – miał, zdaje się, na końcu języka „za byle kim”, ale nie powiedział tego na głos.

– To jak was zwać?

– Zwyczajnie, Zegla. A czemu przysłali, skąd mam, u czorta, wiedzieć? Przyszedł z baszty rozkaz, to pojechali my. Ot, tyle.

W starych prowincjach królestwa, do jakich zaliczano Bergh, rozbudowano sieć warowni na tyle gęsto, by z kaŝdej wieŝy widać było co najmniej dwie sąsiednie. W dzień przekazywano z nich znaki kolorowymi chorągwiami, w nocy – przysłaniając i odsłaniając zapalaną na szczycie lampę.

– No, moŝe i wiem – rzekł wreszcie Zegla po zastanowieniu. – Moŝe dla waszego bezpieczeŝstwa. Tamci pewnie gotowi by się na was mŝcić za kompana.

– Myślicie?

– Ano, paniczycy z Ruerhu trzymają się razem, Śadna nowina. Synalkowie szanownych i dworaków, czort z nimi, posłuŜy taki parę lat i juŜ łapę nastawia po szlify...

Zamilkł, nie kontynuując tego wątku, i przez pewien czas znowu nie dawał się wciągnąć w rozmowę. Popatrywał tylko po sierŜantach, z których jeden jechał przodem, a drugi zamykał pochód – ale obaj wydawali się być zbyt daleko, by ich słyszeć. Sam Zegła trzymał się przepisowo po lewej stronie Śegosta i odrobinę za nim, tak Śeby w razie czego mieć wygodne cięcie. Jechali stosunkowo szybko, bo noc była bezchmurna i droga rysowała się wyraźnie w blasku księŜyca.

Zegła, zagadywany, wolał odpowiadać pytaniami; dowiadywał się o warunki słuŜby w Orwanie, o cech najemników, ale nie wydawało się, aby odpowiedzi naprawdę go interesowały.

Śegost zdołał wyciągnąć z niego jeszcze tylko jedną informację:

– Tak, trochę go znałem – przyznał druŜynniki. – Drań, ale śmiały chłopak. Z takich, co ciągle patrzą za jaką bitką, a w garnizonie ledwie potrafią wysiedzieć. Gdyby się trafiła jakaś wojna, albo by szybko dał gardło, albo wrócił sławny jak sam pan Rejmus. A tak, cóŜ. Zmarnował się.

Do bramy grodu na półwyspie dotarli, zanim jeszcze księŜyc sięgnął szczytu swej niebieskiej wędrówki. StraŜnicy nie kryli zmęczenia; nie wdając się w długą pogawędkę z bramnym, zaŚądali od razu zaprowadzenia ich wraz z aresztantem do kordegardy.

Nie była to typowa kordegarda, jakie zdarzało się Zegostowi odwiedzać w róŜnym charakterze. Ciasne pomieszczenie, gdzie ich posadzono, gdyby nie brak jakichkolwiek ozdób, przypominałoby do złudzenia kupiecki kantorek; stało tam kilka ław, na których natychmiast poroziadali się straŜnicy, długi dębowy stół oraz wysoki pulpit z sekretarzykiem, którego zamknięcie opatrzone było w tej chwili lakową pieczęcią. Zegła nie pozwolił aresztantowi usiąść obok siebie – gestem wskazał mu drugą ławę, tak by druŜynniki mieli Śegosta przed sobą. JuŜ wcześniej im bardziej zbliŜali się do grodu, tym bardziej się robił mrukliwy i niechętny; widocznie uznał, Śe niepotrzebnie pozwolił aresztantowi zanadto się ze sobą spoufalić.

Nie czekali długo. W sąsiedniej izbie rozległy się kroki i do kantorka weszło dwóch ludzi – grodowy straŜnik w trudnym do określenia wieku, gruby i zaspany, z podoficerską belką na rękawie, oraz wymoczkowaty sekretarz. Ten ostatni zaraz otworzył w dębowym stole ukrytą przed wzrokiem siedzących szufladę, wyjął z niej plik papierów oraz pisarskie przybory i stanąwszy za pulpitem, rozkładał je przed sobą.

– Aha – rzekł zaspany, przyglądając się Zegostowi z odległości, którą zapewne uznawał za bezpieczną. – Więc to ten?

Jeden z sierŃantów połoŃył na stole szponton Ńegosta, jego nŃŃ i sakwę. Zegła w tym czasie podszedł do zaspanego ze złoŃonym w ćwiartki dokumentem.

– Daj szton, dziesiątka, i pójdziem kimnąć – mruknął.

– Kpisz, wacha. A kto mi go tu dotrzyma, ten kmiotek? – Dziesiątnik pokazał podbrŃdkiem sekretarza. – Takiego ćwika, co Woyta pochlastał? ZnałeŃ Woyta? Czego on w ogŃle nieskuty?

– Bo nie Ńaden przycios, tylko cechowy człowiek, zresztą szanowny poręczył.

– Poręczył, poręczył. A jak drapnie, to nas wydeboszują, nie szanownego. Siedzcie tu, póki go Lagrewin nie przejmie.

Ostatnie imię zabrzmiało Ńegostowi znajomo. Drgnął, choć trudno by sądzić, Ńe mogło chodzić o tego właŃnie Lagrewina. Siedział więc nadal nieruchomo, słuchając obojętnie tej wymiany zdań. StraŃnik w kaŃdym razie wziął od druŃynnika papier i nie rozkładając, przekazał go sekretarzowi.

– To dźwignij swoich zydli, jak się tak trzęsiesz, i daj szton, mówię, widzisz, Ńe się pada – powtŃrzył zezłoszczony Zegła.

Dziesiątnik popatrzył na niego niechętnie, potem obrŃcił się demonstracyjnie w stronę pulpitu.

– Spisujesz, Synal?

– JuŃ, juŃ... Ńegost, najemnik z estaroŃskiego cechu...

– Jak spiszesz, kopnij się do profosa i weź od razu szton dla tych tu Ńpiochów.

Wymoczek za pulpitem skinał głową.

– Taki mądry, bo ich tu cała kupa, więcej siedzą nad dzbanem i talerzem, niŃ wyjdą na ulicę. – To mówił jeden z sierŃantów niby do drugiego, ale tak, Ńeby słyszeli i dziesiątnik, i sekretarz. – Jakby musieli tak ryć całą słuŃbę w siedmiu i jeszcze po nocy wozić takich, co się ich sławna stołeczna druŃyna boi, to by wiedzieli, co znaczy nie dospać.

– W słuŃbie czy nie, z ludźmi zawsze tak samo – odrzekł mu Zegła, wracając na ławę. – Raz tranz na kogo mąrego, a raz na ŃwiŃskiego chwosta, i jeszcze tchŃrziwego. Nawet mu słowo szanownego nie wystarcza. I nie pomyŃli, Ńe jak taki nie próbował uciekać z drogi po nocy, to gdzie niby nagle ucieknie z kordegardy.

StraŃnik udawał, Ńe nie słyszy. Ńegost przyglądał mu się z niechęcią. W duchu solidaryzował się z druŃynnikiem. Ze wszystkich codziennych uciąŃliwoŃci słuŃby wieczny brak snu był najgorszą i kaŃdy, kto pozbawiał Ńołnierza snu jeszcze bardziej, dopuszczał się wobec niego podłoŃci. ZwłaŃsza jeŃli sam mógł się wylegiwać od zmierzchu do Ńwitu w przytulnej kanciapie dowŃdcy.

– Nie muszę wam tłumaczyć, więc doceńcie, Ńe to robię – dziesiątnik zdecydował się

wreszcie oznajmić w powietrze, ponad głową Zegli. – Z bramy ludzi nie zdejmę, a zmienników nie mam, bo się pewien czeladnik, niejaki Pyrka, akurat dzisiejszej nocy wybrał dźwignąć pryncypałowi dychy z kuferka. A patron się szybko spostrzegł i wszystkich musiałem posłać na opatrzenie, Œeby się ten Pyrka po nocy nie wyślizgnął gdzie z miasta.

Dziesiątnik zdawał się gotowy do dłuższej opowieści o bezecnym czeladniku, ale najwidoczniej nikogo w komorze to nie obchodziło.

– A to jest zbójca i nic nie poradzę, póki nie przyślą od profosa, straż musi być – dokończył swój wywód i podszedł do stołu. Wziął z niego broń Œegosta, zwaŒył ją w dłoni, obrócił raz i drugi wokół siebie. Potem Œciągnął drewniany pokrowiec i przyglądał się pod światło głowni.

– No pewnie, teraz rozumiem – mruknął. – Teraz rozumiem, jak mógł taki byle prawdziwek popruć Woyta. Napadłeś na niego z tym drągiem, co? Toś odważny... Ciekawe, czy nie od tyłu?

Œegost wbił w strażnika ostre spojrzenie, ale po chwili namysłu uznał, Œe nie warto się z nim klócić.

– Poczekaj, jak ksiąŒę wezwie na sąd. Wtedy się dowiesz, jak było.

Strażnik zdobył się na wymuszony Œmiech.

– Spisałem, panie dziesiątniku – oznajmił sekretarz i przynaglony spojrzeniem przełoŒonego wyszedł z izby, pozostawiając rozłoŒone papiery na pulpicie.

– Długo nie będzie trzeba czekać – dziesiątnik wrócił do rozmowy z Œegostem. – Sąd jutro, a juŒ pojutrze Œwitem, mam nadzieję, cię powieszą. O, przepraszam... zetną. Cechowych się Œcina, nie wiesz, dobrze mówię? – zapytał druŒynników. Zignorowali go.

– To juŒ ksiąŒę zadecyduje, a nie ty, kłonicu – rzucił Œegost.

Strażnik wzruszył ramionami.

– KsiąŒę pan nie ma dla takich obwiesiów czasu. Ale i tak będziesz miał trybunał lepszy, niŒ zasługujesz, bo poruczył wyrok samemu szanownemu Rejmusowi.

I tym razem równieŒ nie czuł Œadnego niepokoju, nawet tego normalnego, całkiem ludzkiego, związanego z zapowiedzianym na jutro sądem. Zaczynał się zastanawiać, czy wtedy, na łodzi Dejwasa, nie uległ złudzeniu, wiąŒąc swe odczucia z Ruerhem. Œródło tak silnej magicznej mocy nie mogło przecieŒ w ciągu jednego dnia zaniknąć zupełnie. A jeŒli przyjąć, Œe znajdowało się ono gdzieś w samym zamku lub w podwodnych pieczarach koło niego, to znikło – bo nie czuł teraz niczego, nawet wtedy, gdy schodził za strażnikami do płytkiej, wykutej w skale piwnicy, słuŒącej w nadmorskiej warowni za

loch. Straŝnicy, jak podsłuchał, nazywali ją pomiędzy sobą „wieŝą”. Być moŝe istotnie znajdowała się pod basztą, a być moŝe wieŝą z przyzwyczajenia nazywano w tych stronach kaŝde pomieszczenie przeznaczone dla więźniów.

Nie dałoby się ich w kaŝdym razie pomieścić w Ruerhu zbyt wielu – szanowny Ingold widocznie nie mijał się z prawdą, gdy zachwalał sukcesy druŝyny w walce ze zbójami i rabusiami. Od miejsca, gdzie ściany ze spajanych zaprawą kamieni ustępowały litej skale, korytarz, którym schodzili w zaduch, zakręcał tylko raz, potem urywał się gwałtownie. Na wprost, za kratą przegradzającą drogę do wysokości nieco ponad głowę rosnącego człowieka, majaczyła obszerna wspólna cela; na prawo i lewo znajdowało się kilka par drzwi wiodących do mniejszych pomieszczeń. Jedne z nich, te najbliŝej, były uchylone. Straŝnik zapukał w nie, a potem wprowadził ŝegosta.

Za drzwiami znajdowało się pomieszczenie profosa – z wąskim posłaniem pod przeciwległą do wejścia ścianą, pulpitem, na którym stała kopczą lampa, i kilkoma zydlami. Człowiek siedzący za pulpitem uniósł się na ich widok. On takŝe sprawiał wrażenie wyrwanego z najgłębszego snu albo z lekka podpitego; moŝliwe zresztą, ŝe jedno i drugie naraz. Przypatrywał się ze zdziwieniem wprowadzanemu, nie słuchając meldunku straŝnika.

Postarzał się, ale był to ten sam Lagrewin, z którym ŝegost słuŝył przed laty w tarańskiej gwardii.

– Inrewald, jak rany... – nie spytał, stwierdził po prostu, gdy odprawieni ruchem ręki straŝnicy zniknęli. – Powinienem spytać, czy to ty, ale nie będę, bo, niech cię szlag, nic się nie zmieniłeś. Poznajesz Lagrewina, co?

– Poznaje, zbój. Ty teŝ nic się nie zmieniłeś. Powinienem spytać, czy mogę usiąść, ale w tak pięknych, jak to mówią, okolicznościach przyrody udzielę sobie pozwolenia sam.

– Pewnie, nic się nie zmieniłem – zarechotał głupio Lagrewin. – Poza tym, ŝe wyłysiałem, urósł mi brzuch, zgniła połowa zębów, zacząłem zasypiać przed końcem dzbanka, a kobiety potrzebuję juŝ tylko do prania gaci... Wszystko inne po staremu. Ale ty, suczy synu...? – Wzrok, który profos wbijał w swego rozmówcę, pełen był zazdrości.

– Ja? Dbam o siebie. Muszę, w końcu jutro mnie wieszają. Nie, pojutrze. I nie wieszają, tylko ŝcinają. U was cechowych się ŝcina, a nie wiesz, prawda?

Lagrewin pokiwał smutno głową i jakby oklapł.

– Ano, rzeczywiście, stary, twoja sprawa dobrze nie wygląda. Nie interesowałem się specjalnie, ale odkąd przed zachodem przybiegli tu chłopcy z Trychny, o niczym innym na całym zamku nie mówiono. Ten szczeniak, którego zaszlachtowałeś, miał wielu przyjaciół. No i jest, znaczy był, z dobrego rodu. Między nami, komes bierze niezłe

porękawicze za przyjmowanie do druŝyny dzieci róŝnych wzbogaconych kupczyków, bo to jak na ten kraj splendor, a tyś musiał zaciukać akurat takiego, co naprawdę był całą gębą szanowny...

– Co robić. Akurat tylko ten chciał się ze mną bić.

Lagrewin zerknął na walający się przed nim papier, chyba ten sam, który przywiózł ze sobą Zegła.

– No tak, rozumiem... Bo mnie tu napisali jakiegoś... Szekosta? Ki czort?

– Moje imię w mowie sąsiedniego kraju. Na wschodzie tak się przedstawiam: Śegost.

– Śegost. A co mam napisać w raporcie z egzekucji? Śegost czy Inrewald?

– Napisz, co chcesz. Będzie mi wtedy wszystko jedno. Ale dziękuję za uprzejmość, Laga.

Profos westchnął ciężko, a potem sięgnął pod pulpit, wydobył stamtąd glinianą flaszkę i wyciągnął z niej korek. Pomieszczenie wypełnił zapach przepalanki i Śegost nabrał ostatecznej pewności, Śe chwiejne ruchy Lagrewina i jego niewyraźna wymowa nie są spowodowane gwałtownym wybudzeniem z głębokiego snu.

– Inrewald, Inrewald... – mrucał profos, napełniając gliniany kubek. – Największy szczęściarz w gwardii... – Uniósł nagle na niego wzrok, odstawił flaszkę i wstał szukać czegoś po zakamarkach izby. Po chwili wrócił do stołu z drugim kubkiem, postawił go przed Śegostem i wlał przepalankę. Zamaszystym ruchem łokcia oczyścił blat z zawadzających drobiazgów i uniósł naczynie.

Stuknęli się i obaj wypili jednym haustem. Śegost poczuł rozchodzący się po brzuchu płomień, Lagrewin zakasłał.

– Tu nieszczerzy ludzie Śyją, Inre. Nigdy się nie stukną kubkiem, tak tylko robią. – Popatrzył rozmówcy w oczy, wznosząc pusty kubek do góry. – Piją samo piwsko, potem takiego wzdyma i wrzeszczy po nocach, Śe trzeba go polewać wodą... Jeszcze długo będziesz, Inre, przeklinał dzień, kiedy ci przyszło do głowy skierować się w tę stronę. Co ja gadam długo, przecieŚ cię mają powiesić.

– Ściąć.

– I po co tu było się pchać? Źle było na południu?

– Zawsze mi źle tam, gdzie za długo siedzę – uśmiechnął się Śegost, ale nie był to uśmiech wesoły. – Zresztą na północy była praca, w Orwanie. Pobili się o Krowią Wyspę.

– I co?

– I wygraliśmy. Ale potem traktat stanął tak, Śe musieliśmy z wyspy ustąpić.

Lagrewin przyjął tę informację z zainteresowaniem, ale nie szło ono aŚ tak daleko, by miał się dowiadywać, dla której ze stron sporu zdobywał Krowią Wyspę jego

rozmówca.

– Inre, do ciebie to chyba jeszcze nie dotarło. Powieszają cię. Liczysz moŜe, Œe się wybronisz? – zapytał po chwili, sięgając ponownie po flaszkę.

– Skąd moŜna wiedzieć? Ten Rejmus to tutaj duŜy ptak, jak słyŒę...

– Gruba ryba. Tak tu się mówi: gruba ryba.

– Powiem ci, jak było: ktoś szczeniaka na mnie nasłał. Przyszedł mnie zabić jak po swoje, a z nikim tu się nawet nie zdaŒyłem skłócić, oprócz tego waszego sławnego opoja. Raptem dzieŒ wcześniej stanąłem w Narwardzie, tu ledwie zdaŒyłem zająć do gospody i przywalić temu Rejmusowi w łeb dzbankiem. Dobra, dzięki, doleję sobie sam.

– Rejmusowi? Dzbankiem?

– A dlaczego nie?

Profos pokręcił głową.

– A za co?

– Bo ja wiem... Czegoś mnie denerwował.

– Największy szczęściarz w gwardii – powtórzył Lagrewin. – No, ale i największemu szczęściarzowi powinie się noga. Tobie się chyba, Inre, właśnie powinęła. To najbliŜszy przyjaciel księcia pana.

– Gdybym wtedy wiedział, wałnąłbym tak, Œeby juŜ nie wstał.

– Wiesz, co powiem? I tak nie masz najgorzej. Powieszają cię czy zetną, jakkolwiek tam, uwierz mi, to jeszcze nic. Gdybyś tu musiał zamieszkać... Zostać. Mieć stałą słuŜbę... Smród ryb, wartownia jak kurnik... Pij, mam tu jeszcze na specjalne okazje. Torfówka, duma wybrzeŜy; gorszego ŒwiŒstwa, mówię ci, jeszcześ nie próbował. Jakby okowita na błocie. Ale mówią, Œe się po niej lepiej chędoŒy. To mi spotkanie, Inre...

Stuknęli się po raz kolejny. Profosowi musiało bardzo brakować tego ojczyzkiego obyczaju.

– A ty Œeś się nic nie zmienił, tyle lat. No, niemoŒliwe...

Œegost, Œeby nie ciągnąć tego wątku, wolał naprowadzić rozmowę na stare sprawy. Zaczęło się przypominanie: nazwisk, szarŒ, garnizonowych kobiet. SierŒanta, który wpadł w gnojówkę, młodego Kirkila, który postawił na nogi całą wartę, biorąc grzejącą się w stajni klacz za odgłos napaŒci, dziesiątek podobnych temu zdarzeń, z których większość Œegost zdołał juŜ dawno na Œmierć zapomnieć – i patrząc w rozplamienione oczy Lagi, czuł trudny do okreŒlenia Œał, Œe z minionego czasu nie pozostaje nic poza bladym, Œałosnym cieniem. Cieniem, którego nie ma co przywoływać, i nawet nie naleŜy tego robić, bo cienie rzeczy radosnych nieodmiennie ciągną za sobą widma zdarzeń, o których się pamiętać nie chce.

– Jak ja ci zazdrozczę, Inre – oznajmił nagle Laga, podnosząc spojrzenie znad kubka

torfówki. Co do smaku tej ostatniej Śegost musiał przyznać, Śe jego towarzysz nie minął się z prawdą ani trochę. – Jak ja ci zazdrozczę: ciach i po wszystkim. Łeb w jedną stronę, cielsko w drugą. Tylko: ciach! – Zamachnął się niemrawo ponad stołem. – I po bólu!

– Nie ma co zazdrościć, Laga. Weź dzban, walnij nim w łeb szanownego i będzie ciach, ciach, dwa łby w jedną...

– Śeby tu nasz wielebny był, to bym mu tak powiedział... Śygie jest dar od Valadich dla człowieka, tak gadał? Śygie jest największy dar. Tak? To ja bym im powiedział: a do dupy z takim darem. Wsadźcie go sobie, bogowie. Wiesz, co to jest Śygie, Inre? Bo ja juŚ wiem. To jest gówno – oświadczył ponuro.

– Nie ma problemu. Jeśli tylko naprawdę tak uważasz...

– Wartownia jak kurnik, wszędzie śmierdzi rybą, a ten burdel! Jeden – wielki – burdel! Książę, kiedy w zamku, nie odstępował swej pani na krok, niczego od lat nie dogląda. Komes złodziej i łapownik, palatyn pijaczyna... Słyszałyś, jak się chwala, Śe łotrzyków wytępił na gościach, chwala się, bezpiecznie jak nigdzie...

– A to nieprawda?

– Tak i nie. Jak który szczeniak skradnie jabłko z targu, nazajutrz będzie u mnie i tak mu pod „dziadkiem” zgarbują skórę, Śe drugi raz prędzej zdechnie z głodu koło pełnego straganu, niŚ się odwaŚy czego tknąć. Ale prawdziwi zbóje prosperują jak nigdy. Nie napadają nikogo na gościach, bo to dla nich zbędna fatyga, kupcy i rzemieślnicy sami im pieniądze przynoszą. Spróbowaliby nie przynieść albo się spóźnić. A komes ma z tego swoje, rękę sobie dam uciąć, Śe tak. Zresztą, wszyscy wiedzą. Wytępił drobnych zbójów, prawda, ale dlaczego? Śeby nie wchodzili w paradę tym, co się opłacają książęcym urzędnikom.

Przez chwilę wydawało się, Śe profos zgniecie kubek w rękę albo praśnie nim o ścianę, ale on westchnął tylko i oklapł nagle zrezygnowany.

– A ciebie co tu przyniosło z południa, Laga?

Lagrewin milczał, jakby z ostatnim westchnieniem wyszła z niego resztką sił i nawet chęć, by się złościć na świat. Jakby zasnął z otwartymi oczami. Śegost pochylił się nad stołem i potrząsnął jego ramieniem. Pomogło.

– Przyniosło... Co przyniosło? Baba, a co by innego. Baba. Trzeba się jakoś ustawić. Stała posada moŚe i Śadna godność, ale chleb pewny... Zamieszkamy, dzieci ci wywiode... Takie tam, wiesz. Jak to baba.

– Ta od prania gaci?

– A tak, teraz się juŚ tylko do tego nadaje. Inre, Śesz kurwa, dlaczego kaŚdy chłop musi chociaż raz w Śygiu zdumieć? Co? Nie mów mi, Śe ty nigdy...

– Nie mówię. Nie rozplącz się, Laga. Przyniesie tu któregoś z tych osiłeków, co pilnują korytarza, i będzie wstyd.

O dziwo, sens tych słów dotarł do Lagrewina, choć trwało to chwilę. Odsunął od siebie kubek, wyprostował się na zydlu i długo rozcierał zeszywniałą twarz.

– Racja. Racja, jak ci tam teraz... Śegoto? Krzyknij na nich, Ńeby przynieśli wody.

Śegost wstał i wychylił się za drzwi.

– Ej, wy tam – krzyknął w korytarz. – Wody dla profosa! Śywo!

Rozległy się kroki i zza załomu wyłonił się jeden ze straŃników. Zatrzymał się, patrząc na Śegosta zdumionym wzrokiem.

– No co stoi, co stoi? Po wodę! Dajesz! – rozdarł się aresztant, oŃywiony duchem niedawnych wspomnień z garnizonu gwardii. StraŃnik z ogłupiałą miną porwał spod ściany cebrzyk i ku zdziwieniu Śegosta ruszył z nim wcale nie w górę korytarza, ale ku drzwiom z solidnych krat po przeciwnej stronie. Przez kilka chwil otwierał je kluczami z trzymanego u pasa pęku, wreszcie zniknął w ciemnym przejściu, nawet nie zabierając ze sobą pochodni. Gdy wrócił po niedługim czasie, cebrzyk był pełen.

Laga na widok naczynia w rękach Śegosta odetchnął i skinął przyzwalająco głową. Ten juŃ nabrał rozmachu, ale w ostatnim momencie zmienił zdanie, odstawił cebrzyk i podszedłszy do stołu, troskliwie przeniósł kubki oraz odkorkowaną flaszę w bezpieczne miejsce. Dopiero potem wychlusnął Ladze zawartość cebrzyka na twarz.

Profos parsknął i kręcił głową, potem wycierał dłońmi twarz i łysinę. W końcu otarł dłonie o kolana i odetchnął głęboko.

– Pomogło?

Laga z wyrazem zadumy na twarzy wzruszył ramionami.

– Jeszcze raz?

– Nie trzeba. Siadaj.

– Morska? – zdziwił się Śegost, powąchawszy wnętrze cebrzyka. – To przejście prowadzi do morza?

– Przejście? A tak, do pieczary. Ale z portem się nie łączy. Jest tylko komin i takie małe jezioro. Wybili ten przechód, Ńeby był przewiew.

– Ale woda jest morska. Jezioro musi się dołem łączyć z morzem.

Lagrewin zmierzył go mętnym wzrokiem.

– O nie, nie, Inrewaldzie. – Pokiwał palcem. – Nie, wybij to sobie z głowy. Nic z tego. Nie pozwolę.

– Nic z czego, Laga?

– JuŃ ty dob... dobrze wiesz, z czego. Spotkanie spotkaniem, a obowiązki sobie. Chybabyś musiał – zaśmiał się nieoczekiwanie, w sposób Ńwiadczący, Ńe wodna kuracja

niewiele dała – zmienić się w ptaka, jak księżna pani.

Śegost sięgnął po flaszkę i napełnił swój kubek resztką torfówki.

– Księżna pani w ptaka? Uchłajesz się, Laga?

– O, nasza księżna pani to niezwykła osoba. Nie słyszałeś, co opowiadają? Czarownica. Przecież wiesz, gdzie się chowała. Umie zniecka zniknąć albo się z nagle pojawić. Od dawna to wiadomo. A na noc zmienia się w ptaka. W wielkiego czarnego rybołowa. Nie słyszałeś, naprawdę? E, nie mogłeś. To najnowsza wieść, prościutko z zamkowej pralni: „Jedna z pokojowych, w największym sekrecie, tss, tss, widziała na własne oczy, jak wielki czarny ptak wleciał przez okno do pustej komnaty, a zaraz potem wyszła stamtąd księżna pani, jeszcze cała mokra i słaniająca się ze zmęczenia. Nie mogę powiedzieć, która to, pani kochana, nie mogę, ale na własne oczy widziała...” No nie, Inre, miałem cię za mądrzejszego – stwierdził rozbawiony miną Śegosta. – Toś to paplanina głupich bab. I co za pomysł: rybołów. To przecież istny potwór, nie ptak, jednym szponem może człowiekowi rozwalić łeb. A zobaczyłbyś księżną: blada jak śmierć, wygląda, że jakbyś kichnął, to się przewróci. żeby jeszcze wymyślili, ja wiem... jaskółkę...

Śegost obojętnie wzruszył ramionami.

– Dziwię się tylko. Skąd babom w pralni przyszedł do głowy rybołów? To ptak skalistych wybrzeży, z północy. Z wysp, z fiordów, tam gdzie brzeg jest wysoki i niedostępny. U was ich nie ma. Skąd w ogóle jakieś kuchty czy pokojowe mogą wiedzieć, że coś takiego istnieje?

– Nie mów „u was”, z łaski swojej. Ktoś im opowiedział. Tu prawie wszyscy pływali na północ, jak nie z drużyną, to za handlem.

– Może. Innego wyjaśnienia nie widać.

Laga potrząsnął glinianą flaszką, zbliżył ją do oka i popatrzył z troską w głąb szyjki. Poszukał korka, który morska woda splukała na podłogę, zamknął butelkę, odstawił ją pod stół i z wnęki w ścianie, ukrytej za kilimem, wy dobył jej pełną bliźniaczkę.

– Tak czy owak, nie mogę, Inre. Zapomnij o tym.

– Nic w ogóle nie powiedziałem.

– Ale pomyślałeś. Boisz się i pomyślałeś, że mógłbyś spróbować tamtędy uciec. Nie próbuj. Nawet gdybym ci otworzył kratę i pozwolił iść, nie uciekłbyś. Komin wąski jak dla ptaków, a w dół paru śmiałków już dawno temu próbowało zanurkować. Wypływali dopiero po kilku dniach. Zapomnij.

Oczywiście, że zapomni. Nie będzie próbował tamtędy uciec. Owszem, pomyślał o tym, ale odrzucił tę myśl niemal natychmiast. I wcale nie dlatego, że bał się nurkowania w nieznanie, w nie wiedzieć jak głęboki syfon łączący pieczarę z morzem. To

po prostu nie byłoby w porządku. Zwłaszcza na słuŝbie Lagi, który zgodnie z regulaminem powinien zamknąć go w celi i przykuć do ściany, a nie zrobił tego.

– Kto ma wisieć, nie utonie, jak mawiają w stolicy... Nie, Laga, Ŝartuję. Nie będę próbował. Popracuję raczej nad zamienianiem się w rybołowa.

Laga nie słuchał; od dłuższego czasu siedział znieruchomiał w skupieniu, trzymając flaszkę lewą ręką za szyjkę, a Ŝ wreszcie błyskawicznie zawinął nią w taki sposób, Ŝe z całej siły uderzyła denkiem o prawy łokieć, wybity korek wyskoczył długim łukiem na kolana Ŝegosta, a flasza wróciła do pionu, zanim zdołała z niej wyprysnąć bodaj kropla trunku.

– Ha! – wrzasnął Laga rozradowany jak dziecko, rozlewając do kubków. – Umie się jeszcze to i owo!

– Gratuluję – mruknął Ŝegost. Czuł, Ŝe świat dookoła zaczyna się kiwać, ale mimo to nie wahał się wlać w siebie kolejnej porcji śmierdzącego błotem ognia. Należała mu się po pełnym zdarzeń dniu jak rzadko.

Tym razem to on zakasłał. W kanciapie profosa nie było niczego, czym można by przegryźć.

Lagrewin odstawił kubek, popatrzył na Ŝegosta i jakby o czymś sobie przypomniał, pogładził się dłonią po łysinie, a potem po długich, rzadkich włosach spadających na kark i kaftan z utwardzanej skóry, podobny do tych, jakie noszą kowale.

– A wiesz, Inre, Ŝe w gwardii zawsze o tobie gadali, nie wierzyłem, ale gadali...

– Ŝe co, Laga?

– Ŝe ty się nie starzejesz – wypalił. – Ŝe jesteś odmieniec. Boginkowy odmieniec, nieśmiertelny.

Dawno już nie udało się Ŝegostowi roześmiać równie gorzko jak w tym momencie.

– Uchlałeś się, stary. To by było: nieśmiertelny... Popatrzysz sobie jutro, jak mnie będą ścinać. Nie, wiesz. Tak? Zaraza, całkiem mi się...

Tracący z każdą chwilą na ostrości wzrok Ŝegosta padł na pusty, odstawiony pod ścianę cebrzyk.

– Zawołam tych twoich cielaków – oznajmił, gramoląc się z zydlu. – Niech od razu przyniosą nowy.

– Siadaj. – Laga rozlał do kubków kolejne porcje torfówki. – Nie ma pośpiechu. Jak woda będzie tu stać, to się zagrzeje.

Nocy na sen zostało tyle co nic, ale i to wystarczyło, Ŝeby Ŝegost został obudzony aŝ dwa razy. Pierwszy raz, miał wrażenie, dosłownie zaraz po tym, jak przymknął powieki. Z cięŝkiego snu wybiły go odraŝające dźwięki, jakby ktoś, krztusząc się i charcząc,

usiłował wydusić z siebie ustami wnętrzości. Towarzyszył temu smród rzygowin i śegost, choć głowę miał cięską jak głaz, bez otwierania oczu domyślił się, że to Laga tarza się na podłodze we własnych wydzielinach. Zresztą otwarcie oczu lub poruszenie czymkolwiek przekraczało w tej chwili możliwości śegosta. Po pewnym czasie, leżąc w wymuszonym bezruchu, trudno powiedzieć, że ponownie zasnął – ale w każdym razie zapadł w nieistnienie.

Przyczyną drugiego przebudzenia były nerwowe, podniesione głosy, skrzywienie skórzni, poblask lampy i odgłos wylewanej wody.

– Lagre, psia twoja denędza, rusz się. Coś ty z siebie znowu zrobił, suczy synu... Lagre, pogonią cię ze służby jak psa! Znak dawaj, słyszysz mnie? Gdzie masz znak?

Chluśnięcie wody, słaby, nieartykułowany bełkot Lagrewina i znowu ten sam głos, rozkazujący:

– Jeszcze cebrzyk, na co czekasz? Lagre, rusz się. No, słyszysz mnie? Ścierwo, pijanica, tak się schlać na służbie...

– I jeszcze z aresztantem, panie profos. Gdyby my nie pilnowali...

– Zatrzaśnij dziób, Łątka! A jak go spróbujecie podsrywać, to już ja was tak obesram, że się...

– Co wy, panie profos! Toś ani słowa nikomu. Każdemu się zdarza czasem.

– Czasem każdemu. A niektórym noc w noc. Lagre, kurwa twoja! Słyszysz mnie?! To ja, Jurga!

Śegost z największym wysiłkiem poruszył się, obrócił na drugi bok i otworzył oczy. Tym, co go do tego skłoniło, nie był hałas, ale wilgoć, która powiała od wylewanej na podłogę wody.

– Pić... – jęknął.

– Zamknij się, ty tam! Jeszcze brakowało...

Niewysoki, koślawy mężczyzna w skórzanym kaftanie usiłował utrzymać zarzyganego Lagę w pozycji siedzącej i jednocześnie szukał czegoś w zakamarkach komory, pod blatem i w ściennych wykuszach za makatami. Nie szło mu to. Lagrewin chwiał się nieprzytomnie, bełkotał coś i ewidentnie odmawiał współpracy: kiedy tylko koślawy zmuszony był go puścić, żeby sięgnąć w dalszy kąt izby, profos osuwał się na podłogę. Obok stał strażnik, słabo widoczny w pełgającym świetle lampy.

– Lagre, skup się, ścierwo. Przyprawdzili więźnia, czeladnika. Musisz znak przybić i podpisać, rozumiesz? Twoja zmiana, musi być twój znak. Potem możesz zdychać, ale przybij, bo cię pogonią ze służby. Zgnoją, rozumiesz? Słyszysz mnie? Coś ty pił, kurwi synu?!

– Przepalankę – wy dobył z zeschniętego gardła śegost, wciąż przytulony policzkiem

do ławy. – Torfówkę. I jakieś świństwo na ziołach. I coś takiego słodkiego... Włóście mu palce w gardło...

– Znalazł się doradca! Milcz tam i ciesz się, Őe w kłodzie nie siedzisz! Tak się schlać, i jeszcze z więźniem... ToŐ to kryminał. Co ci do łba strzeliło, pijaczyno?

– SługiwaliŐmy... razem...

– Zamknij się, ty, mówię! To tego mają Őciąć, Łątka?

– Nie zdaŐa... Zaraz... sam umrę...

– Weźcie Őesz go stąd w czorty do celi, przecieŐ wejdzie kto i zobaczy! Lagre, to ja, Jurga, słyszysz?!

StraŐnicy zaczęli zwlekać Őegosta z ławy i ciagnać na korytarz, oczywiŐcie upuŐcili go przy tym raz i drugi. Nie tracił sił na stawianie oporu. Wylądował wreszcie na Őmierdzącej, przegniłej Őłomie rozsypanej rzadką warstwą po kamiennej podłodze. Zazgrzytała krata.

JakimŐ szóstym zmysłem wyczuł w pobliŐu Őyciodajną wilgoć. To odkrycie poruszyło go na tyle, Őe zdołał dopełznąć do starego, wyszczerbionego garnka tuŐ koło wchodu. W naczyniu było trochę wody, stęchłej i Őmierdzącej. Dawno juŐ nic nie smakowało mu równie wspaniale.

Wychleptał wodę, odsunął się pod Őcianę i zwałił w półsen pełen dziwaczych majaków. Siedział przy rzeźbionym stole we wspaniałym pałacu, dyskutując z szanownym Ingoldem o filozofii i popijając ze zroszonego cienkiego szkła zimne wino. Ingold wyrzekał na durną młodzieŐ, która woli dziŐ pić niŐ czytać księgi, a Őegost nie mógł nic odpowiedzieć, bo ciagle coś go uwierało w usta. Grzebał w ustach palcami i wyciągał z nich włosy, wyciągał je i wyciągał, ale w tajemniczy sposób włosów wciagnaŐ przybywało, jakby się tam rodziły, nie nadaŐał z ich wypluwaniem, zaczął się krztusić z obrzydzenia i zwymiotowałby zapewne, gdyby miał czym. Bolesne skurcze przełyku i Őoładka przywróciły go w kaŐdym razie na chwilę do rzeczywistoŐci.

Obrócił głowę, jakby przewracał młyński kamień. Nieomylny instynkt pijanego kazał mu leŐeć na brzuchu, by bezpiecznie wymiotować. Torsje uspokoiły się. Őegost biegł za swoimi tarczownikami pobraŐem Krowiej Wyspy. Szyk rwał się, przeciwnik, na którego nacierali, znikł gdzieŐ, a on nie miał w gardle siły, by wydać jakikolwiek rozkaz. Nagle okazało się, Őe nie ma juŐ plaŐy, Őe zapada się w morzu, rozpaczliwie usiłując chwycić podawane mu przez Dejwasa wiosło. Ale zug starszego rybaka oddalał się coraz bardziej, morze falowało, wdzierało się do ust, a woda nie była wcale Őłona, była dobra, zimna jak ze studni. Tak jak wino, które roiło mu się przed chwilą, była samym smakiem, pozorem wilgoci, który nie sycił pragnienia, tylko je wzmacnał. Z góry, spod raniących oczy ostrym blaskiem gwiazd, spadał czarny, groźny cień, rozrastał się, rósł, aŐ okazał się wielkim

czarnym orłem. Spłynął wprost na głowę unoszonego falą Śegosta.

Cios zadany ogromnym szponem był tak silny, Śe głowa Śegosta aŚ odskoczyła od śmierdzącej podłogi. Pozostał tak, na moment otrzeźwiony otrzymanym we śnie uderzeniem, zlany potem, z bijącym mocno sercem. Z głębi celi, spod ścian, dochodziło chrapanie. Blisko Śegosta płakał głośno dwunasto-, góra czternastoletni chłopiec, obejmujący rękami chude kolana.

Wróciły mdłości, ból głowy i paskudny niesmak w suchych ustach. Śegost osunął się z powrotem na słomę, z wysiłkiem podkładając pod czoło przedramię, i zapadł znowu w pijackie rojenia, z jednego majaka w drugi, jakby spadał po gałęziach wysokiej, rozłożystej choiny. Były w tych majakach rybackie łodzie, był Zamborg z wyniosłym grymasem krzywiącym małe usta, slengańska puszcza, twarze leśnych boginek w księżycowym blasku, były mniej lub bardziej zamierzchłe sprawy, ciągnące się za nim z południa, zachodu i północy.

Była teŚ śmierć.

Myślał o śmierci częściej niż zwykli ludzie i widział ją wielokrotnie w snach. Być moŚe ta wizja, która go nachodziła, miała się kiedyś ziścić. A być moŚe była tylko wyobraŹeniem. Wiedział, Śe kiedyś się o tym przekona, ale nie tęsknił za tą chwilą. Przeciwnie, mimo iŚ przez lata zdołał się oswoić z myślą, Śe kiedyś trzeba będzie z tego świata odejść, nie umiał się z tym pogodzić.

Śmierć, jaka mu się zwidywała, nie była śmiercią skazańca na szafocie. Widział jakąś bitwę, choć szczegóły mundurów i krajobrazu były zbyt rozmazane, Śeby mógł zgadnąć, kto walczył z kim i gdzie. Nie wiedział, czy był w tej bitwie szeregowym Źołnierzem, czy dowódcą. Walczył z konia, co było dziwne, bo chociaŚ musiał się nauczyć jazdy, zwyczajem ojczystego kraju uwaŚiał konnicę za podrzędny rodzaj wojska. A w rękę miał jednoręczny kawaleryjski miecz, którego równie nie lubił, o niebo wyŚej ceniąc broń drzewcową.

Sen ulegał czasem róŹnym drobnym zmianom, ale zasadnicza jego treść była niezmienna; przeciwnik, którego twarzy nigdy nie mógł zobaczyć, nie wiedział nawet, czy w ogóle była odsłonięta, czy skryta za przyłbicą, wznosił do ciosu miecz, a Śegost widział to doskonale, spodziewał się takiego właśnie uderzenia, wiedział, Śe trzeba się zastawić, Śe cios, który tamten wymierza, musi dojść i zabić. I mimo to – nie unosił broni, nie parował, nie próbował uniku. Nie dlatego, Śe nie miał siły czy nie władał mięśniami. Czuł po prostu ogarniające go przemoŹne uczucie, Śe nie ma po temu najmniejszego powodu – najmniejszego powodu, by się osłaniać przed śmiertelnym ciosem. Śe ostrze, które za chwilę rozrąbie jego obojczyk, przetnie aorty i niemal odwali od ciała łopatkę, przyniesie ze sobą ukojenie, przed którym nie warto i niemądrze się

opędzać. I za każdym razem to uderzenie następowało i wizja gasła, a Śegost nie mógł przestać się nią zdumiewać. To uczucie całkowitej rezygnacji, zmęczenia własnym istnieniem, i gotowość niemalże radosnego przyzwolenia na położenie mu kresu, jakie dominowały w dziwnym, powtarzającym się śnie, były najdalsze od wszystkiego, co kiedykolwiek w Śyciu czuł. Były to uczucia, jakich nie doświadczał nigdy, najgłębiej mu obce, jakich nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić. Znał je tylko ze snu. Snu powracającego niezbyt często, ale na tyle natarczywie, że podejrzewał w nim jakieś proroctwo.

Między innymi dlatego nie był w stanie uwierzyć, by naprawdę jego wędrówki mogły się skończyć na szafocie w Ruerhu. Śartował sobie z mającej nastąpić egzekucji i to również, podobnie jak niechęć do konnej walki, płynęło z obyczajów jego rodzinnego kraju: o czym mówisz głośno, z czego zakpisz zawczasu, to się na pewno nie zdarzy. Nie wierzył wcale, by ta potoczna, codzienna magia slengańskich kmieci istotnie była skuteczną, ale czynił tak z nawyku.

Wierzył natomiast w przecucia. Nie miał przecucia śmierci, nie czuł, by wisiało nad nim zagrożenie. Rozsądek może mówiłby co innego, ale Śegost nie miał czasu rozsądnie się zastanowić nad czekającym go sądem.

Prawdę mówiąc, kiedy obudzono go na rozprawę, nie był zdolny myśleć o czymkolwiek w ogóle.

– To ten? – upewnił się głos i Śegost, wciąż leżący na brzuchu z twarzą w śmierdzącej słomie, poczuł, że ktoś szturcha go butem w Śebra. – Wstawać, ty tam. Gębę myć, suknię ochędożyć. Na sąd idziesz.

Jedynie suchość w gardle sprawiła, że zrezygnował z próśb, by poniechawszy ceregieli, dobili go na miejscu. Ten ktoś, kto opowiadał Ladze, że po torfowce lepiej się chędożyć, zasłużył na tytuł największego łgarza wszystkich wybrzeży. Śegostowi trudno było nawet stanąć na równych nogach. Głowę przenikał straszny ból, Śołądek szarpała mdłości, w gardle od dawna nie było ani odrobiny śliny.

– Wstaje, wstaje. Nie będą tam na niego czekać.

Śołnierze, ten, który budził go kopniakami w Śebra, i drugi, stojący przy uchylonej kratce, mieli na sobie uniformy odmienne od tych, jakie nosili pilnujący wieży i dziesiętnik widziany wczoraj w kordegardzie. Bardziej paradne. Był z nimi także jeden z podwładnych Lagi, ten, który nosił dla niego wodę. Jako jedyny wykazał się pewnym zrozumieniem dla stanu Śegosta. Zbliżył się i podał mu bez słowa garnek spod drzwi, tym razem wypełniony aś po szczyrbę w glinianym obrzeżu.

– Jeszcze – stęknął Śegost. Woda zdawała się spływać po zeschniętym podniebieniu jak po skale, nie zostawiając niczego ze swej Śyciodajnej wilgoci, ale pozwoliła odzyskać

władzę nad skołowaciałym językiem.

– Najpierw do wychodka – zakomenderował strażnik. – Gdzie! Dla więźniów jest tam. – Popchnął go w kąt celi. – I uważaj, bo jak wpadniesz, zostaniesz w górnach na wieki. Paru nieuważnym już się zdarzyło.

Rolę wychodka pełniła w zbiorowej celi wnęka wykuta w odległym od wejścia kącie, zbyt niska, by dało się w nią wejść inaczej, niż wciskając się w przykucu plecami. Pod wybitą między stopami czarną dziurą musiała być woda. Jak głęboka, skąd – nad tym śęgost nie miał na razie najmniejszej ochoty się zastanawiać.

– Szybciej, szybciej – ponaglał jeden z żołnierzy.

– A ty się zamknij! – uciszył go zniemacka ten od wody. – Jeszcze co jak co, ale wysrać się każdemu regulamin zezwala. A póki on tu, poty wam nic...

– Dobra, Łątka, dobra, co się wściekasz. Ty zwyczajny w tym smrodzie siedzieć, Śe już pewnie nic nie czujesz, a nam pilno brać więźnia i na górę.

– Jeszcze cebrzyk z wodą ma dostać i czas na mycie, jak to rozprawa. I dopiero. A jak wam smród przeszkadza, idźcie sobie pooddychać do kraty. Przyjdzie czas, to zawołam.

Woda w cebrzyku była słodka, przyniesiona z góry, i śęgost wolałby ją całą wypić niż brudzić ługiem. Zwłaszcza Śe gdy pochylał głowę, kręciło mu się w niej, ledwie się nie przewracał. Ale regulamin był regulaminem. Przewidywał, Śe więzień prowadzony do dynkhauzu musi być obmyty. Tego natomiast, Śeby więzień mógł się pośegnać z profosem, nie przewidywał.

W końcu strażnik zwany Łatką uznał stan więźnia za wystarczający, by wydać go eskortie. Wcisnął przy tym jednemu z eleganckich złożony w czworo papier, ten sam, który towarzyszył śęgostowi już w kordegardzie, a potem ziewnął i oparł się o ścianę, popatrując z ciekawością, jak żołnierze z nastawionymi drzewcami halabard formują szyk, każąc poruszającemu się z trudem śęgostowi maszerować równo dwa kroki za przewodnikiem i tyle samo przed naślednikiem.

Śęgost wcale nie chciał im psuć zabawy. Jeśli co chwila łamał szyk, to wyłącznie wskutek problemów z zapanowaniem nad kołowrotem w obolałej głowie. Nie wiedział, czy pilnujący go rozumieją tę przyczynę; obchodzili śęgosta równie niewiele, co możliwość oglądania zamku, przez który, podobnie jak przez rozłożone u jego stóp miasto, poprzedniego dnia prowadzono go w ciemnościach rozświetlanych tylko latarnią eskorty.

Jedynym plusem tego marszu było powietrze. Świeże powietrze przesycone morskim zapachem. Żołnierze mieli rację, Śe siedząc w dusznym lochu, przestawało się czuć smród. Trzeba było dopiero wyjść albo zostać wyprowadzonym na dwór.

Ale oprócz świeżego powietrza poczuł zaraz po wyjściu z podziemi coś jeszcze. Coś, na co zwrócił uwagę natychmiast, mimo iż wciąż był otepiały, zwiąły go mdłości, a przed oczyma wirowały zgnilobure płaty.

Nienawiść. Nie miał okazji się z nią zetknąć wcześniej, bo dla żołnierzy i strażników śegost był po prostu obowiązkiem służbowym. Teraz od przypatrujących się tu i ówdzie ich pochodowi ludzi dosłownie biła niechęć do wędrowca, czasem milcząca, czasem skłaniająca do miotania obelg. Atmosfera niechęci zgęściła się jeszcze, gdy wyszli za bramę czegoś, co śegost nazwałby dolnym zamkiem, i przecięli jedną z ulic podzamcza. Tu już śledziły przejście całe szpalery, co prawda trzymające się w przyzwoitej odległości i nieważące się rzucać niczym więcej niż obelgami – ale te śaden najcelniej uplasowany kamień nie mógł w tej chwili sprawić śegostowi większej przykrości niż wrzask.

Zatrzymali się tylko raz, tuż przed kolejną zamkową bramą. Na placu otwierającym się w bok od niej stał wysoki kamienny słup.

– Przywitaj się z „dziadkiem” – rzekł żołnierz, wskazując mu drzewcem broni wieńczący pal posąg starca, który w jednym ręku trzymał za włosy odrąbaną ludzką głowę, a w drugim miecz. Kamienną wyniosłość u podstawy słupa przecinał rowek, z początku bardzo płytki, dalej nabierający głębokości tym bardziej, im bliżej rynsztoka.

– Domyślam się. To tu?

– Prorok jakowyś czy co? – rzucił żołnierz do kolegi i obaj zaśmieli się jak ze znakomitego dowcipu.

Do dynkhauzu, sali rozpraw, został wprowadzony jako ostatnia z osób niezbędnych dla odegrania tam zaplanowanego widowiska. Była to izba obszerna, przygotowana na uroczyste okazje, pełna światła wpadającego przez ogromne okna, częściowo wypełnione witrażami z kolorowych szkiełek. Wszystkie sprzęty wykonano tu z czarnego, starego drewna – i ustawiony na podniesieniu bogato rzeźbiony stół dla prezydujących, i obite szkarłatem fotele o wysokich oparciach wyrobionych w misterną płataninę, i proste ławy dla publiczności, po przeciwległej oddzielonej niską barierą stronie sali. Dla podsądnego zagrodzono kojec po tej samej stronie bariery co stół, ale pod samą ścianą, naprzeciwko okien, tak iż śegost musiał stać przodem zarówno do sądu, jak i do gawiedzi w ławach. Musiał stać, bo w kojcu nie było nawet zydlu, i śegost przez chwilę przemyślał nawet, czy nie sięść, wzgardziwszy powagą, połowym sposobem na drewnianej posadzce.

Najbliższe ławy dla publiczności wypełnione były głównie przez młodych mężczyzn w barwach książej drużyny. Siedziało w nich także kilku szanownych, odróżniających się strojem od dworzan i obywateli miasta. Niektórzy mieli przy sobie kobiety, może śony, może córki, a może i kochanki. Mało kto patrzył na podsądnego z ciekawością,

z Syczliwością bodaj nikt.

Za wielkim stołem siedział pośrodku podstarzały wąsacz o chytrym wyrazie twarzy, upodobniającym go do starego kocura. Po prawej ręce miał szpakowatego druŝynnika ze złocistymi szlifami na rękawie, po lewej osobnika w todze jurysty. Szanowny Rejmus zajmował fotel u szczytu stołu. Śegost usiłował przez chwilę złowić jego spojrzenie, ale Rejmus błdził wzrokiem gdzieś wysoko, po kasetonowym sklepieniu, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania tym, co działo się na sali. A na stole, przed siedzącymi, stały gliniany dzban i kubki.

Ostatnimi osobami, na które Śegost zwrócił uwagę, było dwóch sekretarzy, ulokowanych za małymi stolikami u stóp podestu. Jeden z nich rozłoŝył przed sobą płachtę papieru i z wielkim piórem w ręku demonstrował gotowość do zapisywania przebiegu rozprawy. Drugi czekał, aŝ strażnicy wprowadzą podsądnego do przeznaczonego dlań kojca i zasunąwszy barierę, zajmą miejsca pod ścianą. Gdy tylko to zrobili, chwycił grubą, nieporęczną łagę i trzykrotnie rąbnął nią z całej siły o ziemię, aŝ Śegostowi pociemniało w oczach, a Ŝołądek znowu podjechał pod gardło. Był gotów zgodzić się z góry na wszystko, byle tylko juŝ się to nie powtarzało.

Sekretarz odłoŝył laskę i głosem herolda na jarmarku oznajmił, Ŝe przed sądem ksiąŝęcym wymierzona zostanie niniejszym sprawiedliwość niejakiemu Śegostowi, mieniącemu się być cechowym Ŝołnierzem królewskim, za zabicie szanownego Woyta, co uczyni sąd pod przewodem justycjariusza Granowisa i, z poruczenia ksiąŝęcego, palatyna Rejmusa.

Nikt nie trudził się przedstawianiem kandydatowi na skazańca członków sądu mającego zadecydować o jego przyszłości. Obolałemu Śegostowi zajęło wiele czasu domyślenie się, Ŝe stary kocur pośrodku stołu to postponowany przez Lagrewina komes Zord, a druŝylnik przy nim, którego imienia, zapewne znanego doskonale wszystkim innym na sali, ani razu nie wymieniono, pełnił funkcję dowódcy lub wychowawcy stołecznej druŝyny.

Głos zabrał jurysta, z wprawą wiodąc zebranych przez sądową procedurę, która z początku miała przynajmniej ten jeden plus, Ŝe odbywała się doskonale bez udziału Śegosta. Nie pytano go o nic, nawet nie zauwaŝano. Zadając komesowi i sobie samemu rozmaite pytania, jurysta udowodnił, czy w kaŝdym razie uznał za udowodnione, Ŝe wszyscy obecni istotnie znajdują się w warowni Ruerh, wszyscy są tymi, za których się podają, i zostali upowaŝnieni do rozsądzania sprawy przez księcia Zamborga, który jako jedyny był w prawie ich do tego upowaŝnić, a zatem są w prawie wydać prawomocny wyrok. Wszystko to kazał następnie zapisać sekretarzowi.

Śegost zdołał zapanować nad swymi dolegliwościami na tyle, Ŝeby przyjrzeć się

staranniej widowni, pozostającej pod urokiem uczonej mowy płynącej z ust jurysty. Nie dostrzegał nigdzie rybaków z Trychny, ale nie dziwiło go to, bo świadków zazwyczaj wprowadzano na salę dopiero dla zeznań. Nigdzie też nie było szanownego Ingolda. Szkoda. Absolwent szarkańskiej akademii mógłby może porozmawiać z panem Granowisem jak z równym. Może nawet opowiedzieć mu o sławnym przed kilkunastu laty Fadlinie, tejże akademii profesorze, i o jego dedykowanym królowi memoriale. Ów Fadlin, jeśli Śegost nie przekreślił nazwiska, twierdził, że instytucja koronnych justycjariuszy, powołanych swego czasu ku wygodzie sprawującym sądy, jest wielce niesprawiedliwa – jeden urzędnik, nawet zaprzysiężony, nie może bowiem bezstronnie zważyć wszystkich aspektów sprawy. Zupełnie zaś skandaliczną praktyką nazwał Fadlin obyczaj, zgodnie z którym leniwi przedstawiciele władzy składali w ręce justycjariuszy, powołanych tylko jako doradcy, także i wydanie wyroku, zatwierdzając wszelkie ich decyzje w ciemno. Zdaniem uczonego Fadlina wymogiem uczynienia sprawiedliwości było rozdzielenie urzędów obrońcy i oskarżyciela na wzór inkwizycyjnych trybunałów kapłańskich.

Skąd Śegost to wiedział? Przypominał sobie z trudem jakąś gospodę i horodniczego, wielce pomysłami uczonego Fadlina oburzonego, a bardziej jeszcze oburzonego tym, że w królewskiej kancelarii, zamiast kazać pociąć memoriał na paski do oprawy księgozbiorów, nadano mu urzędowy bieg i zabrano się do zgodnej z nim reorganizacji sądów, także grodzkich, ani dbając, skąd rada miejska ma na takie fanaberie wygospodarować pieniądze. Horodniczy, jakiegokolwiek było jego imię, byłby zapewne wielce zbudowany, że są kraje, jak na przykład Bergh, gdzie o szarkańskich nowinkach jeszcze nie słyszano.

Książęcy justycjariusz nabrał wreszcie zainteresowania, jak go nazywał, cechowym Śegostem i rozpoczął przesłuchanie. Przypominało ono tortury, ponieważ na każde słowo wypowiedane przez podsądnego młodzi drużynicy reagowali tumultem, dla uciszenia którego sekretarz tłukł łagą o podłogę, a każde takie uderzenie odzywało się w głowie Śegosta łupnięciem jak cios pałką. Szczęściem justycjariusz formułował większość pytań w ten sposób, aby za odpowiedź wystarczyło potwierdzenie lub przeczenie.

– Zapytujemy, czy cechowy Śegost jest człowiekiem wolnym? Zapytujemy, jeśli jest poddany królewskim, czy ciążą na nim jakie niezrealizowane powinności względem tronu? Kiedy wstąpił do cechu królewskich żołnierzy? Jakiej jest... Cisza, bo nakażemy opróżnić salę! – Tu Śegost z ledwością nie dał po sobie poznać, że głuchy łoskot uderzanego pięścią ogromnego stołu jeszcze gorszy jest od dźwięków łagi sekretarza. – Jakiej jest cechowy Śegost, zapytujemy go, powinności świątynnej i czy mu się zdarzało być obciążonym klątwą?

W końcu, wy pytawszy do protokołu o wszystkie sprawy cechowe, rodzinne i osobiste, zadał justycjariusz pytanie, czy prawdą jest, że w miejscu i czasie określonych w oskarżeniu cechowy Śegost zabił w zwadzie szanownego Woyta z Hołobrodów.

– Tak – odpowiedział, co znowu spowodowało tumult wśród drużynników i łoskot tłukącej o podłogę dębowej łagi. Śegost zebrał wszystkie siły, by zapanować nad rozsadzającym bólem głowy i mdłościami, spodziewając się, że pytania przejdą wreszcie do tego, co ważne, do biegu wydarzeń – w jakich okolicznościach doszło do walki i kto ją rozpoczął. Justycjariusz jednak właśnie w tym momencie stracił zainteresowanie podsądnym. Nalał sobie do kubka płynu, uraczył się kilkoma łykami, nie czując na sobie wzroku Śegosta, i rozpoczął przepytywanie siedzącego obok starszego drużynnika.

Drużynnik, prowadzony pytaniami, snuł przed zebranymi opowieść o niezwykle prawym, zdolnym i powszechnie lubianym młodym człowieku, mogącym śmiało służyć za wzór dla całej młodzieży, którego Śyciu ku powszechnej rozpaczce położony oto został kres. Opowieść ta przynajmniej, w przeciwieństwie do wypowiedzi Śegosta, nie budziła na widowni sprzeciwu, dzięki czemu biegła w błogosławionej, niezakłóconej śladnymi łomotami ciszy.

Ta cisza, ulga, jaką dzięki niej odczuł, zmyliły go. Nie słuchał monotonnej mowy drużynnika ani pytań jurysty. Aby oderwać się od myśli o stojącym na stole dzbanie, usiłował sobie przypomnieć, czym barwi się czerwone szybki do witraży. Z jakiegoś powodu fakt, że zupełnie wyleciało mu to z głowy, stał się nagle szalenie irytujący i ważny. Wiedział, że aby uzyskać szkło niebieskie, trzeba do stopionego szkła dodać miedzi, a kolor zielony daje rdza. Potrafił nawet wygrzebać z zakamarków pamięci składniki krzemionkowej farby do szkła, choć to nie miało zupełnie nic do rzeczy – ale co dodawano, by szkło stało się czerwone? Ubzdurał sobie, że jeśli skupi się wystarczająco, by wydobyć tę informację z pamięci, będzie to dowód, że dochodzi do siebie, a objawy słabości ustępują.

Nie przypominał sobie w końcu. Na głowę znowu zwałił mu się wrzask sali, tym razem pełen aprobaty i radości, dudnienie łagi o podłogę i łomotanie w blat stołu. Z trudem uświadomił sobie, o czym na chwilę przed wybuchem entuzjazmu mówił jurysta: ponad wszelką wątpliwość było tam coś o obcięciu prawej ręki i oddarciu trzech pasów skóry.

Entuzjazm ostudził szanowny Rejmus, który wciąż starannie unikając wzroku Śegosta, po raz pierwszy od początku rozprawy zabrał teraz na wezwanie jurysty głos.

– W poruczeniu księcia pana wyrok ogłoszony przez justycjariusza zatwierdzam... – Tu znowu dłuższą chwilę trwał rumor. – Ale z uwagi na cechową przynależność podsądnego oraz jego wolny stan ogłaszam dla niego książęcą łaskę...

Na sali rozległy się pojedyncze jęki zawodu.

– ...książęcą łaskę. Ogłaszam zatem, że w uznaniu win cechowy Śegost zostanie ścięty z pominięciem innych zwyczajowych kar.

Musiała trwać dłuższą chwilę, zanim Śegost zorientował się, że to już wszystko. Widownia szumiała dziesiątkami rozmów, komes odsunął fotel i pochylony ku starszemu drużynnikowi wdał się z nim w cichą pogawędkę, nie czekając, aż ogłoszony zostanie koniec rozprawy. Sekretarz za niskim stolikiem zaprzestał stukania o podłogę, jakby z odrobiną śalu.

– Hej, zaraz! – zachrypiał Śegost, nie dbając, że każde słowo odbija mu się bólem pod czaszką. – Nikt nie jest ciekaw, co się zdarzyło? A gdzie świadkowie? Gdzie dowody?

Machinalnie zwrócił się z tym pytaniem do justycjariusza, ten też postanowił mu odpowiedzieć.

– Wiadomym czynię... – sekretarz z radością rąbnął raz jeszcze o posadzkę, najniepotrzebniej, bo sala ucichła z samej ciekawości – ...cechowemu Śegostowi, że nie stoi przed potocznym sądem grodzkim, który ma ustawą nakazane waśnienie lic i testacji, ale przed sądem książęcym, który wobec oczywistej winy podsądnego, prawomocną procedurą, dla skrócenia rozprawy...

Głos justycjariusza znowu utonął w tumultie. Śegost miał na końcu języka przypomnienie, że do walki z blondynem stanął bez broni, co samo w sobie powinno wystarczyć za dowód... Ale zrezygnował. Zrezygnował tak właśnie, jak w swoim śnie zrezygnował z poderwania do góry miecza. Być może dlatego, żeby nie czynić z siebie widowiska, na jakie wyraźnie czekała część sali. Być może w poczuciu, że niczego w ten sposób nie zmieni. Być może, że ból głowy, mdłości i powracające z przemośną siłą pragnienie dopiekły mu już tak, że chciał, by hałasy skończyły się za wszelką cenę.

Nie pamiętał, co się stało potem. Najbardziej prawdopodobne było, że po prostu nie zdążył się odezwać, zanim drzwi sali zostały nagle otwarte od zewnątrz.

Justycjariusz umilkł, spoglądając w tamtą stronę. Za jego spojrzeniem obróciły się głowy zebranych. Także, choć z pewnym opóźnieniem, obolała głowa Śegosta.

A potem wszyscy zaczęli wstawać z miejsc. Wszyscy. Nawet szanowny Rejmus.

Do sali wszedł najpierw strażnik, ubrany w ten sam paradny strój co eskorta Śegosta, ale dzierżący w dłoni połączoną ni to różgę, ni buławę, zwieńczoną stylizowanym kwiatem. Otworzył szeroko skrzydła drzwi i stanął wyprężony po ich prawej stronie, unosząc insygnium pełnionej godności w wyciągniętej na wysokość piersi ręce. Wtedy w drzwiach pojawiła się wysoka, szczupła kobieta. Jej włosy były srebrne, a twarz i ledwie widoczne spod długich rękawów ciemnej sukni dłonie niemal idealnie białe.

Było coś trudnego do nazwania w sposobie, w jaki się poruszała. Stawiała kroki pewne, zdecydowane, ale z wysiłkiem, jakby kaŝdym przemagała jakiś nieŝyczliwy jej prąd. Trzymała głowę wysoko, spoglądała prosto przed siebie, ignorując wszystkie ukłony, i zgodnie ze wszystkim, co ŝegost dotąd słyŝał, sprawiała wrażenie niezwykle wyniosłej.

Sala zamarła. Księżna zatrzymała się przed barierą, nie spojrzała na komesa, który zbiegł ze swego miejsca otworzyć jej przejście, zanim zdążył to zrobić strażnik, potem wstąpiła na podniesienie i podeszła do szanownego Rejmusa. Rycerz, czerwieniejąc nieznacznie na twarzy, poderwał się z honorowego miejsca. Sam z kolei zajął siedzenie dotąd zajmowane przez komesa, a ten niedwuznacznym gestem odsunął na bok druŝynnika. Księżna nie zwróciła na to zamieszanie najmniejszej uwagi, zasiadła na swoim fotelu z niewymuszonym dostojenstwem, odczekała chwilę, aŝ zrobią to pozostali, po czym dźwięcznym, chłodnym głosem rzuciła do justycjariusza:

– Proszę.

Druŝynnik, wyproszony ze swego miejsca, rozglądał się ze speszoną miną, w końcu niepewnie cofnął się za komesa. W podobnej pozycji za fotelem księżnej zatrzymała się towarzysząca jej dama, na którą ŝegost wcześniej nie zwrócił uwagi.

– Sługa najjaśniejszej woli księżnej pani, reasumuję. – Jurysta, bodaj jedyny, nie stracił kontenansu. – Przewód sądowy, który niniejszym przeprowadziłem, dowiódł ponad wszelką wątpliwość, ŝe podsądny jest tym cechowym ŝegostem, który w okolicznościach, jakich szczegółowe określanie na tej sali nie jest dla sprawy konieczne, pozbawił ŝycia wojownika druŝyny ksiąŝęcej, za co szanowny palatyn Rejmus, z najjaśniejszej woli księcia pana przydujący jurysdykcji, miłościwie skazał go na ŝcięcie.

– Okoliczności nie są dla sprawy istotne? – upewniła się księżna.

– Zgodnie z procedurą, której wybór przewidziano dla sądu ksiąŝęcego na wypadki tak oczywiste jak niniejszy. Jeśli jednak jest najjaśniejszą wolą miłościwej księżnej pani okoliczności owe poznać...

– Nie. Nie jest moją wolą je poznawać.

W zaległej ciszy dało się wyczuć, właśnie wyczuć, a nie usłyszeć, pełne napięcia westchnienia.

– I co dalej, jurysto?

Justycjariusz skłonił się, sięgając niepewnie symbolizującego jego godność ozdobnego łańcucha na piersi.

– Poniewaŝ fakt pojawienia się księżnej pani naleŝy rozumieć jako, stanu faktycznego, cofnięcie prezydencji szanownego... Uznać naleŝy, ŝe przysługuje księżnej

pani prawo anulowania zapadłego, ale jeszcze oficjalnie nieogłoszonego wyroku i nakazanie ponownego rozpatrzenia sprawy, jak również okazania łaski skazanemu bez zatwierdzenia zapadłej już konkluzji przewodu. – Prawnik nabrał nieco powietrza i wrócił do oficjalnego tonu. – Jest zatem moją powinnością, jako wyznaczonego do pieczy nad biegiem przewodu, zapytać niniejszym, czy jest najjaśniejszą wolą księżnej pani skorzystać z którejś z owych możliwości?

Wzrok księżnej spoczął na śegoście, który zdobył się na to, by nie opuszczać oczu. Spojrzenie pani Khielve nie wydało mu się dumne ani pogardliwe, choć nie było w nim łagodności, dobroci ani innych podobnych przymiotów przypisywanych kobietom, a już szczególnie kobietom z wielkich rodów. Było to spojrzenie ostre i nieprzychylnie, jednak należące do osoby bardzo zmęczonej.

Utrzymałby wzrok dłużej, ale uznał, że nie byłoby to taktowne.

– Nie – odezwał się po długiej chwili dźwięczny, chłodny głos księżnej. – Nie jest moją wolą zmieniać wyrok szanownego Rejmusa.

Ciszę zmaćcił szmer. Śegost podniósł głowę. Nie był jedynym, który przestał teraz cokolwiek rozumieć.

– Zatem... – podjął po namyśle justycjariusz. – Zatem pozostaje wyznaczenie miejsca i terminu egzekucji cechowego śegosta, co wszelako nie wymaga namysłu, skoro zwyczajem książeckiego grodu Ruerh jest...

– Nie – przerwała mu księżna. – Egzekucja się nie odbędzie... Egzekucja się nie odbędzie – podjęła głosem odrobinę podniesionym i nieznoszącym sprzeciwu – ponieważ jest moją wolą zawieszenie ciąśącego na podsądnym wyroku na tak długo, jak długo będzie się znajdował w książeckiej słuźbie. W wypadku, gdyby ją odrzucił bądź złamał jej warunki... których szczegółowe określanie na tej sali nie jest konieczne, wyrok zostanie wykonany natychmiast. Jurysto, sporządzisz niezwłocznie zgodny z wymogami cechowymi i prawami patent dla cechowego śegosta na zaciąg w stopniu... kapitana drużyny. Mojej drużyny, nie mojego najjaśniejszego małżonka. Teraz rozprawa jest skończona, moście wszyscy się wynosić.

Księżna odwróciła się do swojej przybocznej, przywołała ją gestem i przez chwilę instruowała szeptem. Potem podniosła się z fotela. Jurysta, komes, szanowny Rejmus i publiczność poderwali się w tej samej chwili. Księżna, nie odwzajemniając spojrzeń i nie zwracając uwagi na ukłony, skierowała się w stronę drzwi i odprowadzana wzrokiem zebranych, w ciszy, w której śegost słyszał bicie własnego serca, opuściła salę.

Cisza trwała jeszcze, potem pękła nagle i sala zatonąła w gwałtownym rejwachu, w którym wszyscy gadali jeden przez drugiego.

Śegost marzył o łyku wody. O piwie marzyć nawet nie śmiał. Wciąż czując na całym ciele niezdrowe poty, odsunął zagradzającą mu drogę barierę i wyszedł z kojca. Strażnicy nie śmieli mu przeszkodzić. Pozbawieni instrukcji, nie bardzo wiedzieli, jak się zachować, na wszelki wypadek jednak postępowali za jego krokami.

Śegost wspiał się do stołu i sięgnął po dzban. Przyłożył go do ust. Pił.

Ktoś klepał go przyjaźnie po ramieniu. Nie zwracał na to uwagi, póki woda w dzbanie się nie skończyła.

– Gratuluje, Zegoście. Doprawdy, bardzo się cieszę – mówił komes, krzywiąc swą kocią twarz w przytulnym uśmiechu. – Nie wiesz nawet, jak bardzo byłem przez cały czas po twojej stronie.

Istotnie, Śegost nie wiedział. I nie zamierzał tego zgłębiać. Jego wzrok padł na wciąż siedzącego nieruchomo i wciąż pilnującego się, by na niego nie patrzeć, szanownego Rejmusa.

– I cóś za szczęśliwe zdarzenie – ciągnął komes, niezrażony jego milczeniem. – Wierz mi, Zegoście, nigdy się jeszcze nie zdarzyło, absolutnie nigdy, żeby księżna pani...

Śegost nachylił się ponad stołem i poklepał Rejmusa po ramieniu, przyjaźnie, dokładnie tak samo, jak przed chwilą jego samego klepał komes. I zanim jeszcze się odezwał, już wiedział, że mina szanownego na pewno go nie zawiedzie.

– Witaj – powiedział. – Kolego.

Rozdział 4

Śegost spodziewał się, że rycerze Zamborga zechcą złożyć mu wizytę. Spodziewał się, że nie zrobią tego wcześniej niż w dwa, trzy dni po tym, jak na mocy patentu podpisanego przez panią Khielve rozpoczął formowanie swojego oddziału – rozwój sytuacji musiał zaskoczyć szanownych nie mniej niż jego samego, a raczej bardziej, bo wieloletnia nuda każdego uczyniłaby sennym i cokolwiek bezradnym wobec nagłych zmian. W tym uspieniu, rozważał, potrzebować będą kilku dni, żeby się skrzyknąć, zjechać w którymś z zamków, naradzić i dojść do jakichś wniosków. Ale skoro już będą radzić, zaczną jeden drugiego coraz usilniej podburzać w złości, a ta złość nie znajdzie żadnego innego celu niż on – nieproszony przybysz, którego pojawienie się zburzyło cały dotychczasowy ład. Ład może i dziwny, może chory, może nawet wszystkim doskwierający, ale istniejący wystarczająco długo, żeby zdążyć do niego przywyknąć. Z każdym kielichem złość na przybłądę będzie na tej naradzie narastać, a że w złości mało kto jest zdolny zwlekać z wprowadzeniem powziętych decyzji w czyn, Śegost spodziewał się najścia nie później niż na szósty dzień. Najbardziej prawdopodobne wydało mu się, że szanowni pojawią się czwartego dnia. I że licząc na zaskoczenie, przyjadą z rana, gromadą, wymachując bronią, pewni, że niesformowaną jeszcze rotę zastaną w rozgardiaszu i bez trudu ją rozpędzą, a jej dowódcę porwą ze sobą albo i zatłkają na miejscu.

Wszystko, czego oczekiwał Śegost, sprawdziło się dokładnie. Zupełnie odwrotnie było z oczekiwaniami szanownych. Widok sprawnie ustawionego szyku, najeżonego wziętymi z zamkowej zbrojowni włóczyniami, wprowadził ich w widoczną konsternację. Jadący na czele zaczęli przystawać niepewnie.

– Pozdrawiając szanownych, wiadomym im czynię, że przejazd przez obóz jest wzbroniony! – zawołał dźwięcznie Gaca, od dwóch dni pełniący w rocie zaszczytną funkcję pierwszego dziesiątnika. Mówiąc, naśladował ton głosu i charakterystyczny styl Dejwasa. Fakt, że ma prawo przemawiać w ten sposób do samego szanownego Rejmusa i jego towarzyszy, najwyraźniej mu imponował. Podobnie jak fakt, że z prostego rybaka stał się nieoczekiwanie podoficerem na służbie samej królowej pani.

Śegost na razie nie chciał się pokazywać. Śledził rozwój wypadków spod zwieszającego się nad plażą, niewysokiego w tym miejscu klifu. Wiedząc, czego oczekiwać po królewskich rycerzach, wyznaczył miejsce na obóz pomiędzy Trychną a podstawą półwyspu, niedaleko miejsca, gdzie przyszło mu stawić czoła napaści blondyna. Urwisko cofało się tu od linii brzegu na tyle, że można było pod nim zatoczyć szalasy dla sześćdziesięciu ludzi bez obawy podtopienia, a niedalekie ujście strumienia

pozwalalo wprowadzić w poblisze niezbedne do transportu wojska lodzie. Oczywiscie, pojawienie sie na klifie przeciwnika dysponujacego bodaj dziesiatkiem lucznikow lub procarzy zmieniloby tak usytuowany oboz w pulapke. Ale takiego przeciwnika Segost sie nie spodziewal. Spodziewal sie najazdu szanownych, a im, za to dalby sobie odrabac reke, do glowy by nie przyszlo zsiadac z koni. Szanowni, na ile ich znal, musieli sobie wyobrazac, ze wpadna na oboz cwalem, rozganiajac przeciwnikow impetem, krzykiem i swoja slawa rycerzy, na ktorzych saden prosty kmiot nie wasy sie podniec broni. To zas skazywalo ich na podejscie wzdluz brzegu, waskim pasem twardego gruntu pomiedzy urwiskiem a piaskiem plasy, w ktorym ugrzezlyby konskie kopyta. Zajeżdżajac od strony Ruerhu – bo spodziewal sie ich z tej wlasnie strony, i w tym rowniez sie nie omylił – mozna bylo na tym pasie rozwinac w najlepszym razie dziesiec koni. Jesli zas nie lubilo sie ciasnych szykow, a po bokach wolalo przestrzen, jak to bylo w zwyczajach rycerzy znajacych walke raczej z turniejow niz z prawdziwej wojny na smierc i Sycie – nie wiecej jak sześć. Szostke szarżujacych zas, Segost byl spokojny, jego rybacy powinni zatrzymac. Pomimo braku jakiegokolwiek powasnego przeszkolenia, na ktore na razie po prostu nie bylo dotad czasu.

Mimo wszystko nie mogl byc niczego pewien. Spedzil w cechu juz wiele lat, ale nigdy w Syciu nie zdarzylo mu sie dowodzic Solnierzem tak swiesym, ledwie nauczonym komend. Co wazniejsze, ten Solnierz musial sie w tej chwili przeciwstawic ludziom, wobec ktorzych wyznawany od pokolen porzadek swiata kazal mu byc poslusznym. Byli wzrod nich takze wlascciele wiosek, z ktorzych pochodzila czesc rekrutow. Co prawda Segost przeprowadzil zaciag w imieniu uwielbianej przez prostych mieszkancow wybrzesza ksiensnej, na dodatek z poparciem Dejwasa i innych miejscowych starszych, i ten fakt w oczach chlopow podnosil rane jego rozkazow dosc, by mogly przemoc nad wieloletnimi nawykami. Ale – pewnosci nie mial. Sladzac wiec rozwój wypadkow zaczajony za kupa krzewow u zwieńczenia klifu, zastanawial sie z niepokojem, czy ktorys z szanownych nie bedzie potrafil umiejtnie przemowic do rybakow i odwolac sie do ich chlopskiego myslenia.

Na szczescie rycerze nie wykazali sie sprytem. Zaskoczeni, ale i oburzeni faktem, ze uzbrojeni kmiotkowie osmielaja sie stawac im na drodze, potrafili zareagowac tylko w jeden sposob – jeszcze wiecej zloscia. Po krótkim wahaniu niemal jednomyslnie ruszyli cwalem na zagradzajacych im droge.

– Wiadomym czynię... – Gaca przez chwile jeszcze probowal zachowywac sie z godnoscia, ale widzac, ze konni zamiast zwalniac, przyspieszaja, zarzucil podniosly styl i krzyknal po prostu: – Stac, stac, bo ubije!

– Z drogi, psie syny! – ryknal mu w odpowiedzi jeden z cwalujacych na czele

szanownych, nieznanemu dotąd Śegostowi, a pozostali zawtórowali mu: – Poszli precz, rybole, do sieci, huzia!

Nie jest mądrze deptać godność kogoś, kto za ledwie ją poczuł. Gaca, pokraśniała z oburzenia, zdał się krzyknąć swoim podwładnym: Bij! – ale nawet gdyby tego nie uczynił, wyraźna pogarda ze strony atakujących zrobiła swoje. Jeśli jeszcze kilka sekund wcześniej stojący w poprzek przejazdu rekruci mogli się zastanawiać, czy w ogóle godzi się podnosić broń przeciw szanownym, to teraz nie potrzebowali nawet komendy. Nie byli już rybolami. Byli żołnierzami księżnej pani. Jednocześnie, nie czekając rozkazu, zwarli szyk, ramię do ramienia, tak jak ich uczył, pochylili ostrza włóczni i wysunęli je do przodu niczym śadła.

Pomiędzy szeregiem pieszych a szarżującymi pozostawało kilkadziesiąt kroków, ale Śegost już był pewien wyniku starcia. Oderwawszy wzrok od zaczynającej się u jego stóp walki, rzucił gromko za siebie:

– Brycha, ruszaj!

Brycha, drugi po Gacy namiestnik roty, tak samo jak tamten mający w tym momencie pod komendą dwie dziesiątki rekruta, miał za zadanie zamknąć atakującym odwrót. Dobiegający go zza pleców tupot upewnił Śegosta, że rozkaz jest wykonywany – żołnierze Brychy już zbiegali po skarpie, by zamknąć napastnikom drogę odwrotu.

Tymczasem szanowni uderzyli. Musieli tego pić tej nocy i jechać wprost z biesiady, bo zrobili to w sposób najgorszy z możliwych, każdy z osobna.

Śegost wiedział dobrze, utwierdzała go w tym cała jego wiedza żołnierza, że tak samo jak pojedynczy pieszy nie ma szansy w starciu z jeźdźcem, tak samo jazda nie ma szansy w ataku na zwarty szyk piechoty uzbrojonej w długą broń drzewcową. Jednak tylko pod warunkiem, że w szeregu pieszych śaden się nie załamie, śaden nie cofnie ani o krok, że wszyscy razem wystąpią jak jedna najeżona ostrzami bestia. To samo dotyczyło jazdy. Jeśli uderzy na całej długości frontu w jednym momencie i jeśli w jednym tylko miejscu natrafi na słaby punkt, na czyjeś chwilowe zachwianie woli, strach przed ciosem, drżenie nóg – przełamie. Ale szanowni uderzyli nierówno, jakby kto niedbale rzucił o ścianę garścią grochu. To znaczyło, że przeciw atakującemu stawał nie tylko zaatakowany, ale i jego sąsiedzi. A przy tak szerokim ustawieniu, jakim odruchowo posłużyli się szanowni, nawet po dwóch sąsiadów z każdej strony.

Ponad krzyk ludzi przedarł się przeraźliwy kwik konia, któremu ostrze włóczni rozchlastało szyję. Inna włócznia wrażona mu została z boku, o włos mijając nogę jeźdźcy. Przodujący atakowi szanowny, ten sam, który ryczał z pijackim animuszem „z drogi, psie syny”, wyrzucony impetem z siodła poleciał na piach u stóp żołnierzy. Gdyby był trzeźwiejszy, prawdopodobnie skręciłby sobie przy upadku kark. Dwaj jego

towarzysze stracili wierzchowce, a zaraz później trzeci, najmniej szczęśliwy, oberwał ostrzem pod Źebro, tuŹ poniŹej dolnego skrajy pancerza, i zwaŹiŹ się z jękiem na piach – miał potem skonać po kilku dniach męczarni. Pozostali, wśród nich szanowny Rejmus, który takŹe znalazł się w pierwszym szeregu, zdołali uniknąć powaŹniejszych ran, jednak Źaden nie wyszedł z tego starcia bez szwanku. Z obrońców pozycji tylko jeden sięgnięty został końcem miecza przez głowę, ale cios niegroźnie osunął się po hełmie.

Zrobiło się zamieszanie. Druga linia natarcia zmieszala się z powstrzymaną włóczniami pierwsz, rycerski oddział skłębil się, jedni na plecach drugich – gdyby piesi byli bardziej wprawni w walce, bez Źadnej komendy postapiliby teraz do przodu i zamienili poraŹkę atakuj,cych w ich caŹkowit, klęskę.

– Zabieraj! Zabieraj! – ryczał Rejmus, co w tutejszej komendzie stanowiło wezwanie do odskoku, poprawienia szyku i ponownego ataku. Ale pierwsze niepowodzenie najwyraźniej odebrało napastnikom wiarę w siebie – nie tak sprawy miały wygladać. Dotyczyło to zwłaszcza zbrojnych słu, stanowiących więsz, część oddziału. Na ile Źegost zdaŹył w pośpiechu policzyć po strojach, szanownych miał przed sob, niecały dziesiątek. A ich słu,zy wyraźnie nie bardzo się orientowali, o co ta bijatyka i dlaczego mają w niej brać udział. Na to zreszt, Źegost liczył.

Wyszedł ze swego ukrycia i kilkoma krokami zsunął się na upatrzony wcześniej trawiasty występ, górujący nad ciaŹnin, niczym ambona.

– Rozkazuję stać! – ryknął najpotęŹniejszym głosem, jaki potrafił z siebie wydobyć. A lata Źołnierskiej praktyki zrobiły w tym względzie swoje, jego głos przebił się ponad ludzkie krzyki i rŹenie poranionych koni. – Skoro nie słu,chacie, psie syny, dziesiątnika w słuŹbie księŹnej pani, to ja wam wiadomym uczynię, na kogo waŹyliście się podnieść rękę! Milczeć mi tam i słu,chać, nim kaŹę swoim ruszać do natarcia!

Trudno było powiedzieć, co na adresatach tej przemowy zrobiło więsz, wrażenie – pewnoś siebie Źegosta, nastawione groźnie ostrza włóczni czy imię księŹnej pani. Zmieszany oddział na dole zaczął się wyraźnie dzielić na dwie części. Mniejsz, stanowili miotaj,cy się przed płotem włóczni szanowni, którym wścickłość i duma nie pozwalały się wycofać, więsz, – zbrojni słu,zy, bez zaŹenowania odsuwaj,cy się od zamieszania, jakby chcieli pokazać Źegostowi i jego piechurom, Źe uczestnicz, w tej awanturze przypadkiem i Źe panowie nie raczyli ich nawet powiadomić o celu wyprawy.

– Mówię do was jako kapitan przybocznej rot, jej wysokośi najjaŹniejszej księŹnej Berghu, pani Khielve! – ciągnął. – Ten obóz pozostaje pod jej prawem i przywilejem, a kaŹdy, kto próbuje pogwałcić jego granice sił, dopuszcza się zbrodni, za którą władny jestem go ukarać. Rozkazuję wam złoŹyć broń!

Sądził, Źe rycerze okaŹ, się bardziej przebiegli. Źe będą próbowali wmówić, iŹ to oni

zostali napadnięci albo Œe obóz nic ich nie obchodzi, po prostu jadą ze swoimi sprawami i Œegost nie ma prawa wzbraniać im drogi. Przecenił szanownych.

– Nie słuchajcie tego przybłędy! – zakrzyknął Rejmus, bardziej do pieszych niż do swoich towarzyszy. – Znacie nas! Jesteśmy w słuŒbie księcia Zamborga, to on, a nie księŒna, stanowi w tym kraju prawa!

– Pięknie, pieknie, szanowny Rejmusie. Przysięgnijcie tylko, Œe to Zamborg nakazał wam tę napać, a zaraz sam polecę swoim Œołnierzom, by wam otworzyli drogę do obozu. Tylko przysięgnijcie mi to na bogów, zaraz, tutaj, w obliczu morza i nas wszystkich!

W krajach południa byłoby to pewnie posunięcie ryzykowne, ale tu, na prowincji, rycerze jeszcze szanowali wlasne slowo. Rejmus nie stanowił wyjątku.

– Nie będę się boŒyć przed byle kim! – krzyknęł gniewnie. – Jestem księŒęcym paladynem i w jego imieniu sprawuję piecę nad całą siłą zbrojną księstwa, kaŒdy to tutaj wie!

– Nad całą oprócz przybocznej gwardii księŒnej pani, którą z jej łaski dowodę ja. Co tam gadać, oddajcie broń i idźcie precz, bo rozkaŒę na was uderzyć z obu stron. I nie kaŒcie mi czekać, przed śniadaniem rzadko bywam cierpliwy.

Zdaje się, Œe dopiero teraz skłębieni na ciaŒninie zauwaŒyli za sobą maszerujące dziesiątki Brychy. Ich marsz stanowił zresztą budujący widok – któs nieznany sprawy nie pomyŒlałby za nic, Œe ma do czynienia z chłopami, którzy ledwie dwa dni wczęŒniej dostali do rąk jednolitą broń i po raz pierwszy w Œyciu stanęli w szyku. Brycha uszeregowal ich w posuwające się równoległe dwójkowe kolumny, które zbliŒywszy się do oddziału szanownego Rejmusa, na komendę zgrabnie rozeszły się na boki, w jednej chwili tworząc podwójną, najeŒoną bronią linię, równie zdatną do ataku, jak i do obrony. Œegost, patrząc na ten pokaz sprawnoŒci młodego podoficera, nie mógł powstrzymać uŒmiechu dumy z trafnie podjętej decyzji. Brycha, jeden z młodziaków z południowych wiosek, przybyłych do Trychny na pomoc przy połowach, z braku pracy dla nich wraz z innymi chętęnie odstąpiony przez Dejwasa do zaciągu, okazał się samorodnym talentem do Œołnierki. JeŒli Œycie da mu do tego okazę, dosłuŒy się za paręnaŒcie lat oficerskiego patentu.

Prawdę mówiąc, Œegost nie miał w odkryciu tego talentu wielkiej zasłęgi. Sposób był stary, doskonale w cechu znany i sprawdzal się za kaŒdym razem. Pierwszego dnia, ledwie zebrawszy nowo zaciągniętych, naleŒało zostawić ich w gołym polu przy stercie naciętej drzewiny i kazać przed nadchodzącym wieczorem sklecić dla siebie szałasy. Nic nie podpowiadać, tylko wskazać materiał i wydać rozkaz: postawicie sobie dach nad głową – będziecie spać, nie – stójcie tu do końca Œwiata. Potem wystarczyło przyjrzeć się

pracy: prędzej czy później musiał się wśród rekrutów znaleźć ktoś, kto samorzutnie zaczynał kierować pozostałymi, bo bez jednej komenderującej osoby o postawieniu szalasu mowy być nie może. A pozostali, czując to, zaczęli jego komend słuchać, ani pytając, kto go do ich wydawania upoważnił. Następnego ranka wystarczało tylko oficjalnie wręczyć mu podoficerski szton. Potem w równej walce zaciężny oddział z tak dobraną kadrą bez trudu rozbijał ziemskie poczty i chorągwie pospolitego ruszenia, w których o dowodzeniu decydowało wszystko, tylko nie własne talenty i zasługi żołnierza.

Zbiegiem okoliczności, zupełnie przez śegosta nieplanowanym, bo zresztą do zaplanowania niemożliwym, akurat w tym samym czasie zaczęła się do obozu zbliżać łódź wracająca z nocną zmianą warty pilnującej od kilku dni komnat pani Khielve. Księżna w pierwszej chwili chciała, żeby członkowie jej przybocznej rotty urządzili sobie wartownię w zamku, dała się jednak przekonać śegostowi, który spodziewając się w tej sprawie oporu komesa, zaproponował na razie umieszczenie obozu na wybrzeżu. Łodzi było pod dostatkiem. Każdego świtu i zmroku któraś z nich przewoziła nową zmianę warty do Ruerhu, wyładowując żołnierzy na małym nabrzeżu w obrębie obronnych murów, skąd wąskie schody wiodły wprost do izb wyznaczonych żołnierzom przez księżną i do zajmowanego przez nią zamkowego skrzydła.

Nawet licząc z powracającymi wartownikami, przewaga śegosta nad napastnikami wciąż nie była taka, aby ci ostatni nie mogli się kusić jeśli nie o wdarcie do obozu, to przynajmniej o przebicie się z powrotem. Ale słudzy szanownych nie mieli chęci do bijatyki, rybacy zaś przeciwnie, rozgrzani byli nieoczekiwanym sukcesem. Śegost ze swego występu nie musiał nawet zachęcać ludzi, by wykorzystali ten moment – konni, przynaglani włóczniami, zaczęli jeden po drugim oddawać broń i posłusznie odjeżdżać poza linię zbrojnych, gdzie o kilkadziesiąt kroków zbili się niepewnie w gromadę i oczekiwali na swych panów.

Śegost nie czekał do końca, zsunął się po skarpie i trzymając swój szponton z pozoru niedbale, w pół drzewca, podszedł do osadzonych w miejscu napastników. Widział na twarzy szanownego Rejmusa przedłużającą się wewnętrzną walkę, czy nie spiąć konia i nie skoczyć na przybłądę, by mu rozwalić łeb mieczem, a później już sprawy jakoś by się ułożyły. Jeśli w istocie to rozważał, w końcu zrezygnował.

Na swoje szczęście.

– Szanownym gotów jestem zostawić broń. Wystarczy mi słowo – rzekł śegost, zbliżywszy się do nich na długość włóczni.

– Słowo szanownego nie jest w tej krainie dla przybłądów...

– Zaraz możecie spocząć obok tego nieszczęśnika, któregoście tu bezmyślnie

przywiedli, panie Rejmusie, jeśli to wam od słowa tańsze – przerwał mu o ton mocniej. – I nie leżcie mi w oczy z obyczajami tej krainy. Znane mi obyczaje tej krainy są takie, Œe nasyła się tu na gości skrytobójców...

– Nie łŒy! SameŒ zbir i zabójca.

– MoŒci Ingoldzie, zróbcie to dla mnie i zatkajcie czym na chwilę gębę waszemu sławnemu druhowi. Skoro nie ma tyle rozumu, Œeby mi podziękować, niech przynajmniej milczy.

Szanowny Ingold, który dotąd nie bardzo dał się w starciu zauwaŒyć, chcąc nie chcąc musiał się wysunąć przed towarzyszy i odpowiedzieć.

– Nie doceniliŒmy twojej roty, ŒegoŒcie, to wolno ci z nas kpić. Ale domagając się podziękowań, raczyłeŒ przesadzić...

– Ani troche. Spróbujcie no nieco otrzeźwieć i zastanowić się, czegoŒcie tu właŒciwie próbowali. Cokolwiek sobie myŒlicie o księŒnej pani, jeśli ksiąŒę nie wyrazi jasno przeciwnej woli, jej rozkazy są dla was prawem. A podnieŒliŒcie rękę na jej osobistą gwardię. Powinienem was zakuć i pierwszą łodzią odtransportować pod „dziadka” na Œcięcie łbów. Zaręczam, Œe obyłoby się nawet bez fatygowania czcigodnego justycjariusza. I, do stu demonów, zrobiłbym tak, gdybyŒcie bodaj ranili którego z moich ludzi. Dziękujcie swoim bogom, iŒeŒcie tak zgnuŒnieli w tutejszej nudzie, ledwie paru chłopów z drągami wystarczy, by was odpędzić jak psy od obejŒcia, bobyŒmy teraz w ogóle nie gadali...

Przełknęli obelgę w milczeniu, tylko temu, który poleciał na piach i wciąŒ siedział na nim, masując nadkręcony kark, twarz pokraŒniała ze złoŒci.

– JesteŒmy w ksiąŒęcej słuŒbie – mruknął któryŒ.

-I dlatego księŒna pani kazałaby was Œciąć, a nie powiesić jak prostych łotrzyków. Muszę was przekonywać, Œe bylebym jej dostarczył powodu, podpisze stosowny papier z rozkoszą? I Œe widok waszych pustych łbów toczących się po bruku nie napełniłby jej smutkiem?

– KsiąŒę...

– KsiąŒę? KtoŒ tu mówił o księciu? No, to niech mi moŒe powie, gdzie jest teraz ksiąŒę i co robi? UmyŒliliŒcie sobie, Œe skoro zamknął się w swych komnatach i znaku Œycia nie daje, to załatwicie sprawy za niego, a on was potem ochroni? A skąd wiecie, czyby przy waszym Œcinaniu nie asystował u boku swej pani, cały ŒczęŒliwy, Œe wreszcie udało się ją czymŒ uradować? Krótko tu jestem, ledwie tyle, Œe próbowano mnie ukatrupić wszystkiego raptem trzy razy, ale, zdaje się, szanowni, Œe wiêcej od was rozumiem, co się tu dzieje. – Nie był pewien tego, co mówił o księciu. Zgadywał. Ale po twarzach szanownych widział, Œe odgadł dobrze.

Oparł się na szpontonie i ciągnął:

– Niewiele wymagam. Dacie słowo, że Saden z was nie podniesie na mnie broni do jutrzejszego wieczora. Potem co ma być, to będzie. Jestem w zaciągu księżnej pani i upewniam, że każdy jej jasno wydany rozkaz wykonam bez chwili zwłoki. Chcecie teraz jechać, to jedźcie. Pojedziecie, to nie porozmawiamy. Nie porozmawiamy, to za parę dni znowu staniemy do walki, tylko już wtedy nie będzie Sartów ani pardonu. Krew popłynie, jakiej dawno w tej krainie nie widziano. Nie myślicie, szanowni, że warto by swą szanowność zawiesić na kołku i poważnie z przybłądą porozmawiać?

– A o czym – zapytał wreszcie Ingold – chcielibyście rozmawiać?

– A choćby o tym, że za parę dni niespodzianie pojawi się w Ruerhu drużyna królewskiego wysłannika. Nie wiecie o tym. Tylko ptaki wiedzą, na razie.

– Wiedzą może, czy przyjedzie sam, czy razem z...

– Z, mości Ingoldzie. Jak cholera „z”. Po czorta inaczej mieliby przyjeżdżać?

Ingold pochylił się do Rejmusowego ucha i przez dłuższy czas wyraźnie próbował mu coś wytłumaczyć. Rejmus śachał się i chciał odjechać, ale Ingold uchwycił go ramieniem przez plecy i perswadował dalej.

W końcu Rejmus wyprostował się w siodle, spojrzął dumnie na Segosta i wypalił:

– Na co tu gadać, stawaj do walki, przybłądo. Tutaj, zaraz. Stawaj do walki. Nie mam możliwości cię zmusić, ale jeśli masz odrobinę honoru, wyzywam cię. Na śmierć i życie! Którykolwiek padnie, nie będziemy wciągać w to innych.

Segost zastanawiał się, na co bardziej ma ochotę – cisnąć szponton na piasek i wracać piechotą do królestwa czy grzmotnąć Rejmusa przez łeb. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Westchnął tylko ciężko.

Znał ten typ rycerza – gdy raz palnie największe nawet głupstwo, potem już honor nie pozwoli mu odstąpić. Będzie brnął choćby do własnej śmierci. Co dopiero cudzej.

– Powiedziałem, co było do powiedzenia – odparł Segost. – Jeśli wam trochę zależy na ludziach, powinniśmy porozmawiać. Jeśli nie, wracajcie do siebie.

– Wyzywam cię! – powtórzył Rejmus.

– Idź precz, zanim ja cię zwyzywam – mruknął pod nosem Segost, obracając się do swoich rybaków. Znać było po ich twarzach, że nic z tego wszystkiego nie rozumieją. Trudno by się zresztą czego innego spodziewać.

– Do jutrzejszego zmroku – rzucił wyniośle Rejmus, zawracając konia. – I ani godziny dłużej. Potem nie bądź pewien Sądnej chwili, przybłądo. Za mną – rzucił do swoich szanownych, przejeżdżając pomiędzy włóczykami ludzi Brychy z taką miną, jakby to on właśnie wygrał potyczkę i łaskawie darował pokonanym życiu.

Szanowni w większości podążyli za nim, zabierając ze sobą na płaszczu

pojękującego rannego. Na plaży zostali tylko wahający się Ingold i wciąż ogłuszony rycerz, próbujący bez powodzenia wgramolić się na wysokie bojowe siodło.

– Brycha i pięciu, do mnie – zakomenderował Śegost. – Gaca z resztą, dobij konia, pozbieraj broń, zabierz ludzi do obozu i przygotuj do porannego apelu. Brycha, odprowadź gości do mojego namiotu. I niech się kto kopnie do karczmy po śniadanie dla mnie i dla nich.

Obrócił się i samotnie ruszył w stronę obozu. Ogarnęło go znużenie. Ostatnia rzecz, jaka mu się teraz uśmiechała, to klarować wszystko Ingoldowi. Nawet jeśli zrozumie – powinien zrozumieć, jak na szanownego pojętny z niego człowiek – nawet jeśli się z Śegostem zgodzi, czy zdoła cokolwiek przetłumaczyć swoim dumnym przyjaciółom? Więc po co marnować czas, którego kiedy jak kiedy, ale teraz akurat wyjątkowo mu brakowało? I zresztą, właściwie, co go to wszystko obchodziło? Miał patent zgodny z wszelkimi wymaganiami cechu i królewskiego prawa. Co mu księżna pani rozkaże, to zrobi, a potem weźmie odprawę i ruszy w swoją stronę. Nie jego sprawa dociekać, kto tu narobił zła, a kto przez to ucierpi niewinnie.

Zatrzymał się, patrząc na górujące nad klifem skaliste wzgórze, na którym nocami palono ogień dla zbłąkanych łodzi. Morze szumiało nieustannie. Musiał sobie o tym szumie przypominać, tak się już przez tych kilka dni stał codziennością. Na falach kołysały się liczne rybackie łódki. Łowiono jak co dnia drobnicę. Ale szlachetna ryba na zatokę nie wchodziła. Nie musiał pytać Dejwasa, by wiedzieć, że nic się nie zmieniło. Jeśli łosoś nie wejdzie jeszcze przez najbliższe dwa, trzy tygodnie, to już w tym roku nie zobaczą go w ogóle. Chyba tym jednym, pomyślał, był się w stanie przejąć. Bo przecież nie łosem Zamborga, jego zamorskiej Sony ani pani Belisenny. Ani, tym bardziej, szanownych.

Trzeba było zająć się rotą. Zebrać żołnierzy na placu pomiędzy szałasami i przed rozdzieleniem codziennych ćwiczeń opieprzyć ich najgrubszymi słowami. Bo na pewno byli teraz, pokraśniali z dumy i radośnie rozgadani, przekonani, że sprawili się świetnie i że kapitan będzie ich chwalił. Więc trzeba właśnie odwrotnie, usadzić ich, żeby za dużo nie myśleli, wykpić, że machają drągami jakby zganiłi bydło z pola, że gdyby to była prawdziwa bitwa, a nie przepychanka z pijanymi szanownymi, wróg przejechałby po nich, ledwie dostrzegając jakąś przeszkodę, pozostawiając za sobą tylko smród z popłatanych łbów i brzuchów. A tu na Sarty nie ma czasu, bo tylko dni dzielą ich od chwili, gdy będą mieli sprawę z prawdziwym wrogiem, ze Shizzandrowymi mścicielami – rozumiecie to, kapuściane łby? To na plac i ćwiczyć tam, ćwiczyć, aż się ze zmęczenia zamroczy w ślepiach!

Tak trzeba, to też była jedna z rzeczy, których nauczył się już dawno – kiedy

tarczownikom po jakimś sukcesie zdaje się, że już wszystko potrafią, musisz w nich to zdusić, wykpić i udowodnić, że jak na razie są niczym, niczego nie wiedzą i wiele jeszcze trzeba czasu, by zaczęli przypominać żołnierzy. Co innego, jeśli dostaną w skórę – wtedy dowódca musi podnieść na duchu, wmówić, że walczyli doskonale, przegrali tylko przypadkiem i następnym razem każdego przeciwnika po prostu rozniosą w puch.

Przede wszystkim był teraz dowódcą rot. Musiał iść na plac i wygłosić całe to kazanie, a potem porozdzielać ćwiczenia. Ale jakkolwiek by je rozdzielił, i tak przecież będzie musiał wszystkiego dopilnować sam, bo nie miał pod ręką nikogo z jako takim pojęciem o sprawie. Od początku starał się, żeby mu odkomenderowano z Ruerhu Lagę, ale komes postępował w tej kwestii tak samo jak wobec przygotowania dla drużyny zamkowych kwater. Nie śmiał się, oczywiście, przeciwstawić poleceniu jaśnie pani wprost, ale zwyczajem wszystkich urzędników świata wynajdywał jedną trudność po drugiej, tak że na przybycie starego druha nie mógł się liczyć wcześniej jak za tydzień. Na razie wszystko było na jego głowie, dziesiętnicy mimo najlepszych chęci na szyku i jego obrotach nie znali się nic, po całych dniach biegał od jednej rot do drugiej, demonstrując, tłumacząc, chwając i ganiąc, aż uznał, że przynajmniej Gaca i Brycha pojęli rzecz na tyle, by mogli nadzorować ćwiczenia pozostałych. Wtedy musiał siadać w łódź, dopilnować wart na pokojach księżnej. A potem, w nocy, kiedy już wszyscy spali, wszyscy, oczywiście, prócz wart i wyznaczanej co wieczór specjalnej czujki, wypatrującej od strony warowni zbliżających się szanownych, czujki, która zresztą tego dnia tak się dobrze spisała – kiedy wszyscy spali, on do rana siedział nad pismami, wyliczeniami, rachunkami, wszystkimi tymi sprawami, które laikowi w ogóle się z wojskiem nie kojarzyły, a na których ono w rzeczy samej polegało.

Oczy go piekły z niewyspania i zmęczenia. A teraz trzeba było jeszcze znaleźć chwilę, żeby spróbować rozjaśnić w szanownych łbach. Nie mówiąc już o wyjaśnieniu czegokolwiek własnym, nic przecież z porannych wydarzeń niepojmującym rybakom.

Przynajmniej w tym ostatnim wyręczył go Gaca. Nie tak uzdolniony do żołnierki jak Brycha, za to mający znacznie od niego więcej miru u podwładnych, odważył się podejść do zamyślnego dowódcy i spytać:

– Panie kapitanie? Jeślibyście ino wolę mieli nieco oświecić... Bo ludzie pytają, nie rozumieją, a i ja sam... – przyznał się bezradnie.

– Co tu niby chcą rozumieć, Gaca? Wiedzą przecież wszyscy, że tu będzie sprawa z magiem?

– Wiedzieć to wiemy, panie kapitanie. Ale żeby na szanownych...

– A co wam śercy mówili, co starszy tłumaczył? że magom najmilej jest podjudzić jednych przeciwko drugim, posiać niezgodę, poróżnić swoich wrogów między sobą... –

Śegost westchnął ciężko. – Powiedzcie ludziom, Gaca, żeby się spodziewali, że będzie jeszcze gorzej. Niech się nie sadzą tego rozumieć. Nie na ich głowy. Od tego mają rozkazy. Przysięgli jaśnie pani i mają jej wiernie służyć, nikt po nich nie oczekuje niczego więcej. Zamiast myśleć o sprawach, których i tak nie pojmą, niech się lepiej dobrze wezmą za ćwiczenia. Weźmiecie ich z Brychą po odprawie, niech każdy dziesiątek przeciwiczy jeszcze raz wszystkie obroty, co były wczoraj. A jak wam się już wyda, że jest dobrze, ćwiczcie po dwie dziesiątki razem, a wreszcie całym oddziałem. Potem ja sam przyjdę i dam nowe rozkazy.

Gaca pokiwał głową. Nie pośegnał się salutem, a Śegost nie pamiętał nawet, czy w ogóle już swoim ludziom o czymś takim jak wojskowy salut wspominał. Nauka „szyków wydała mu się daleko pilniejsza.

Lubił ich uczyć. Była w tym jakaś tajemnica i magia zawodu, który go przed laty uwiódł, kryjąca w sobie mądrość wartą pamiętania w całym Śyciu. Dziesięciu niezgułów, z których każdego z osobna przeciętny wojownik rozkładał na łopatki, jeśli tylko nauczyło się trzymać równe odstępki i postępować w jednej chwili, na komendę, stawało się zdolnymi pokonywać nawet rycerzy, którzy ćwicząc się w tym od dzieciństwa, w pojedynczej walce byli zwykle niepokonani. Może nie była to mądrość na miarę nauk mistrza Szarkana, ale za każdym razem, gdy potwierdzała mu się w praktyce, Śegost nie mógł się jej nadziwić.

– Myśl sama nie była wcale zła, panowie szanowni – zaczął rozmowę po powrocie z placu. Gardło miał zdarte od krzyku, wszystkie mięśnie obolałe, najchętniej kropnąłby się na barłóg, a przecieś dzień dopiero co się rozpoczął. – Tylko wykonanie, co tu dużo gadać, po prostu durne.

Ingold i jego towarzysz doszli już po przejściach poranka do siebie, czego śladem były uwalane tłuszczem misy i dno przeswitujące w jednym z dzbanków piwa. Na widok resztek omaszczonej kaszy Śegost przypomniał sobie, że nie miał dotąd czasu na śniadanie. Ale nie licowało mu z powagą spraw sięganie teraz po misę.

– Twoje prawo kpić, żołnierzu – mruknął Ingold – a nasze ścierpieć to w milczeniu. Choć gdybyś u zarania tej znajomości powstrzymał się od drwin...

– Pewnie mi nie uwierzysz, Ingoldzie, ale nie miałem wtedy nic złego na myśli. To wyście w moich słowach znaleźli drwinę. Długo jeszcze potem nie rozumiałem, dlaczego. Wiecie, jak mówią w moich rodzinnych stronach? Na złodzieju czapka gore. W niewinnym śarcie dostrzeżliście przyganę, bo się sami czujecie podle. I, w istocie, macie prawo. Pośalowania godna sprawa! Szanowni, rycerze, muszą szwendać się po karczmach i pod słowem nie mogą pokazać nosa na dworze ani przyznać, gdzie

naprawdę byli, bo tak im ksiąŜę rozkazał, by łącniej móc łągać swojej małŜonce...

Ingold z rozpaczliwą miną dawał mu jakieś dyskretne znaki, wskazując nieznacznie na swego towarzysza. Skorzystał wreszcie z chwili, gdy Śegost zawiesił głos, by zacząć się sumitować, Śe dotąd ich sobie nie przedstawił – oto Śegost, cechowy, od niedawna w naszych stronach, a oto szanowny Bejlik. Szanowny Bejlik, jak wynikało z prezentacji, pochodził ze wschodniej części Berghu, na dworze Rejmusa zagościł przed kilku dniami zbiegiem okoliczności i, jak się było łatwo domyślić, nie znał za bardzo tutejszych spraw. Co mu zresztą jakoś nie przeszkodziło ochoczo dołączyć do szykowanej u Rejmusa awantury.

Czort nadał, pomyślał na tę prezentację Śegost. Liczył, Śe drugi z rycerzy pomoŜe Ingoldowi wyperswadować szanownym rozsądek, tymczasem wyglądało na to, Śe będzie tylko przeszkadzać w rozmowie, samą swą obecnością powściągając towarzysza w nadmiernej szczerości.

Ale teraz juŜ wypraszać go z namiotu nie wypadało.

Śegost krzyknął na słuŜbowego i kazał skoczyć po więcej piwa – zapowiadało się, Śe będzie potrzebne. Z niechęcią myśląc o czekającym go dniu, sięgnął po trzeci kubek i napełnił go. Popatrzyli sobie z szanownymi w oczy.

Nieoczekiwanie tym, który zaczął rozmowę, okazał się Bejlik.

– Miło nam, panie Śegoście, Śe przynajmniej pochwaliliście nasz zamysł. Choć nie wiem, czy go dobrze znacie.

– Ano, sprawdzmy. Ja owoŜ, jak juŜ mówiłem, wyrozumiałem wasz zamysł tak: skoro ksiąŜę pan nic nie robi, to czas najwyższy, Śeby jego wierni rycerze podjęli jakąś decyzję za niego. On się potem z nią zgodzi, bo nie będzie miał innego wyjścia. O tej myśli powiedziałem, Śe nie była zła. Niestety, na to, by „jakaś decyzja” miała oznaczać moją śmierć, zgodzić się nie mogę. I sędzę, Śe to zrozumiecie...

– Nikt nie myślał zabijać – pospieszył z zapewnieniem Ingold. – Rejmus chciał was tylko porwać i wtrącić do swego lochu...

– Nabrałem dla was szacunku, boście rozsądny człowiek jak na szanownego, ale jeśli mam was szanować dalej, musicie na to pozwolić – odparł Śegost. – W to, coście teraz powiedzieli, moŜe i uwierzę. Ale nie wmawiajcie mi, Śe ten wasz Woyt przyszedł mnie porwać do Rejmusowego loszku. On mnie przyszedł zarŜnąć jak prosiaka i celowo wybrał moment, kiedy nie miałem przy sobie nawet porządnego noŜa. Nie dajecie mi wiary, wasza sprawa, ale popytajcie ludzi z Trychny. Potwierdzą. A to prości chłopci, nie potrafią kłamać. Nie miałem broni. Moje szczęście, Śe się na podorędziu walał nóŜ do wikliny.

Ingold z zakłopotaną miną tarł rumiane policzki.

– Trudno mi tę sprawę wyjaśnić, przyznaję. Ale uwierzcie mi, znam Rejmusa. Ma do was urazę, to prawda, chciałby wam rozwalić łeb albo upuścić flaków, i temu nie zaprzeczę. Ale zrobiłby to sam. Znam go przecieŜ. To nie jest człowiek, ŐegoŐcie, który by kogo namawiał do skrytobójczego mordu. Wierzcie albo nie...

– Rejmus? Nigdy. Mogę ŐwiadczyĆ – wtrącił się do rozmowy szanowny Bejlik.

– MyŐlałem nad tym parę dni i moŐe w tej sprawie takŐe skłonny jestem wam uwierzyĆ. Ale kto w takim razie nasłał na mnie mordercę? Zdaje wam się prawdopodobne, Őe ów Woyt przyszedł sam z siebie? Őe z jakichŐ przyczyn aŐ tak wziął do siebie obrazę szanownego Rejmusa?

Ingold mruknął tylko coŐ pod nosem i niechętnie wzruszył ramionami na znak, Őe innej moŐliwoŐci nie widzi.

– Mniejsza o to. SzczęŐliwie udało mi się obroniĆ i gdyby ksiąŜę pan pofatygował się zwołać uczciwy, normalny Őąd, na tym się wszystko mogłoby skończyĆ. Ale stało się inaczej i księŜna postanowiła skorzystaĆ z okazji. W mylnym przekonaniu, Őe skoro stała się przypadkiem panią mego Őycia i Őmierci, bo w jej prawie jest nakazać w dowolnym czasie wykonanie wydanego wyroku bez tłumaczenia się z tego komukolwiek, to wypelnię ze swą rotą kaŐdy jej rozkaz. TakŐe taki, a moŐe zwiŐszcza taki, który oznaczaĆ będzie zbrojne zwrócenie się przeciwko jej ksiąŜęcemu małŐonkowi.

– Powiadacie, Őe to przekonanie jest mylne?

– Mylne, panie szanowny, bo ja i tak wykonam, i wykonałbym, kaŐdy taki rozkaz od chwili, gdyŐmy podpisali listy zacięŐne. Ja jestem człowiek cechowy, znam, co honor i powinnoŐĆ. Zaciąg to zaciąg: dopóki polecenie księŜnej nie będzie sprzeczne z królewskim prawem, ono samo jest prawem dla mnie. A w królewskim prawie, które wam moŐe w szarkańskiej akademii wykładano, nie ma Őadnych klauzul, które by chroniły wiarołomnych małŐonków przed gniewem małŐonek, choĆby nie wiem jak przesadnym. – Upił piwa i odczekał, Őeby to, co powie, wybrzmiało w uszach szanownych z całą mocą. – O was w tych rozkazach nic na razie nie było, więc moŐemy pić piwo i omawiać sprawy. Mogę nawet zataić wasz wybryk, a jeŐli kto dowie się czego od rybaków, zaŐwiadczyĆ, Őe było to tylko nieporozumienie. Ale jeŐli mi księŜna pani kaŐe na was uderzyĆ, to uderzę najlepiej jak potrafię i choĆ stracę przy tym parunastu ludzi, nie pozostawię nikogo Őywym. KaŐe mi pani spalić Ruerh, zaraz zostaną z niego same zgliszcza. Nie do mnie potem pretensje. Ja jestem tylko Őołnierzem i wykonuję rozkazy.

– A jeŐli kaŐe wam podnieŐĆ rękę na Zamborga? Bo moja skromna wiedza wyniesiona z akademii podpowiada mi, Őe to on wlaŐnie jest waszym suwerenem, a nie Khielve.

– A, to akurat bardzo ciekawy temat do prawniczej dysputy, gdybyśmy mieli na nią czas i gdyby mi osobiście, a sędzę, Śe i wam, szanowni, nie robiło się na samą myśl o takowych dysputach niedobrze. Jeśli tutejszy justycjariusz kształcony był w którejś ze szkół królestwa, zgodzi się Śywo z poglądem, jakiście przed chwilą wygłosili. Ale jeśli pochodzi z tych okolic, równie Śywo zaprzeczy. Powoła się przy tym na ogólnie znany fakt, Śe zwyczaj wybrzeŚy daje kobietom z panujących rodów równe prawo do dziedziczenia władzy, a skoro tak, musi im dawać prawo i do samej władzy, z tym jej atrybutem, jakim jest erygowanie siły zbrojnej i zwierzchność nad nią. Powołałby się przy tym pewnie na starą zasadę, która kaŚe respektować prawo lokalne przed stołecznym. Oczywiście, jeśli któraś ze stron sporu sięgnęłaby jeszcze głębiej w sakwę i najęła innego, jeszcze bardziej uczonego męŚa jako rozjemcę, ten wywiódłby całą rozprawę, Śe na mocy unii maronarskiej zasada przywołana przez jego poprzednika funkcjonuje w krajach lennych o tyle, o ile prawo lokalne nie stoi w przedmiocie sporu w raŚającej sprzeczności z estarońskim prawem królewskim. Po czym choćby i przez trzy pokolenia, jeśli kto gotów by im był tak długo płacić, mogliby się byli kłócić, co znaczy sprzeczność raŚąca i czy z taką właśnie mamy w tym przypadku do czynienia...

Śegost wzruszył ramionami. Czuł, Śe rozgaduje się niepotrzebnie, ale widać musiał ulŚyć sobie po niedawnych przeŚyciach w dynkhauzie Ruerhu.

Uniósł kubek z piwem i popatrzył swym gościom w oczy.

– Dajmy temu spokój. Juryści biorą złoto za to, aby umieli po sprawie dowieść słuszności tego, kto ją wprzódy rozstrzygnął na swoją korzyść mieczem. JeŚeli Khielwe kaŚe mi podnieść rękę na Zamborga, a ten zdoła zapanować nad swą druŚyną i z pomocą szanownych rozbić moją rotę, to bez wątpienia moje postępowanie okaŚe się bezprawne. Ale mogę was zapewnić, Śe jeŚeli podobny rozkaz od swego suwerena dostanę, zostanie on wykonany w taki sposób, Śe potem justycjariusze będą musieli ogłosić coś zgoła innego. JeŚeli. Na razie podkreślam, szanowni, to słowo: „jeŚeli”.

– I po cós je tak podkreślacie? Ze wszystkiego, co słyżę i co sami wiemy, wynika, Śe Khielwe po to właśnie wzięła was w zaciąg, Śeby taki rozkaz wydać. Pytanie tylko, kiedy to zrobi. Moim zdaniem w dniu, kiedy jej zameldujecie, Śe wasi chłopci robią juŚ bronią tak, Śe dalszej nauki im nie trzeba.

Śegost zaśmiał się.

– Nie wiodłem w Śyciu oddziału, o którym szczerze mógłbym tak powiedzieć. Ale co do samej sprawy... Powiem wam, Śe gdy szedłem na wezwanie księŚnej, mając w pamięci naszą, mości Ingoldzie, niedawną o tych rzeczach rozmowę, sam widziałem jej zamiary podobnie. Po tej rozmowie zdanie zmieniłem. Gdybym go zresztą nie zmienił, nie warto byłoby tracić teraz czasu.

– Mówcie dalej, jeśli łaska. Tak długo, aż zdołamy wyrozumieć, co macie na myśli.

– Mam na myśli to, że na mnie księżna wywarła zgoła odmienne wrażenie. Z waszej opowieści wynikało, że to złośliwa, wyniosła wiedźma. Gardzi wami wszystkimi i samym Zamborgiem, bo pochodzi z nieporównanie lepszego rodu, nie pozwala małżonkowi, a z nim i jego rycerzom, na śadne uciechy, bo przy swej godności uważa je za nazbyt prostackie... Dobrze was wtedy pojąłem?

Ingold raz jeszcze spojrzął niepewnie na swego towarzysza, pociągnął w zamyśleniu z kubka, ale w końcu zdecydował się mówić otwarcie.

– Wiesz dobrze, śegoście, że ta rozmowa miała pozostać między nami. Nie zyskałoby mi sympatii u dworu, gdyby...

Szanowny Bejlik porwał się na nogi, przyciskając prawą dłoń do piersi.

– Przy mnie, szanowny przyjacielu, cokolwiek kto powie, to jakby w studnię rzucił! Zapewniam was, panowie...

Po chwili, której było trzeba na przyjęcie Bejlikowych zapewnień, Ingold powrócił do tematu pytaniem:

– Chcesz zatem, śegoście, powiedzieć, że się co do księżnej całkowicie myłę? Zwaś, że my ją tu znamy od lat. A ty, z całym szacunkiem, widziałeś ją... ile razy, jeśli wolno spytać?

– Jeśli pytasz o dłuższą rozmowę, to właściwie tylko raz. O ile w ogóle była to rozmowa, bo księżna pani zwykła raczej komenderować i nie pytać o opinię. Bodaj tylko tyle ma wspólnego z małżonkiem. I nie twierdzą po tej rozmowie, że się myliliście ze wszystkim. Odniosłem tylko inne wrażenie. Wrażenie, że to ona czuje się w tym kraju znienawidzona.

– Dość ciekawe. Ja odnoszę wrażenie, że jest wręcz przeciwnie. Popatrzcie choćby na swoich chłopów. Oczywiście, decyduje o tym głównie renoma, jaką wyrobili jej bardowie. I fakt, że ulubienica pospólstwa nie wychyla nosa z zamku i nie daje się bliżej poznać...

– To działa w obie strony, Ingoldzie. Może i kto powiedział Khielve, jaką ją darzą sympatią prości ludzie, ale dla jej samopoczucia decydujące są raczej uczucia, dworu. A te są...

– Te są takie, na jakie sobie latami zasługiwała, w to może wierzyć...

Śegost przerwał mu gestem.

– Nie rozumiecie mnie. Ja się nie myślę spierać, czy księżna zasługuje na miłość dworu, czy nie. Interesuje mnie wyjaśnienie przyczyn sytuacji, w której się wszyscy znaleźliśmy. Bo bez tego, tu się chyba zgodzicie, nie mamy wielkich szans znaleźć z niej wyjścia. Otóż więc odniosłem wrażenie, że księżna żyje tu w strachu. że na zamku

w Ruerhu lęka się o swoje Ŝycie. I dlatego zapragnęła mieć do wyłącznej dyspozycji własną przyboczną gwardię. Dlatego kazała mi pilnować dniem i nocą zamkowego skrzydła, w którym ma swoje pokoje. Więcej ma dziś zaufania do rybaków z nadmorskich wiosek i wędrownego najemnego Ŝołnierza niż do swojego opiewanego w pieśniach wybawcy i jego druŜyny.

Szanowni nie wyglądali na przekonanych.

– To przecieŜ kupy się nie trzyma, Ŝegoŝcie, sami się zastanówcie choć przez chwilę. Zamborg nie ma odwagi w oczy powiedzieć swojej Ŝonie tej oczywistej prawdy, Ŝe oboje mają siebie dość, a zdobyłby się, sãdzicie, podnieŝć na nią rękę?

To z kolei nie przekonywało Ŝegosta. Owszem, człowieka, który nie umie spierać się w Ŝywe oczy, wcale przez to nie uwaŜał za niezdolnego do skrytobójstwa. Zwłaszcza gdy ktoś taki miał moŜnoŝć zlecić wykonanie brudnego czynu komuŝ innemu.

Ale nie podzielił się z szanownymi tą myŝlą.

– WciãŜ popełniacie ten sam błąd. Nie jestem rzecznikiem księŜnej i nie musicie spierać się ze mnã, czy w Ruerhu ma ona powody obawiać się kaŜdego nocnego szelestu i nie tykać Ŝadnej potrawy, której nie spróbuje wcześniej słuŜba. Przyjmijcie po prostu, Ŝe się obawia. Pamiętajcie zresztã, co wam mówiłem, Ŝe lubię czasem patrzeć na sprawy cudzymi oczami? Więc próbuję sobie wyobrazić, jak się rzeczy mają dla księŜnej. Was moŜe i ŝmieszy podejrzenie, Ŝe ktoś w Ruerhu chciałby posłuŜyć się sztyletem albo truciznã. Ale przypomnijcie sobie, jak się ułoŜyły losy jej matki i jej samej. Nie sãdżę, Ŝeby ona tego nie wiedziała.

– Dobrze zatem – westchnãł Bejlik. – Skoro się boi, niech się boi. W rzeczywistoŝci nic jej przecieŜ naprawdę nie zagraŜa. Będzie po prostu przesadnie ostroŜna i cõŝ nam to... Chyba dobrze mówię?

Ŝegost pokręcił przeczãco głowã.

– Dobrze o was ŝwiadczy, Ŝe widocznie nie poznaliŝcie w Ŝyciu, co znaczy strach. – Szanowny Bejlik zgodził się gestem z tą obserwacjã, najwyraźniej mile niã ujęty. – Ja powiem, Ŝe jeŝli dawano by mi taki wybõr, wolę mieć za wroga człowieka zagniewanego, opętanego nienawiŝciã, szãłem, krõtko mõwiãc, kaŜdego innego, tylko nie takiego, co się ŝmiertelnie boi. A zwlaszcza jeŝli się w tym strachu czuje osaczony i bezsilny. Bo ktoś taki gotõw jest na wszystko. I na dodatek uzna, Ŝe do wszystkiego ma prawo, bo jest przecieŜ osaczony, przeraŜony i tylko się broni. MoŜemy mieć rõŝne zdanie, czy księŜna ma się czego obawiać. Ale muszẽ wam rzec, Ŝe wyliczajãc w rozmowie powody swego niepokoju, umiała być bardzo przekonujãca.

Ŝegost nie chciał rozwijać tego wãtku. Teraz, po kilku dniach, z dala od ponurej atmosfery nadmorskiego zamczyska, sam skõlonny był wraz z szanownymi bagatelizować

obawy jaśnie pani. Ale pamiętał, że jej słowa, cedzone z namysłem, uderzały nieodpartą logiką. Wszystko, o czym mówiła Khielve, składało się w jedną, doskonale powiązaną całość, wszystko z siebie wynikało albo pasowało jak najdokładniej. Może był w tym wrażeń jakiś czar. Może po prostu brało się ono stąd, że księżna na wiazaniu rozmaitych najdrobniejszych poszlak, pogłosek czy błahych z pozoru zdarzeń spędzała całe dni.

– Powiedzieliście: drużyna Everarda z Kalboru... – podjął Ingold.

– Ano właśnie. Od kiedy jaśnie pani się o tym dowiedziała, jest przekonana, że wszystko zostało już przeciwko niej przygotowane.

– Ale czemuś, na Kebdira? Mało to razy Everard z małżonką gościli w Ruerhu?

– A ile razy miało to miejsce po owej przepowiedni, o której mi opowiadaliście?

– Prawda – głos Ingolda zabrzmiał nagle głucho.

– Nie mam wielkiego szacunku do Śerców, i wy pewnie też. Jeśli, wbrew swym zwyczajom, zamiast bełkotać, wywróżyli coś równie jasno i jednoznacznie, to może znaczyć, że ktoś na nich wpłynął. W polityce królestwa takich, powiedziałbym, zainspirowanych przepowiedni naliczyłbym za ostatnich parę lat kilka, więc czemu nie podejrzewać, że może po nie sięgnąć i kobieta. Znaicie panią Belisennę?

– Tyle co każdy. Bywali często...

– Szykowna pani – wtrącił się Bejlik. Szanowny miał bujną czarną czuprynę i takieś wąsy, a twarz pełną, skłoną do czerwienienia i z natury wesołą, jak przystało na człowieka, w którego życiu największą tragedią było pewnie przegranie w kości ulubionego sokoła albo chybienie rogowca na polowaniu. Gdy zaczął mówić o Belisennie, ta twarz dosłownie się rozpromieniła. – Nie mam skąd wiedzieć, jak to jest z tą przepowiednią, ale prawda prawdą, że gdy się o niej rozeszło wśród szanownych, każdy się ucieszył. Stokroć by było przyjemniej mieć w Ruerhu Złotowłosą niż Ptaszniczkę...

– Nie pytam o jej urodę, ale czy to, jak uważacie, kobieta śmiała? Z takich, co zwykły brać to, czego chcą, nie oglądając się na przeszkody?

– Na taką wygląda – zgodził się Ingold. – Ale co Bejlik mówi, potwierdzą. Wszyscy ją lubią.

– Więc Ptaszniczka – odruchowo usłyszał tego samego co Bejlik, ukutego przez zamkową słuźbę określenia, choć jako kapitanowi przybocznej gwardii księżnej niezbyt mu pewnie wypadało – ma prawo czuć się tak, jak się czuje. Zatem załóżmy na chwilę, że pani Belisenna ma w sobie nieco więcej z męszczyzny niż jej opiewany przez pieśniarzy kochanek, co, nawiasem, nie jest przecież trudne...

– Nie zawsze taki był. Uwierz, żołnierzu, że nie zawsze...

– Wy się szwendacie po wioskowych gospodach, kryjąc tajemne wypady Zamborga

– nie dał sobie przerwać. – Ten na przemian a to znika z zamku, jeśli rycerz Everard akurat wizytuje którąś z wyspiarskich stolic, a to znowu siedzi kamieniem przy małŃonce, usiłując ją udobruchać czy uspić czujność, i ani w tę, ani we w tę, na nic się nie potrafi zdecydować. A czas płynie. Płynie! Dla kobiety zasię, pamiętajcie, płynie szybciej. Nie wydaje się wam moŃliwe, Ńe Złotowłosa straciła cierpliwość i doszła do tego samego wniosku, co my tutaj wszyscy? Ńe skoro bohater pieśni sam tego nie umie, ktoś powinien w końcu podjąć decyzję za niego? Powiedzmy, Ńe się postarała o odpowiednią przepowiednię, powiedzmy, Ńe zadbała, aby wieść o niej się rozniosła...

– Ptaszniczka teŃ juŃ o tej chędoŃonej przepowiedni wie, oczywiście?

– Tego jestem pewien, choć wprost nie zapytałem. Ale najgorsze jest w tym wszystkim właśnie to: jak wiele ona wie. Zna rzeczy, których nie ruszając się z zamku, w Ńaden normalny, ludzki sposób dowiedzieć by się nie mogła. Choćby o tym, Ńe druŃyna Everarda, daleko przekraczając liczebnością zwykły orszak, właśnie wyruszyła z jego siedziby i za jakieś dwa dni dotrze do Ruerhu. – Piwo zaczynało szumieć w głowie takŃe i Ńegostowi. Upił jeszcze łyk. – A jest jeszcze coś, co być moŃe, być moŃe, bo o to teŃ wprost nie pytałem, księŃnej pani jest wiadome. Ńe w tej akurat porze roku królewski dyplomata i rycerz Everard nie jest tu Ńadnym wyjątkiem, nie moŃe się wybierać nad wybrzeŃe, bo z obowiązku i z potrzeby winien uczestniczyć w dorocznych naboŃeństwach w Askiburionie. PrędeŃ by opuścił własny pogrzeb niŃ ceremonie, na których rozstrzyga się na cały rok kolejność w łaskach kancelarii. Szanowni nie byli jego słowami zdziwieni.

– Cóż, z dawna się o tym słyŃało. Te jej ptaki... Podobno hoduje je od dzieciństwa. Nie widziałem nigdy, mało kogo tam dopuszczała, ale ponoć w jej skrzydle zamku klatki zajmują całe komnaty.

– Tak jest w istocie – potwierdził Ńegost.

– Nie wiem, kto i kiedy, ale dawno juŃ rzucono, Ńe te ptaki szpiegują dla swej pani, co się dzieje w księstwie. Zamborg zawsze się z takich, co mu to mówili, śmiał. Ale jeśli rzeczywiście tak by się pokazało... To by było największe ze wszystkich naszych nieszczęść.

– W istocie, to bardzo słuszne stwierdzenie. ChociaŃ jeszcze, panowie szanowni, nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo słuszne. Jeśli Khielve naprawdę potrafi rozkazywać swoim ptakom i jeśli one potrafią dla niej zbierać wieści, jest to największe nieszczęście, jakie się temu księstwu mogło przytrafić. I nie dlatego, Ńe w takim razie wasze poświęcenie poszło na marne, bo Khielve i tak zna juŃ doskonale wszystkie czyny swego małŃonka. Nie dlatego, Ńe w takim razie będziemy musieli niebawem porozbijać sobie nawzajem głowy. To wszystko, szanowni, fraszka. Awantura, jakich w królestwie wiele.

Nie tego się obawiajmy.

Dolał sobie piwa, usadził się wygodniej i gestem zachęcił swych gości do tego samego. Sam złapał się, że Śywcem powtarza w ten sposób gestykulację szanownego Ingolda. Napijcie się, szanowni, rozsiądźcie się wygodnie i uważajcie, bo właśnie przechodzę do objawienia wam sedna całej sprawy, której swoimi szanownymi umysłami dotąd nie ogarnęliście.

– żeby skłonić ptaki do takiej słuŝby – zaczął – księżna musiała sięgnąć po wysoką magię. Wysoka magia, uważacie, szanowni, to nie ŝarty, to nie jakieś zamawiania wsiowych babin. To odwołanie się do potęg natury, do północnych Śywiołów, tych samych, które dają moc magom z najdalszych wysp. Na których, jak wiemy, spędziła Khielve dzieciństwo, wychowywana przez Shizzandra na jego współpraczkę, czy może następczynię. Przecież wam o tym mówiłem, Ingoldzie: od zamku w Ruerhu bije magiczna aura, którą człowiek znający te sprawy widzi równie jasno jak wy widzicie w nocy poświętę bijącą od próchna. Czułem tę magiczną aurę już z dala. A trzy dni temu byłem tam w samym środku, w komnatach księżnej. Każdy kamień wydaje się tam przesączony mocą. Więc nie mam wątpliwości. Czegokolwiek zdążył nauczyć Khielve Shizzander, ona z jego nauk korzysta. Latami tego unikała. Ale czas jakiś temu w strachu i wściekłości nie powstrzymała się. Czuje się osaczona: mąż i jego kochanka dybią na jej ŝycie, a ona nie ma wojska, nie ma na dworze popleczników, nie ma komu zaufać, nie ma po prostu nikogo ani niczego oprócz swych ptaków. To, czego pewnie uczył ją Shizzander, stało się jej jedynym atutem. Gdy Zamborg zaczął znikać z zamku, wymyślając coraz mniej wiarygodne preteksty, ona zaczęła sięgać po tę wiedzę.

Patrzył, jakie wrażenie wywierają jego słowa na szanownych. Ale ci siedzieli z kamiennymi twarzami.

– Mam wrażenie, panowie szanowni, że widzę po was pewien... Nie, nie strach, to się szanownym nie zdarza. Pewną obawę. Szczerze wam powiem, że obawa jest w tej sytuacji bardzo zasadna. Tylko czy dobrze wiecie, czego się obawiać? Przez uprzejmość nie mówiliście tutaj, co naprawdę sobie myśleliście. A myśleliście, nie mówcie nic, mości Ingoldzie, pozwólcie zgadnąć: myśleliście, że zbierzecie się za parę dni w większej kupie, będziecie mieli po swojej stronie księżną druŝynę, dołączą do was jeszcze zbrojni Belisenny, coś przeciwko takiej sile ja i parudziesięciu ledwie przyuczonych do walki ryboli? Raz, dwa zablokujecie przystań, obóz weźmiecie, tym razem mądrzej, atakując z góry, z klifu, warty w zamkowym skrzydle Khielve nie utrzymają się paru minut, a ona sama będzie musiała podpisać rozwodowe skrypty i udać się ze swoimi manatkami w dowolną stronę, wedle łaski księcia pana. Czy może raczej wedle łaski nowej księżnej pani. Jakaś błogosławiona zmiana! Ruerh wreszcie będzie miał księżną z prawdziwego

zdarzenia, powrócą huczne biesiady, turnieje, a głupi Zamborg, no cóż, najwyżej znowu się zamknie w komnacie, by poprześywać rozterkę, ale w końcu z tej komnaty będzie musiał wyjść i znów zacząć się zachowywać jak książe, którego własni poddani nie muszą się wstydzić!

Popatrzył w oczy Ingoldowi, nie wątpiąc, że odgadł doskonale.

– A tu się nagle okazuje, że nie tak łatwo. Ja, panowie szanowni, słów na wiatr nie rzucam. Jeśli mówię, że gdy dojdzie do najgorszego, poleje się krew, jak dawno już w tej krainie nie widziano, to wiem, co mówię. Przyjdzie wam walczyć z potęgą nieco większą niż sześć dziesiątek pieszych włóczników. Jest się czego obawiać.

W szalacie Segosta przez długą chwilę trwała cisza. Dało się w niej słyszeć oddalone wrzaski Brychy. W ciągu tych kilku dni młody dziesiątnik nauczył się już kląć i rugać jak stary wiarus.

– I cóż – rzekł wreszcie swobodnym, zgoła lekceważącym tonem Ingold. – Jak sami raczyliście zauważyć, obawa a strach to całkiem różne rzeczy. Co to, myślicie, że Zamborgowi rycerze tak już spsiali, że uciekną przed grozą jakichś tam cudów, które was mają wesprzeć w walce? Bez urazy, żołnierzu, dzisiejszy sukces chyba cię niełicho rozzuchwalił. Ale jeszcze nie widziałeś, co potrafimy naprawdę. Nie bądź taki pewien, że w polu poradzisz sobie równie łatwo jak w karczmie.

Segost rąbnął ze złością kubkiem o stół. Nie warto było tracić czasu, pić z szanownymi na pusty brzuch i strzepić gęby. Nic nie rozumieli.

– Nic nie rozumiecie, Ingoldzie, choć wszyscy was tu mają za najrozsądniejszego z szanownych! A wy nie wiecie tego właśnie, co najważniejsze dla człowieka, by wiedział, czego się trzeba bać! Myślicie, że was tu straszę, że za plecami moich ludzi księżna pani rozpuści jakieś magiczne stwory albo inne cuda... Ale skoro tak myślicie, to powiedzcie, po jakiego czorta was o tym uprzedzam? Toś gdyby nie mój długi ozór, całkiem byśmy was z onymi stworami zaskoczyli, a tak może zdołacie co wymyślić, przyzwać przez tych parę dni jakiegoś zaklinacza... No, zastanówcie się, po co wam to wszystko tłumaczyć? Jeśli pomyśleliście, że czując, jak krucho z moją sprawą, chce się na wszelki wypadek z wami zaprzyjaźnić, to mylicie się tak bardzo, jak tylko się człowiek może mylić.

– W każdym razie – rzekł szanowny Bejlik – potrafimy twą rycerskość docenić, żołnierzu...

– Śadna tam rycerskość! Rycerskość mam gdzieś, jestem cechowym najemnikiem, nie rycerzem. Ale najemnik jest po to, żeby dla swego suwerena wygrywał zbrojne starcia. A w tej awanturze, jaka się tu szykuje, wygrać nikt nie może. Ani ja, ani wy, ani księżę i śadna z jego bab. Bo cały problem wcale nie w tym, że księżna może się

posłuchać Shizzandrową magią, ale w tym właśnie, że się nią posłuchać nie może! Rozumiecie wreszcie?

Nie rozumieli. Ale tym razem musiał przyznać, że mieli prawo nie rozumieć.

– Czekać – westchnął ciężko. – Nie jest prosto powiedzieć, o co chodzi, choć rzecz, jak sami zaraz zobaczycie, jest właśnie prosta. Khielve, jak sądzę, będzie w stanie przyzwać moce, do których Shizzander uczył ją przed laty się odwoływać. Ale nie będzie w stanie nad nimi zapanować. Kiedy Zamborg zabierał ją z wysp, w tym punkcie wszystkie wersje opowieści są zgodne, tkwiła w odosobnieniu. A odosobnienie, szklana czy lodowa wieża, to wedle uczonych pierwszy etap kształcenia adepta. Jeśli ma się nauczyć skupiania swej woli do takiego stopnia, by wydawać rozkazy mocom natury, musi zostać odcięty od wszelkich wpływów, od wszystkiego poza tym, co mu wyznacza mistrz. Wyzwolenie się z zamknięcia o własnych siłach to pierwszy egzamin, pierwszy warunek zyskania władzy nad wysoką magią. Khielve nawet tego pierwszego stopnia nie zdążyła przejść. A potem przez wiele lat tych spraw nie tykała...

– Nie byłbym pewien, czy aby...

– Możecie być pewnym. I w zeszłym roku, i w poprzednich dostawaliście ze swej wioski dzierżawne bez żadnych kłopotów, nic ryby na zatoce nie płożyło. Księżna nie dlatego sięgnęła po magię, że się czuje w niej pewnie. Sięgnęła po nią ze strachu i desperacji. I magia dała jej nadzieję. Myślę, że doskonale sobie zdaje sprawę z ryzyka i własnej słabości. Ale wszystkie możliwe szkody, jakie z tego mogą wyniknąć, wydają się jej mniejsze niż groźba, którą czuje. Inaczej tego nie wytłumaczę. W każdym razie, jeśli dojdzie do walki, nie zawaha się rozpuścić mocy, których nikt już potem nie zamknie do worka i nie odeśle na najdalszą północ, dopóki same nie zechcą tam wrócić.

Nie chciało mu się już wspominać o śmiechu zabijanego maga i jego klątwie, o żadnej z tych spraw. Szanownym też się nie chciało.

– Do tych wyjaśnień, żołnierzu – podjął poważnym tonem Ingold – dorzuc w takim razie jeszcze jedno. Bo, rzeczywiście, nie wiemy, w jakim celu zaprosiłeś nas tutaj i ostrzegasz przed magicznymi zdolnościami swojej pani. Czyśbyś chciał nas namawiać na jakiś sposób uniknięcia nieszczęścia?

– Nie wiem, czy taki sposób jeszcze jest. Sprawy zaszły daleko, pani Khielve wie swoje i cokolwiek sobie zaplanowała, pewnie nie odstąpi. Belisenna też. A i ze strony Zamborga trudno liczyć na rozsądek. Ja winien jestem posłuszeństwo swoim rozkazom, wy swoim, dobrze to wszystko nie wygląda. Ale sądzę, że mamy obowiązek jakiegoś rozwiązania poszukać. A żeby o tym w ogóle myśleć, trzeba by wiedzieć lepiej, co księżna może przywołać z mroku. Tylko jeśli się zna okoliczności rzucenia klątwy, można marzyć o przeciwstawieniu się jej. Trzeba by, krótko mówiąc, poznać więcej

szczegółów o tym, co się naprawdę zdarzyło przed laty w zamku czarnoksiężnika.

– Cóż to za problem? Tyle o tym...

– Nie, nie, szanowni, nie udawajcie głupich. Powiedziałem: co się naprawdę tam zdarzyło. Z naciskiem na słowo „naprawdę”. Bajdurzenia pieśniarzy nie mają dla nas najmniejszego znaczenia. Wiem, że od was się tej prawdy nie dowiem. Szanowny Rejmus, jak sądzę, nigdy o swej tak sławnej walce z czarnoksiężnikiem nie opowiadał, choć okazji przecież nie brakowało.

– Nie opowiadał. I nie opowie. Ślubowali wszyscy, razem z księciem. Już nie pamiętam, jaki tam kapłani wymyślili powód tych ślubów. Ale nie spodziewajcie się...

Śegost wstał, odstawił kubek i stanął u wyjścia z szałasów. Przez długą chwilę przyglądał się plaży, na której w pewnym oddaleniu pocili się jego żołnierze.

– Mam sporo pracy – powiedział, nie licząc, że goście sami wyrażą gotowość zostawienia go w spokoju. – Muszę ich dobrze nauczyć, jak szlachtować szanownych włóczęgami, a przy tym w miarę możliwości znaleźć ocalenie w rozrzuconym żywiole. A czasu mało. Mimo wszystko raz jeszcze nie wytrzymał.

– Nikt mi nie może zarzucić, że nie jestem człowiekiem cierpliwym – powiedział, gdy podeszli z poświeceniem. – Nie chowam uraz. Gdzieś mam, co sobie o mnie myśli jakiś szanowny. Ale spróbujcie wytłumaczyć waszemu druhowi, że sprawa jest zbyt poważna, by się zasnawać ślubami. Jeśli jest sposób, żeby uniknąć tu jatki, to ten sposób mogę wam wskazać tylko ja. Ale do tego niezbędna mi wiedza, którą ma tylko Rejmus, i może, jeśli gdzieś są w pobliżu, inni, którzy tam wtedy z nim i Zamborgiem byli. Przemówcie do rozumu...

– Mogę wam obiecać, że będę próbował – zapewnił Ingold. – Ale nie liczcie na wiele.

Uścisnęli sobie ręce w pełnej powagi ciszy, zakłócanej tylko jednostajnym szumem morza i strzypami komend niesionymi wiatrem z placu ćwiczeń.

Rozdział 5

Wieczorem, gdy ruszyli do Ruerhu ze zmianą warty, słońce zachodziło w czerwonej poświacie. Nikt tego nie powiedział na głos, bojąc się złej wróŝby, ale z płynącej wzdłuŝ półwyspu łodzi zamek wyglądał tak, jakby u podnóŝa wylewał się z niego strumień posoki i ciekł po falach, krwawiąc horyzont. Morze było spokojne, jak się to jeszcze od przybycia Śegosta nie zdarzyło. Powietrzem nie poruszał nawet najlŝejszy powiew. Łódź ze zbrojnymi szła tylko pracą wiosł. Szła lekko, bo jego ŝołnierze wiosłowali mocno i równo, nie potrzebując do tego komendy. To dlatego właŝnie, rozumiał Śegost, tak szybko udało mu się zaprowadzić w swej rocie niezgorszy ład i wyćwiczyć ŝołnierzy do obrotów szyku – rybacy byli innym zupełnie rekrutem niŝ chłopi z głębi ładu. W przeciwieŝstwie do prac w polu ich robota stale wymagała zbiorowego wysiłku – z siecią, linami kotwicznymi czy kołowrotem nikt by sobie bez sprawnej i równo wykonywanej komendy nie poradził. Więć i bojową musztrę, wszystkie jej zwroty oraz złoŝenia, przyjęli jako coś znanego i naturalnego.

Ale teraz Śegost nie myślał o swoich podwładnych, choć przez ostatnie dni to właŝnie oni najczęściej zajmowali jego uwagę. Teraz, jak za kaŝdym razem, kiedy łódź zbliŝała się do warowni, wsłuchiwał się uwaŝnie w siebie, w ten charakterystyczny niepokój, którym jego dodatkowy zmysł ostrzegał przed złą mocą.

Przypominało to niemoŝliwy do usłyszenia dŝwięk, wprawiający w drŝenie jakąś strunę biegnącą tuŝ koło grzbietu. Czasem tak słaby, ŝe ledwie wyczuwalny. Czasem silniejszy. Tego dnia odezwał się juŝ z daleka. Śegost nie czuł aury równie mocno, od kiedy płynąc łodzią z Dejwasem, uŝwiadomił sobie jej istnienie po raz pierwszy.

Więć to, co miał zrobić, musiał zrobić dzisiaj, dotarło do niego. Nie moŝna było dłuŝej zwlekać, czas kończył się nieubłaganie. Mimo ŝe nie mógł być pewien powodzenia, nie bał się wcale. Przeczucie mówiło mu, ŝe wyjdzie z tego cało i ŝe wszystko się skończy dobrze. Przeczucia nie zawsze mu się sprawdzały. Ale zawsze w nie wierzył, bo w trudnych momentach bardzo dodawało to otuchy.

Łódź dopłynęła do okalającej zamkową przystań piaszczystej łachy, będącej zarazem jej pierwszą, naturalną obroną. Wiosła, poza ostatnią parą, poszły w górę – przejŝcie meandrowało w piachu, trzeba było znajdować je, macając z dziobu długą tyką. Ale nigdy nie zanikało, co dla Śegosta stanowiło oczywisty dowód, ŝe istnieje jakaŝ dziwna cyrkulacja łącząca wody otwartego morza z podziemnym jeziorem pod zamkiem. Powinien kiedyŝ porozmawiać o tym z Dejwasem. Nie było czasu.

Na pokładzie panowało milczenie mające w sobie coś magicznego. Rybak na dziobie sam wiedział, co ma zrobić, i sam, gdy minęli łachę, wyjął tykę z wody i starannie ułoŝył

ją na dnie łodzi, po czym zajął swe miejsce. Jego kompani podjęli pracę wiosłami. Dziób zugu wycelował teraz w wąski przesmyk w zewnętrznym falochronie. Ponad górną krawędzią murów piętrzyła się szara kamienna skała. Od tej strony, z bliska, warownia budziła duŝo większy respekt niŝ oglądana z Łososiowej Skały, choć na podziw zasługiwała nie tyle praca ludzka, co potęga przyrody, która tak wyciosała kraniec półwyspu, czyniąc zeń jakby wzniesioną wysoko nad morzem ostrogę. Ludzie obudowali ją tylko i zwieńczyli basztą.

Przeptywali teraz pomiędzy kamiennymi orłami strzegącymi wejścia do przystani. Tuŝ przed nimi, w cieniu oporowego muru, czekała przyczajona łódź ksiąŝcej druŝyny. Mniejsza od rybackich zugów, nie mówiąc juŝ o kupieckich krypach, z trudem mieściła na pokładzie dziesiątek wojów. Ale teŝ tyle wystarczało, bo słuŝyła druŝynie tylko do opatrywania z morza murów, miasta i wejścia do głównego portu.

Duŝe łodzie bojowe, choć bez wątpienia to dla nich twórcy warowni przeznaczyli ten wewnętrzny, skryty w murach port, nie mogły z niego korzystać z uwagi na prądy morskie, stale zamulające wejście. Być moŝe prądy te pojawiły się juŝ po ukończeniu budowy, ale ŝegost sądził raczej, ŝe architekci, pochodzący z królestwa, z głębi lądu, po prostu nie zdawali sobie z ich istnienia sprawy. Tak czy owak, natura morza sprawiła, ŝe trud budowy zamkowego portu poszedł na marne. Bojowe łodzie ksiąŝcej druŝyny bądź stały w mieście, przy nabrzeŝu kupieckim, bądź wyciągane były na pobliski brzeg, co teŝ sprawiało, ŝe tam właśnie urządzono ostatecznie wartownię Zamborgowej straŝy. Księżna wykorzystwała tę okoliczność, nakazując komesowi przekazanie swojej nowo sformowanej gwardii całego portu oraz przylegających pomieszczeń. Ten, oczywiście, rozkazowi nie odmówił, ale teŝ go, jak na razie, nie wykonał, twierdząc, ŝe przekazanie portowych koszar nie jest moŝliwe bez odpowiednich, wymaganych prawem i regulaminami inspekcji. ŝegostowi jego opór był w gruncie rzeczy na rękę, ale dlatego właśnie starał się Zorda utwierdzić w przekonaniu, ŝe bardzo utrudnia mu organizację osobistej gwardii księżnej. Stąd teŝ codziennie zjawiał się w komendanturze, a przynajmniej posyłał tam przynaglające pismo, choć nie było trudno zgadnąć, ŝe komes będzie zwlekać tak długo, aŝ otrzyma jasne polecenia od księcia.

Wszystko wskazywało, ŝe ich jeszcze nie dostał. Nikt zresztą od dłuŝszego juŝ czasu nie był w stanie od księcia uzyskać ŝadnych decyzji. Przyboczni i niŝsi rangą rękodajni nieodmiennie odpowiadali, ŝe Zamborg nie ma ŝyczenia zajmować się w tej chwili ŝadnymi sprawami ani nikogo oglądać. Gdyby wartownicy nie widywali z daleka, zwłaszcza nocą, jak ksiąŝę przechadza się po naleŝącym do jego komnat tarasie u szczytu wieŝy, moŝna by sądzić, ŝe w ogóle opuścił zamek.

Ponoć nie było to niczym nowym. Obyci na dworze ludzie mawiali, ŝe juŝ od lat

zdarzały się Zamborgowi dni, czasem nawet tygodnie, gdy znikał z oczu podwładnych. Gorzej zorientowani twierdzili, że spędzał ten czas przy Sonie. Lepiej – że zamknięty w swych pokojach pił wino i rozmyślał o niewiadomych sprawach, nie cierpiąc przy sobie nikogo. Wyjątek czynić miał tylko dla wędrownych bardów, jeśli który odwiedził akurat stolicę Berghu. Ale od dawna bardowie do Ruerhu nie przyjeżdżali. Innego rodzaju goście, prócz tych, którzy mieli w podróży interes, też zresztą czynili to coraz rzadziej.

Łodzie miały się w odległości paru kroków. Drużynicy nie próbowali nawet ukrywać wrogości, choć manifestowali ją w całkowitym milczeniu. Stali z bronią gotową do użycia. Wystarczyłaby jedna komenda, kilka ruchów wiosł i rzuciliby się na żołnierzy śegosta. Ci wiedzieli o tym, dlatego powstali i nastawiając groźnie broń, zaparli o deski półpokładu, oczekiwali ataku w gotowości jego odparcia. Znowu pracowała tylko ostatnia para wiosł. Śegost starał się nie okazywać jakiegokolwiek zainteresowania łodzią drużynników. Wiedział, że zaraz oderwie się ona od muru i zawinie do portu. I że wróci za jakiś czas oczekiwać kolejnej zmiany. To był codzienny rytuał, śegost nie bardzo rozumiał, na co właściwie obliczony – jeśli na zastraszenie rybaków, pokazanie im, że są tu tylko dla kaprysu Khielve i wkrótce zostaną z zamkowych pomieszczeń usunięci siłą, to dowódcy drużyny osiągnęli efekt odwrotny do zamierzonego. Żołnierze gwardii księżnej pani, i bez tego gotowi skoczyć dla niej w ogień, coraz śmielej mówili między sobą, że ich władczyni dzieje się w tym zamczysku jakaś krzywda, że szlachetnie urodzeni paniczykowie z księżnej drużyny mają w tej krzywdzie jakiś udział i że dobrze będzie, kiedy przyjdzie pora wygarbować im za to solidnie grzbiety. Do czego czuli się zupełnie przygotowani, tym lepiej, im bardziej od ciągłych ćwiczeń z bronią bolały ich mięśnie i im więcej mieli na dłoniach pęcherzy.

Rybakom nie była obca duma. Śegost pamiętał, jakim tonem poprawił go przy pierwszym spotkaniu Dejwas, gdy mimowolnie nazwał starszego maszoperii „szanownym”. Jednolity mundur i broń w kilka dni dumę tę spotęgowały, dyktując zachowania, które wcześniej nie przysłyby rybakom do głowy. Takie jak to, że dopływając do samego wejścia portu, jednocześnie, jak na komendę, choć śegost nadal śadnego rozkazu nie podawał, podnieśli włącznie na spocznij, zwracając się twarzami ku dziobowi łodzi.

Rytuał został dopełniony. Łódź podeszła do nabrzeża, żołnierze sprawnie zebrali się na brzegu i poza dwójką pozostawioną na straży ruszyli za śegostem stromymi schodami. Stanowiły one jedyne przejście z portu do pomieszczeń zamku, łatwe do zamknięcia przed przeważającym atakiem nawet przez kilku zbrojnych. Wąskie stopnie

szy początkowo po skale, potem wgrzyzały się w nią równie wąskim korytarzem, tylko na zakrętach rozszerzającym się w nieco obszerniejsze komory, zawsze ukształtowane tak, aby ewentualni obrońcy, chroniąc się za załomem muru, mieli napastnika wystawionego na cios z prawej ręki, atakujący zaś musiał odcinać się w lewo. Trzeba było długiej wspinaczki, by wreszcie znaleźli się w wartowni przylegającej do zamkowego skrzydła zajmowanego przez księżnę.

Rozpoczęło się przejmowanie warty, pierwsza dziesiątka poszła luzować posterunki. Śegost, jak robił to już od kilku dni, pozostawił dowodzenie dziesiątnikom. Sam towarzyszył żołnierzom w milczeniu, obserwując. Nie dawał po sobie poznać, czy jest zadowolony z tego, co widzi, czy nie. Gdy dostrzegwał jakieś uchybienie, wołał o nim powiedzieć sprawcy na osobności. Przekonanie rybaków, że są już zupełnie sprawnym wojskiem księżnej pani było bezpodstawne, ale ważne, rozsądek dowódcy nakazywał go bez potrzeby nie podważać.

Tak jak cały zamek, komnaty pani Khielve nie były rozległe. Ciąg pomieszczeń zaczynał się od wąskiej, dającej się z obu stron zamknąć na solidne rygle furty, którą wychodziło się z wartowni, a kończył ślełą ścianą – cały korytarz, złamany dwukrotnie, liczył sobie kilkadziesiąt kroków. Z dołu głównymi schodami wychodziło się mniej więcej w połowie jego długości. Były jeszcze drugie schody, blisko wyjścia z wartowni, prowadzące na niższe piętro, gdzie mieszkała słuźba. Załamania korytarza obmyślono tak, by część dostępną słuźbie łatwo było zamknąć jednym posterunkiem i oddzielić od pańskich pokoi. W ogóle w całym zamku, jak zdołał to już Śegost sprawdzić, przejść było mało i łatwych do obrony. Budowniczo wie niewiele dbali o wygodę mieszkańców, interesowała ich przede wszystkim obronność warowni. Niżej położone komnaty miały tylko wąskie okna, umieszczone w wykuszach niczym stanowiska dla łuczników, w wielu pomieszczeniach przez całe dnie zalegał półmrok. Pokoje księżnej pary były bardziej przestronne, okna dawały obfitość światła, tu i ówdzie wprost z komnat wychodziło się na odsłonięty taras. Skrzydło pilnowane teraz przez żołnierzy Śegosta było najbardziej z całego zamku nasłonecznione i bodaj to właśnie stanowiło przyczynę, dla której zostało przeznaczone pani Khielve, jeszcze przez ojca Zamborga.

Wartownicy nie mieli prawa wchodzić do komnat księżnej. Nie wolno im też było nikogo do nich przepuścić oprócz kilku osób ze słuźby, wskazanych im zawczasu i znanych po imieniu. W wypadku gdyby przez korytarz usiłował przedostać się ktokolwiek inny, musieli wzywać dowódcę; tylko on mógł naruszyć spokój księżnej, wchodząc do przedsionka jej pokojów i prosząc stamtąd o decyzję. Gdyby intruz nie podporządkowywał się rozkazom warty, wartownicy mieli obowiązek zadać w alarmowe gwizdki, wzywając w ten sposób towarzyszy. I, oczywiście, powstrzymać go za wszelką

cenę.

– Tylko niech mi który nie zrozumie, że ma obowiązek paść tutaj trupem – tłumaczył kilka dni wcześniej rekrutom ich nowe obowiązki Śegost. – To tamten ma zostać zabity. Kimkolwiek by był.

– Dla nikogo nie czynić wyjątku? – zapytał Gaca.

– Dla nikogo.

– A jeśli...

– Nikt poza już wam znanymi nie może tędy przejść bez zgody jaśnie pani – powtórzył, widząc niepewność na twarzach. – I pókiście tu, nikt poza dowódcą warty, choćby sam księżę, nie może wam wydać śadnego rozkazu. Jeśli tu przyjdzie, wzywacie dowódcę, on puka do pokojów pani i pyta, co robić dalej. Taka jest jej wola i ona dla nas rozstrzyga.

Teraz wartownicy o nic już nie pytali. Milczeli i było w tym milczeniu coś dodatkowo podkreślającego wyjątkowość wieczoru. Krwawy zachód słońca, cisza morska i jeszcze to milczenie ludzi, przez nikogo nienakazane – nie chciało się wierzyć, że rano po tej nocy będzie wyglądał tak samo jak wszystkie poprzednie.

Być może w powagę i oniemienie wprawiło rybaków jakieś przecucie, a być może widok twarzy Śegosta – mimo jego starań pobladłej i naznaczonej kropelkami potu. Tutaj, tuż obok komnat księżnej, bijącą z nich tajemniczą siłą było mu trudno wytrzymać jak nigdy.

Co mogło się tam dziać? Zza drzwi dobiegał tylko normalny o tej godzinie, zacichający z wolna rejwach ptasich głosów. Przypomniał sobie księżnę obchodzącą swoje wypełnione klatkami królestwo. Błądą, o zaciętych ustach i smutnych oczach, zawsze dumnie wyprostowaną. Spoglądała na swą ptasią armię podobnie jak na Śegosta, choć z nieopisanie większą sympatią.

Od tego czasu widział Khielve wszystkiego dwa razy, w obu wypadkach przez chwilę, w przedśionku, do którego wyszła udzielić mu niezbędnych instrukcji, wysłuchać sprawozdania o obstrukcjach czynionych przez komeś i wręczyć podpisane listy z poleceniami do niższych urzędników. Usiłował się domyślić, na czym spędza księżna całe dni, ale nie było niczego, o co takie myśli mogłyby się zaczepić. Dopuszczani do komnat służy wyrażnie podzielali powszechne w zamku przekonanie, że jaśnie pani wie wszystko o każdym i za najdrobniejszą niedyskrecję zemści się bezlitośnie. Nie sposób się było od nich dowiedzieć wiele więcej ponad to, co ogólnie wiadano – że Khielve zawsze opuszczała swe ptaki i klejnoty niechętnie, a ostatnio nie czyniła tego całymi miesiącami. Pojawienie się na rozprawie Śegosta było jedynym wyjątkiem.

Mimo wszystko nie chciał opuszczać korytarza zbyt wcześnie, nie upewniwszy się,

Śe wszystko jest w porządku. Dopiero gdy wartownicy zamienili się miejscami i alarmowymi gwizdkami, gdy schodząca zmiana uformowała się już do odejścia, odwołał na stronę Brychę.

– Nie śpij tej nocy – powiedział do dziesiętnika. – Miej uszy i oczy otwarte. Gdyby na was uderzono, wolno wam wejść do komnat, Śeby zabrać panią i przebić się z nią do warowni. Jeśli się nie da, barykadujcie drzwi i uciekajcie tarasem. Ale nie schodźcie do portu, ściągnij wszystkich do środkowej części korytarza, tam, gdzie jest on draŝony w litej skale. Tam się brońcie i czekajcie na resztę roty. MoŚe teŚ się zdarzyć... – Sam nie wiedział, co właściwie moŚe się jeszcze zdarzyć. – MoŚe się zdarzyć coś, czego nie da się wziąć na ludzki rozum. Cokolwiek będzie, nie naraŚaj bez potrzeby ludzi. Trzymajcie się środkowej części korytarza, dopóki nie dotrę z odsieczą i nie wydam innych poleceń.

Brycha potwierdził przyjęcie rozkazów krótkim „tak”, wrócił do zluźnianych wartowników i poprowadził ich na odpoczynek.

Śegost stał jeszcze przez chwilę, spoglądając za odchodzącymi, potem zlustrował wzrokiem ich znieruchomiałych na posterunkach zmienników, wreszcie, odwróciwszy się, ruszył zamkowymi schodami w dół. Z kaŝdym krokiem z coraz większą ulgą.

Poza jedną sprawą nie miał sprecyzowanych planów. Wszystkie swe nadzieje opierał na błędzie popełnionym niegdyś przez budowniczych zamku, którzy na tutejszej skale dość dokładnie skopiowali warownie stawiane od pokoleń nad maronarskimi jeziorami, nie zdając sobie sprawy, Śe prądy i dno pracują zupełnie inaczej na morzu niŚ tam. Gdyby ludzie komesa, uderzając od zamkowych pokoi, mogli zamknąć jednocześnie port, sprawa byłaby znacznie trudniejsza. Ale druŚyna, sprawdził to, miała tylko jedną łódź na tyle małą, by mogła wejść do zamulonego portu. To oznaczało atak najwyŚej jedną dziesiątką. Mogli, oczywiście, ufając swej sprawności w robieniu bronią, uznać, Śe tylu ich do zamknięcia nabrzeŝa wystarczy. Śegost na to liczył. Gdyby miał po przeciwnej stronie rozwaŝnego przeciwnika, tamten po prostu ściągnąłby z którejkolwiek wioski kilka rybackich zugów, które prześlizgiwały się między łachami dość sprawnie. Dlatego Śegost, korzystając z pomocy maszoperii, codziennie zbierał z całej okolicy wieści; nikt się rybackimi łodziami nie interesował. Znaczyło to, Śe albo Śadna napaść na księŝną nie jest szykowana, albo napastnicy uwaŚają za wystarczające zaatakować w samym zamku. Ale znali przecieŚ ten zamek dobrze i nie mogli nie wiedzieć, Śe z racji samej jego budowy ledwie kilku zbrojnych zdolnych jest na wyŚszych piętrach powstrzymać długo atak znacznie liczniejszego oddziału.

Mogli teŚ nie atakować portu. Mogli postawić w dryf ze dwie, trzy duŚe bojowe łodzie poza granicą piaszczystych łach. Wtedy ludzie Śegosta ani nie będą zdolni ujść, ani się obronić. Chyba Śe los ześle bardzo sprzyjający wiatr, a rybacy okaŚą się mistrzami

w manewrowaniu Śaglem. Nie liczył na Śadną z tych możliwości. Liczył na zadufanie przeciwnika i jego niedbałość. Na to, Śe nie spróbuje on wyciągnąć wniosków z pozostawienia przez Śegosta najznacniejszych sił na brzegu, widząc w tym jedynie skuteczność poczynań komesa. I w związku z tym nie zablokuje drogi ucieczki.

Bo nie było się co łudzić i Śegost powiedział to księŚnej od razu: przez kilka najbliższych miesięcy jedyne, czego w razie starcia z ksiąŚcymi siłami może się podjąć, to otwarcie dla mocodawczyni drogi ucieczki. Z zamkowych komnat przechodem do wartowni i portu, a stamtąd, jeśli szczęście dopisze, z garstką ludzi gdzieś dalej, najlepiej na tradycyjnie uważaną za ziemię azylu Wieszczą Górę, pod opiekę Śerców, podczas gdy on ze swą rotą będą starali się jak najdłużej bronić nadmorskiego obozu i utrzymać wszystkich w przekonaniu, Śe księŚna pani jest z nimi.

Khielve nie odpowiedziała, gdy przedstawiał jej ten plan. Mierzyła go tym swoim wzrokiem, w którym wszyscy widzieli tylko wyniosłość i pogardę, a w którym on dostrzegał głównie gniew. Nie skinęła głową, nie dała w Śaden sposób znać, Śe zamierza uciekać. Może chce za wszelką cenę zostać w zamku? Liczy na coś bardziej niż na włócznie swych gwardzistów? Na potęgę wysokiej magii czy na jakąś przez nikogo niespodziewaną pomoc? Może tu właśnie jest najsłabszy punkt Śegostowych zamierzeń – w decydującym momencie księŚna odmówi ucieczki, a on przecież w Śaden sposób jej do tego nie zmusi?

A jeśli księŚna posłucha go – czy zdoła wywiązać się z obowiązków wobec niej? Co tak naprawdę zamierza przeciwnik? I kto właściwie jest przeciwnikiem? Komes? Wydawał mu się pozbawiony chytryści i talentów dowódcy, raczej dworak i intrygant niż Śołnierz. Jeszcze mniej nadawał się do tego tytułarny dowódca druŚyny, którego widział w dynkhausie, w istocie bardziej jej wychowawca niż komendant. Rejmus? A może ksiąŚę? Wszystko w Śegoście burzyło się przeciwko myśli, Śe ksiąŚę krwi może w takich chwilach zamknąć się w komnatach, jak dziecko, które za wiele narozrabiało i zaszywa się w kącie stodoły, by nie dostać w skórę. Instynktownie podejrzewał Śegost, Śe to tylko pozór, Śe w istocie Zamborg musiał uknuć jakiś przemyślny plan i ukrył się przed oczami poddanych i Khielve po to, aby go zawczasu nie przejrzano.

Miał dość tych rozważań, nurtujących go zawsze, kiedy tylko ustawał codzienny kołowrót doglądania ćwiczeń, słuŚby, kwater i Śołdu. Szybkim krokiem zszedł aż na mały ganek zamku. Poza komnatami księŚnej warownia nie była zbyt pilnie strzeŚona i dopiero tu, na samym dole, musiał minąć ksiąŚęcą wartę. Jej członkowie, bardziej dozorczy niż straŚnicy, nie spytali go o nic. On takŚe nie odezwał się do wartowników. Tutaj zamek Śył. Ludzie podąŚali za swoimi sprawami, mijali się w ciasnych przejściach, na drewnianym bruku dziedzińca turkotały koła jakiegoś wozu, kruŚganki wypełniał

gwar, od kuchennych schodów niosły się czyjeś przekleństwa.

Śegost odetchnął pełną piersią.

Minął otwartą jeszcze o tej porze bramę cytadeli i ruszył wąską uliczką w dół, w stronę miejskiego rynku i „dziadka”, z którym tak niedawno omal nie zawarł bliższej znajomości. „Dziadek” musiał być w Śyciu mieszkańców Ruerhu ważną postacią, skoro dał nazwę takŜe największemu, a w kaŜdym razie najchętniej odwiedzanemu przez zamkową słuŜbę i straŜników szynkowi. Karczma mieściła się niedaleko miejsca kaźni i choć na szyldzie wyobraŜoną miała nieudolnie wyrzeźbioną w drewnie obciętą głowę, mówiono nań po prostu „Pod Dziadkiem”.

Ani ten szynk, ani portowa tawerna, dla odmiany uczęszczana głównie przez kupców, nie przypominały wiejskiej gospody w Trychnie. Albo raczej – to właśnie tamta gospoda nie przypominała normalnych miejskich karczem, w jakich zwykle gościł Śegost w swoich podróŜach. Do normalnego szynku zachodziło się nie za dnia, a wieczorem, i nie po to, by jeść, ale przede wszystkim, by przepłukać gardło i wymienić przy tym nowiny, plotki i uwagi na wszelkie moŜliwe tematy. Do takiego przybytku zachodziło się po to, by zagrać w kości, spotkać przyjaciół. A czasem po to, Őeby zostać zauwaŜonym.

Właśnie to ostatnie było przyczyną, dla której tego wieczoru Śegost postanowił pojawić się „Pod Dziadkiem”. Chciał, Őeby zobaczono, jak tu przychodzi. I bardziej jeszcze, Őeby zobaczono, jak będzie wychodzić późną nocą, wlokąc pijanego Lagę. Co do tego, Őe Laga się upije i trzeba go będzie wlec, nie miał wątpliwości. Jak równieŜ co do tego, Őe za równie pijanego zostanie uznany on sam.

Zszedł po schodach do wysoko sklepionej piwnicy, w której mieścił się szynk, i zatrzymał się na progu, czekając, aŜ oczy przyzwyczają się do półmroku.

Po raz drugi, odkąd opuścił zamkowe posterunki, odetchnął głęboko, choć powietrze w piwnicy nie było wcale rzeŝkie. Ale w radosnym rozgwarze nie czuło się Őadnego napięcia. Wręcz trudno było uwierzyć, Őe szynk mieści się w tym samym Őwiecie, w którym słońce zaszło właśnie tak, jakby tonęło w kałuŜy krwi, a dziesiątki uzbrojonych męŐczyzn w zaciętym milczeniu straszą się nawzajem bronią, gotowe zaraz rzucić się do walki, mimo Őe Őaden z nich nie umiałyby powiedzieć, o co właściwie.

Z rozkoszą upiłby się tu naprawdę, razem z Lagą czy bez niego. Nie mógł sobie na to pozwolić. Ale mógł usiaść, przepłukać gardło piwem, odpocząć i porozmawiać o niczym. Nawet musiał, jeśli miał zostać zauwaŜony.

Przez tę chwilę, którą dał swym oczom, rozgwar nieco przycichł. Trudno się było dziwić, wiązało się z Śegostem wystarczająco wiele niecodziennych zdarzeń, aby w sennej prowincjonalnej stolicy uczynić wędrownego Őołnierza obiektem powszechnego

zainteresowania. Udając, że nie dostrzega, jak pijący pokazują go sobie nawzajem, ruszył ku grupie gości skupionej wokół jednego z wielkich stołów. Podeszedł do siedzącego tam strażnika i pochylając się, mocno ścisnął go za ramię.

– Czołem, Łątka – zagadnął, jakby byli starymi przyjaciółmi, choć widział strażnika po raz pierwszy od nocy spędzonej w lochu, a wtedy widział go po raz pierwszy w ogóle.

Łątka wyszczerzył radośnie zęby.

– Witam, kapitanie! Siadajże, siadaj z nami. – Sąsiedzi błyskawicznie zwolnili miejsce na ławie, ale Śegost odmówił gestem.

– Nie dzisiaj, Łątka. Ale będę pamiętał, jak mi trochę ulży ze służbą. Dzisiaj jestem ze sprawą, nie mogę. Nie widziałeś naszego profosa?

– Chyba siedzi tam, w małej sali.

Raz jeszcze klepnął Łatkę w ramię, skinął głową reszcie towarzystwa, chwytając spojrzenia siedzących przy stole młodych kobiet, po czym odwrócił się i ruszył w stronę małej sali.

Nie potrzebował Łatki, by się dowiedzieć, gdzie czeka na niego Lagrewin. Chciał się z nim przywitać głównie z powodu owych kobiet przy stole i innych, które o wyróżnieniu prostego strażnika przez kapitana gwardii księżnej pani dowiedzą się od obecnych tego wieczoru w szynku. Na ile Śegost znał kobiety, Łątka w jednej chwili zyskał w ich oczach. W oczach przyjaciół zresztą też. I o to Śegostowi chodziło. Ten człowiek dał mu wody, kiedy cierpiał po pijaństwie, i nie pozwolił szarpać ani popędzać. Za ludzkie odruchy trzeba się w miarę możliwości odwdzięczać.

Laga czekał za małym stołem schowanym w wykuszu grubego muru. Nie przypominał tego obrzygacza, jakim widział go Śegost ostatni raz w służbowej kanciapie – poderwał się zza stołu wesolutki, rozochocony, wołając od razu o kolejną butelkę, bo tę, która stała pośród pustych kubków na stole, najwyraźniej mocno już napoczął.

Śegost pokręcił przecząco głową.

– Tylko piwo, Laga. Sprawy mam.

– Daj spokój, Inre, no przecieś jednego...

Niedługo po północy dotarli z Lagą do służbówek straży na pierwszym piętrze. Właściwie dotarł Śegost, a Laga został tam przezeń doniesiony. Ciągnięty za przerzucone przez plecy ramię, z głową opartą na plecach Śegosta, nie przestawał opowiadać – o tym, gdzie pętał się po zwolnieniu z gwardii, o przepitych pieniądzach, zmarnowanych okazjach, a najwięcej o kobiecie, z którą został, uznawszy, że lepsza mu się nie trafi, a teraz, ilekroć się upił, uciekał przed nią do tej służbówki.

Nie oczekiwał od Śegosta odpowiedzi, więc ten milczał. Od czasu do czasu Laga,

jakby sobie przypominał, zmieniał temat i zaczynał wypytywać przyjaciela, jak to właściwie z nim jest i ile było prawdy w koszarowych plotkach. Na to Śegost takŜe nic nie mówił. Ladze wydawało się to nie przeszkadzać. To on chciał tego wieczoru mówić.

Ale zanim doszli stromymi schodami na górę, głos Lagrewina stopniowo cichł, aŜ zmienił się w trudno zrozumiały bełkot. W końcu Śegost mógł z ulgą rzucić kompana na barłóg.

– W ptaka się zmienia – zabelkotał Laga. To był jeszcze jeden wątek ich rozmowy. Niezliczone szeptane wśród zamkowych słuŝących plotki o Ptaszniczce, o jej znikaniu z komnat w księŜycowe noce i o karczemnych awanturach urządzanych Zamborgowi, awanturach, których odgłosy miały jakoby być dla słuŝby słyszalne mimo grubości murów. – Tak gadają. W wielkiego czarnego ptaka...

– Śpij, Laga.

Śegost zapał drzwi kanciapy od środka, potem otworzył wąskie okno. Odetchnął głęboko morskim powietrzem. Było parne i nie przyniosło ulgi. Zdmuchnął lampę, potem przysiadł na zydlu, Őeby się skupić i upewnić, Őe Laga zasnął juŜ mocno. W końcu wstał, zrzucił kaftan, swój krótki szponton w pokrowcu przewiesił na rzemieniu przez plecy i odstawwszy zydel pod okno, zaczął na pozostałym mu kawałku podłogi wykonywać energiczne skłony i przysiady. Długo biegał w miejscu, potem wymachiwał rękami – ktoś, kto mógłby go teraz obserwować, uznałby na pewno, Őe zwariował, ale Śegost robił swoje, nie zwracając na nic uwagi.

Wreszcie, gdy poczuł juŜ roszący czoło pot i ciepło we wszystkich mięśniach, wspiął się do okna i zaczął przez nie przeciskać. Nie szło łatwo, zwłaszcza Őe po drugiej stronie oparciem dla stopy mógł być tylko wąski na jedną cegłę gzyms, który właśnie na wysokości słuŝbówek ciągnął się w poprzek całej ściany, dla ozdoby albo przez niedbalstwo budowniczych, ale w kaŜdym razie bardzo dla zamierzeń Śegosta szczęśliwie.

Stanął wreszcie obydwoma stopami, dziś obutymi tylko w miękkie skórznie, na ceglanym występie i zaczął się ostroŝnie przesuwać w bok. Po kilkudziesięciu krokach trafił na nadkruszony przez słońce i wiatr naroŝnik, gdzie w lukach po wypadłej zaprawie łatwiej było znajdować oparcie dla stóp i chwyt dla rąk.

Oglądał wcześniej trasę zaplanowanej wspinaczki wielokrotnie, za kaŜdym razem, gdy z kolejną zmianą wart opływał zamek. Ale z daleka nie wszystko dało się zobaczyć – wiedział tylko, Őe ten fragment muru daje szansę przejścia. Nie mógł wiedzieć, czy daje pewność. Uczył się wspinaczki w trudniejszych warunkach, na górskich skałach, pozbawionych tej przewidywalności, jaka cechowała zbudowany przez ludzi obronny mur z przyporami – ale uczył się jej juŜ dawno i od wielu lat nie miał moŝliwości

nabytych wtedy umiejętności sprawdzić.

Wybrał narośnik, bo wspinanie się po nim miało takŜe ten plus, Őe zmniejszało szansę, aby wypatrzył go któryś ze straŝników. Choć, oczywiście, mogło się i tak przydarzyć.

Mogło się teŜ przydarzyć, Őe w którymś miejscu nie znajdzie juŜ odpowiednich uchwytów i ugrzeźnie na ścianie, nie mogąc ani iść dalej w górę, ani wracać.

Mogło się zdarzyć, Őe jakaś cegła ukruszy się pod jego palcami albo czubkiem buta, pozbawiając go oparcia, i Őe runie jak kamień w dół, na skalisty brzeg u stóp warowni.

Ale Őadna z tych rzeczy się nie zdarzyła. Szczęście dopisało, wspinaczka poszła gładko – znalazłszy się na wysokości najwyższego piętra, tam gdzie mieściły się komnaty ksiąŜcej pary, mógł przysiąc na szerokim gzymisie i odpocząć.

Dalej było łatwo: przebrnął dłuŜszy odcinek drogi pod tarasem, czepiając się belkowania i zapierając stopami o nierówności wynikłe z niedbalstwa murarzy, mających wszak pewność, Őe tej części ściany nikt nie będzie oglądał. Dzięki temu szło się Őegostowi lŐej niŜ pod górę. Na dodatek skrywał go teraz głęboki cień.

Dostrzegł wreszcie tuŜ koło siebie kamienny maszkaron, który zapamiętał jako punkt orientacyjny. Odpoczywał przez chwilę, zbierając się do wysiłku, nim wreszcie rozpoczął forsowanie ostatniej przeszkody, przewieszonego wysoko nad morzem kamiennego balkonu i balustrady.

Na szczęście taras był pusty. Dostawszy się nań, szybko przypadł do ściany obok wysokiego okna, z którego bił słaby poblask lampy. Wstrzymując oddech, ostroŝnie zbliŝył się do krawędzi i zajrzał do środka.

KsiaŜę nie spał. W niedbale narzuconym na ramiona płaszczu, spod którego wyzierała koszula, wytartych spodniach i sandałach włoŝonych na bosc stopy przechadzał się zamyŝlony po komnacie, od drzwi aŜ do tarasu. Oczy miał otwarte, ale zupełnie niewidzące – gdyby nie poruszał ustami, mówiąc do siebie, sprawiałby wrażenie pogrąŝonego w lunatycznym ŝnie. Komnata wyglądała na przeznaczaną raczej do pracy niŜ do wypoczynku, nie było tu łoŝa, jedynie kilka wygodnych foteli i wielki stół zasypany bezładnie papierami, wśród których stały i leŝały niezliczone butelki i kielichy, wały się na tacach złomki chleba, poogryzane kości oraz niedojedzone resztki owoców.

Od rozmowy w karczmie Płatki w wyglądzie księcia jedno się zmieniło – od skroni przez policzek aŜ po krawędź ust szpeciła jego twarz nabiegła krew, podpuchnięta rana, jak od cięcia lub uderzenia pejcem.

Őegost, stając bezszelestnie, zbliŝył się do balkonowych drzwi. Őciągnął z pleców broń. Wyjął ją z pokrowca, który odłoŝył bezgłoŝnie pod ścianę, i trzymając w pogotowiu, czekał, aŜ odgłos kroków Zamborga przestanie się przybliŝać. Kiedy to się

stało, zdecydowanie opuścił swą kryjówkę, stając przodem do wnętrza komnaty.

Książę nie usłyszał szelestu za swymi plecami. Kontynuował trwającą od nie wiadomo jak dawna wędrówkę wzdłuż dłuższego boku wielkiego stołu.

Śegost ruszył za nim, pochylając broń. Tak Śe kiedy Zamborg znowu się obrócił, omal nie nabił się na wymierzone w jego krtań ostrze.

Jak wyrwany nagle z głębokiego snu, podniósł na Śegosta wzrok – raczej zdumiony niż przestraszony. Przez chwilę stali tak bez ruchu, w milczeniu.

– Nie wierzę – powiedział wreszcie Zamborg. I powtórzył zaraz: – Nie wierzę.

Śegost nie uznał za potrzebne komentować tego wyznania.

– Wiem, Śe po tych wszystkich latach nie rozumiem jej ani odrobinę lepiej niż na początku, ale Śeby była zdolna do tego? – Książę jakby mówił do siebie, a nie do intruza. – A może – zastanawiał się dalej – może to... Everard? Ale dlaczego, przecież wiedział o wszystkim, co ja mówię, wiedział, jeszcze nas do siebie popychał... No dobrze – zirytował się w końcu. – Nie będziemy tak sterczeć do rana. Jeśli nie masz na tyle przyzwoitości, Śeby wyjaśnić, kto zapłacił za głowę księcia Berghu, to rób swoje. Do stu czartów, chyba nie sądzisz, Śe się przestraszę? No, rusz Śe tym drągiem albo zejdz mi w czorty z drogi.

Śegost odsunął się na bok, nie zmieniając położeń szpontonu.

– Powiedzmy – rzekł wreszcie – Śe traktuję to jako ostateczność. Gdyby na przykład książę pan na tyle nietrafnie ocenił sytuację, Śe chciałby wzywać strażników, albo gdyby nie chciał zaspokoić mojej ciekawości...

– Ciekawości? Mam rozumieć, Śe wlałeś tu jakimś sposobem i wygraśsz bronią, Śeby skłonić mnie, księcia tego kraju, do zaspokojenia twojej ciekawości? Doprawdy, sam przyznasz, Śe to niezbyt normalne zachowanie.

– Możliwe. Wszystko w tym kraju wydaje mi się dalekie od normalności.

– Odsuń się – rzucił książę. – Skoro jesteś tak wspaniałomyślny i zamierzasz zaczekać z egzekucją, skorzystam z okazji, Śeby napić się jeszcze wina. Tobie nie proponuję. Są pewne granice gościnności, mam nadzieję, Śe nawet prosty żołdak zdaje sobie z tego sprawę.

– Prosty żołdak powtarza, Śe nie przyszedł tu po to, aby poderśnąć władcy Ruerhu gardło, choć miałby do tego pełne prawo. Ale jest gotowy to zrobić, jeśli nie będzie innego wyjścia. Czy więc książę łaskawie się na to godzi, czy nie, będzie się musiał do rozmowy z żołdakiem zniśyć.

Zamborg nalał sobie pełen kielich i ignorując wymierzony w niego szponton, podszedł do jednego z foteli.

– Powiedz mi zatem... – zaczął, usadowiwszy się.

– Nie. MoŜe i jestem prostym Őoldakiem, a nie księciem, ale to ja mam w rękę broń i ja będę zadawał pytania.

– Proszę, proszę – skrzywił się pogardliwie Zamborg. – No dobrze. JakieŜ to zatem pytania nurtują cię do tego stopnia, Őe w poszukiwaniu odpowiedzi zadałeś sobie tyle niewygód? Bo, jak się domyŐlam, wspiąłeś się do moich okien po zamkowym murze?

– Ustaliliśmy, Őe ja będę zadawał pytania – przypomniał Őegost. – Będą one dotyczyć kilku spraw, ale zacznijmy od tej, która mnie dotknęła najbardziej. OtóŜ zachodzę w głowę, dlaczego pan na Ruerhu, choć dzień wcześniej widział mnie po raz pierwszy w Őyciu, nasłał na mnie jednego ze swych druŜynników z rozkazem skrytobójczego mordy?... Idąc na mnie z noŜem – podjął po chwili milczenia – ten człowiek powiedział „przecieŜ cię uprzedzano”. A to wyście mnie uprzedzali. Rozmawialiśmy na osobności, więc skąd on mógł o tym wiedzieć, jeŐli nie od was? Nie próbujcie zaprzeczać.

Zamborg nie próbował zaprzeczać. Nie pojawił się teŜ na jego twarzy najdrobniejszy cień, który moŜna by uznać za Őlad skruchy czy wstydu. Odpowiedział najspokojniej w Őwiecie:

– Oczywiście. Rozkazałem mu Őledzić cię i zabić, jeŐli upewni się, Őe zamierzasz tu zostać. I nie udawaj, Őe nie wiesz dlaczego.

– Dlaczego?

– Őeby uniemoŐliwić ci zamordowanie mojej Őony. Dałem ci szansę, Őebyś poniechał tego, po co tu przybyłeś, i opuŐcił moje księstwo. Odmówiłeś. Chyba nie dziwi cię, Őe nie chciałem pozwolić skrytobójcy dopełnić zlecenia.

Őegost musiał przyznać sam przed sobą, Őe takiej odpowiedzi nie brał pod uwagę.

– Wcale nie zamierzałem zabijać waszej Őony. Po kiego czorta miałbym ją zabijać?!

– Za pieniądze. – Zamborg wzruszył ramionami. – MoŜe i pomyliłem się co do osoby, na którą opiewa twoje zlecenie, ale bądź łaskaw nie udawać przede mną głupszego, niŜ jesteŐ. Po cóŜ innego płatny zbir mógłby nagle przybyć do Berghu? Nie ma tu przecieŜ dla niego Őadnego zaciągu do wzięcia ani w ogóle Őadnej roboty. Chyba Őe ktoś mu juŜ taką zlecił. A jakąŜ to robotę mogli mu zlecić? Ani chybi zabicie potwora. Skoro ksiąŜę pan nie potrafi podjąć tej decyzji, ktoś postanowił go wyręczyć i wysupłać trochę złota na opłacenie fachowca. OsobiŐcie podejrzewałem Belisennę, ale w sumie nie ma to znaczenia.

– Nie jestem płatnym zbirem. Ani zabójcą potworów. Jestem najemnym Őołnierzem.

– A najemnego Őołnierza to do czego się najmuje? Do obraŐiwania grochu, do wykopków? Czy moŜe jednak przypadkiem do zabijania? Między potworem a dziesiątkiem tarczowników róŜnica jest tylko taka, Őe za potwora moŜesz zaŐadać

wyśszej ceny.

Śegost z niedowierzania aś pokręcił głową.

– Juś mnie raz tutaj potraktowano podobnie. Ale po księciu spodziewałem się czegoś więcej niś po prostych rybakach. Czy na tej waszej zapadłej prowincji naprawdę nikt nie odróżnia bredzenia skaldów od rzeczywistości? Nigdy tu nie widzieliście Őłnierza, nie wiecie, czym jest nasz cech?

– Ostrośniej w słowach, jeśli łaska. Skoro tak oburza cię myśl, Őe zostałeś wzięty za płatnego zabójcę, to spodziewam się, Őe zaraz mi jasno i przekonująco wyjaśnisz, po kiego niby, jeśli nie w tym celu, się u nas zjawiłeś?

– Cóż, jakkolwiek wam to zabrzmi, z ciekawości. Dawno nie odwiedzałem tej krainy i zapragnąłem poznać księcia Zamborga, o którym śpiewano w całym królestwie pieśni, oraz jego zamorską małśonkę.

– Juś cię prosiłem, Őebyś nie udawał głupiego.

– Wiecie co, mości ksiąś? Zapewne opinia prostego Őoldaka nie na wiele wam potrzebna, ale jeśli chcecie ją znać, to wy jesteście głupcem. Jesteście tak wyjątkowym durniem, Őe choć zwiedziłem w Őyciu kawał świata, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek spotkał gorszego. A juś na pewno nie znam takiego, którego głupota przysporzyłaby większych szkód.

Mówiąc to, Śegost trzymał szponton w gotowości i, rzeczywiście, przez chwilę wydawało się, Őe rozjuszony zuchwalstwem Őłnierza Zamborg rzuci się na niego albo podniesie głos – gdyby to zrobił, Śegost był juś zdecydowany ciąć go przez gardło, a potem uciekać jak się da tą samą drogą, którą tu przyszedł.

Ale Zamborg znowu go zaskoczył. Skrzywił się, jakby rozgryzł coś bardzo gorzkiego, popił tę gorycz winem i z niechęcią rzekł:

– Zdziwisz się, przybłędo, ale wypilem przez ostatnie dni na tyle duśo, Őe przyznam ci rację. Istotnie, ksiąś Berghu jest głupcem. I co najgorsze, nie ma o to do siebie wielkiego Őalu. Bo zgłupiał z przyczyny, która dla prostych Őoldackich natur, takich jak ty albo mój szanowny przyjaciel Rejmus, pozostać musi niezrozumiała czy wręcz je śmieszny: z miłości.

Śegost oparł broń o stół, tak jednak, aby wciąż mieć ją pod ręką, a potem sięgnął po jeden z kielichów i takśe nalał sobie wina.

– Nie zapraszałem cię do poczęstunku – zauwaśył cierpko Zamborg.

– Nie. W ogóle mnie ksiąś pan tutaj nie zapraszał. Ale skoro będziemy rozmawiać o miłości, to i ja mam prawo po trudnej wspinaczce zamkową ścianą przepłukać gardło. Bo porozmawiamy o tych sprawach, prawda, mości ksiąś? Nie widzę, Őebyście tu mieli jakiegokolwiek towarzysza, z którym szłoby o nich pogadać. A czasem trzeba. Trzeba aś

tak bardzo, Œe ujdzie za rozmówc choby i przybda, najemny Œodak, który wdar si na krlewskie komnaty, wymachujc Œelastwem. Tedy pozwlcie – usiad na drugim fotelu, przestawiwszy go tak, by pozosta przodem do Zamborga – Œe na pocztek tej rozmowy zadam jedno pytanie. Czy mwic, Œe ksi zgpiał z mici, macie na myli to, co mu si przydarzyo z pani Khielve czy z pani Belisenn?

– Skd wiesz o Belisennie?

– Nie Œartujcie, ksi. Wtpi, Œeby by w tym zamku bodaj ostatni ciura, który si jeszcze wszystkiego nie domyli.

Zamborg wyglda na zdziwionego do tego stopnia, i Œegost omal nie parskn Œmiechem.

– Wic jak, ksi? – Udao mu si na szczcie zachowa powag.

– I jedno, i drugie. We pod uwag, ile lat upyno od mojej wyprawy do Skanningen. Byo tych lat wystarczajco wiele, Œeby przydarzyo mi si co, co jest najgorsz rzecz, jaka si mczynie moe przydarzy. I na ktr Œwiat nie zna lekarstwa. Zaczem si starze. Wiesz, jaka to straszna rzecz, starze si? Potrafisz ju to sobie wyobrazi?

– Nie. Ale potraf sobie wyobrazi co jeszcze gorszego.

– Co moe by gorszego?

– Nie mc si starze.

– Nie kpij sobie.

– W Œadnym wypadku nie kpi. Nie mc si starze, to znaczy by zmuszonym wci i wci, dzie po dniu, rok po roku, patrze, jak wszystko si psuje, jak ludzie karleją, a ze Œwiata uchodz kolory i smaki. Bez koca. Bez bodaj odrobiny znieczulenia, jak daj niedostwo i litociwa skleroza.

– Do wydumany koncept, a ja ci tu mwi o powanych sprawach. Tak, owszem, syszaem kiedy opowie, Œe trafiaj si ludzie zrodzeni ze zwizkw midzy Œmiertelnikami a lenymi boginkami, ludzie, ktrym nie jest pisana wasna Œmier i zgin mog tylko od miecza albo zarazy... Jeli jest w tym prawda, to mog takim tylko zazdroci. Ale ja nie urodziem si dzieckiem mamuny. Urodziem si jako dugo oczekiwany dziedzic ksistwa, ktry mia dojs do sawy i wyww na krlewskim dworze. Dlatego ojciec zadba nie tylko o moje wiczenia szermiercze, na czym si zwykle w tych stronach edukacj koczyo, ale i o dworsk ogad. Sprzyja osiadaniu tu rycerzy z gbi krlestwa, Œciga na zamek poetw i uczonych. Wychowywaem si na pieniach askiburioskich bardw. I nie skoczyo si to, jak widzisz, dobrze.

– A kiedycie pynli na Shizzandra? Byo to po woli ojca czy wbrew?

– Nie sprzeciwi si. Moe dlatego, Œe mnie ju zna, wiedzia, Œe jak co sobie

wbiję do głowy, to i tak wszystkie jego sprzeciwy na nic. Ale pewnie nie przeczuł, że i jemu skróci to życie. Nie powiem, żeby umarł ze zgrzyoty. Umarł od palenia w trzewiach, choroby ponoć częściej w naszym rodzie, ale zgrzyota na pewno się do niej przyczyniła.

Zamborg sięgnął po dzban z winem, nalewał sobie w zamyśleniu. Westchnął:

– Mnie samemu trudno sobie dziś wyobrazić, jak umiałem być dla niej tak czuły i opiekuńczy. Nie odstępowałem jej na krok. Najpierw myślałem, coś, zmieni się. Trudno się dziwić po tym wszystkim, co ją spotkało, że stroni od ludzi... Nie. – Znowu westchnął. – Nie tak. To potem. Na początku właśnie nie zdawałem sobie sprawy, że jest od nas tak bardzo inna. Wydało mi się oczywiste, że skoro została moją Soną, to będzie dzielić i uwielbiać takie życie, jakie zawsze na naszym dworze prowadzono, biesiady, polowania, moich przyjaciół... Zanim się zorientowałem, co robię, sprawiłem tyle, że obrzydziłem jej to wszystko do reszty. Ona jest inna. Poznała w życiu tylko krew, grozę, zdradę... Wyobrażasz sobie patrzeć, jak matka zmuszona jest wyjść za mordercę swego męża, a potem jak ginie z jego rąk? Wyobrażasz sobie spędzić dzieciństwo w lodowej wieży? W wieży, w której jest tylko mróz, złowrogi czarodziej i surowa dyscyplina, przez całe lata... Rozumiesz coś z tego, co tu gadam?

– Więcej niż wy sami, księżo.

– Więcej?

– Więcej, bo stykałem się już w życiu z wysoką magią. Magią, która, jak uczą, polega na skupieniu woli. Miłość czasem sprzyja takiemu skupieniu. Czasem na tyle, że pozwoli zniweczyć zaklęcie maga. Ale ludzka miłość umiera. Tak samo jak człowiek. Tylko znacznie szybciej.

– Nie wiem, czy to była prawdziwa miłość. Wtedy tak mi się wydawało. Byłem szczeniakiem, nie miałem pojęcia, czym może być ta prawdziwa miłość, ta, która przychodzi w wieku męskim. Sądziłem, że kocham jak nikt nigdy na świecie, że to jest prawdziwe...

– Musiało być prawdziwe, skoro podziałało. Ale miłość wygasa, nawet najprawdziwsza. Shizzander o tym wiedział. Dlatego się z was śmiał.

– Śmiał się, to prawda. Zanośli się ze śmiechu. Jucha lała mu się z ran, wrzała na posadzkach jak jakieś... sam nie wiem co... A ten rechotał i przeklinał...

– Nie była to rycerska walka, prawda? – zagadnął Segost niby to od niechcienia. Zamborg gniewnie poderwał głowę.

– Rycerska walka? A po coś mielibyśmy być dla niego rycerzcy? To był zimny łajdak, jak wszyscy czarodzieje. Potwór. I z niej chciał uczynić takiego samego potwora. Ale ja wierzyłem, że skoro ją kocham, zniweczę cały jego wpływ bez trudu. Będę stale

przy niej, będę dobry, czuły... Bodaj to wszystko ziemia pochłoneła, cięsko mi to dziś wspominać. No, oczywiście, najpierw wzięły w łeb ojcowe plany. Gdzie mi tam było jeździć zadawać szyku na królewski dwór, skoro trzeba było stale jej pilnować, stale być w pobliżu, by tamto nie zaczęło wracać...

Zamilkł, jakby poniewczasie uznał, że wyznał zbyt wiele. Podniósł na świątynię spojrzenie, wpatrywał się dłuższą chwilę, ale ten zniósł to bez wysiłku.

– A prędko zaczęło wracać?

– Co zaczęło wracać?

Teraz to świątynia głośno westchnęła. Z irytacji.

– To, co raczyliście nazwać „tamtem”. Dajcie spokój, księżo, skoro już rozmawiamy, to rozmawiajmy. Prędko?

– Prawie od razu po godach. Ale z początku nie wyglądało to strasznie. Napady płaczu, nieprzespane noce, niezrozumiałe lęki... Zwykle, codzienne sprawy, jakich nikt nie zauważa, dla niej potrafiły się stać źródłem grozy. Byłem blisko, tuliłem, przypominałem o swych przysięgach ze Skanningen i mijało. Do następnego księżyca. Dopóki nie pojawiał się ktoś obcy, byliśmy szczęśliwi sami ze sobą w tych komnatach. Ludzie się dziwili, gadali, ale co mnie to obchodziło. Przy mnie była zupełnie inna, potrafiła się śmiać, nie grzebała bez przerwy w skrzynce z klejnotami czy ptasich klatkach. Była tylko nie zostawiać jej samej...

– Ale w końcu ją zostawiliście.

– Nie. To się zdarzyło na moich oczach. I z mojej winy. – Zamborg musiał wiele razy przepowiadać sobie tamte sprawy, chodząc nocami po komnacie, bo mówił spokojnie, rzeczowo, jakby sprawa nie jego w ogóle dotyczyła. – Zebrało mi się wreszcie w którymś momencie, że tak nie może już dalej być, że musimy jakoś się ugodzić. Nie mówię teraz o tych dawnych czasach, jak się domyślasz, tylko o ostatnich miesiącach. Chociaż i wcześniej było źle. Coraz gorzej. Czuli coś i ja czułem. że nie mam już siły, że trzeba coś zmienić. Niby wciąż byliśmy ze sobą... No, już czasem wtedy znikalem na kilka dni, ale potem, wróciwszy, starałem się jej to wynagrodzić jeszcze większą czułością, więc niby to wciąż byliśmy ze sobą jak dawniej, ale już czaiła się w tym nieszczerłość, udawanie... No i w końcu zebrałem się na odwagę. Nie może tak być, powiedziałem, moja ukochana, musimy sobie jakoś ułożyć tę resztę życia, jaka nam została... No i powiedziałem jej.

– O Belisennie?

Zamborg zaśmiał się szyderczo.

– Nie, na Kebdira! Gdzieśby! Powiedziałem, że będę sobie brał nałóżnice ze słuźby. Wyobraź sobie, żołnierzu?! Księżo Berghu zdobył się prosić swoją księżecą

małŃonkę, aby mu łaskawie pozwoliła na to, co byle paniczyk uwaŃsa za oczywiste i co, Ńeby to wszystko odmęty pochłoneły, co jest, jest oczywiste! Bo przez te wszystkie lata ksiąŃę Berghu, uwierzysz, Ńołnierzu, nie miał innej kobiety. Ani jednej. Cóż się dziwić, Ńe jego właŃni rycerze kpią sobie z niego, popijając po karczmach. Nie miał. Chcesz zapytać pewnie, czy dlatego, Ńe taki byłem zakochany, więc ci od razu powiem, nie, nie dlatego, moŃe na początku, ale przede wszystkim dlatego, Ńe sam się bałem złamać te wszystkie przysięgi, których w miłosnym amoku naskładałem u stóp lodowej wieŃy. No i słusznie się bałem, jak się okazało.

Nie patrzył teraz na Ńegosta i nie był juŃ tak spokojny jak wtedy, gdy sądził, iŃ Ńołnierz przyszedł po jego głowę. Wspomnienie sprawiło, Ńe twarz mu pociemniała, a oddech przyspieszył.

– Najpierw coś się stało z jej oczami. Coś się w tych oczach pojawiło... Coś nieopisanego. Złego. Obcego. Patrzyłem w oczy swojej Ńony i widziałem jakiegoŃ nieznanego, pełnego nienawiŃci stwora... A potem... zaczęła się zmieniać. Bogowie, pamiętam ten strach. Ja nigdy w Ńyciu nie czułem lęku, z takiej jestem krwi, Ńe mi to obce, ale wtedy zrozumiałem, Ńe od strachu moŃna umrzeć. Nie umiesz sobie wyobrazić, co się z nią stało. Zamiast głosu wydobywała z siebie jakiś złowrogi skrzek... A jej twarz, ręce... KsiąŃę otrząsał się i umilkł.

– Samorzutna transformacja – mruknął Ńegost z przejęciem. – To jasne, dotarło do niej, Ńe miłość, która trzymała wolę Shizzandra w ryzach, skończyła się...

– Wcale się nie skończyła. To teŃ sobie wtedy nagle uŃwiadomiłem. Owszem, przygasła przez te lata, ustała się, powiedziałbym, i zmętniała jak długo nieruszana woda. Ale gdy zobaczyłem wtedy, co się z nią stało, i ja poczułem to samo, to samo, co w pałacach Shizzandra. Jakby nie było tych lat, jakby nic się od tamtego czasu nie stało... I znowu udało się to samo, co wtedy. Błagałem ją, przeproszałem, ukorzyłem się, aŃ mi wstyd do dziś o tym myŃleć. Ale to pomogło. Wszystko się cofnęło, nawet nie pamiętała, kiedy juŃ ją zdołałem wybudzić z omdlenia.

– Nie pomyŃleliŃcie, Ńe skoro tak się zaczęło zdarzać, trzeba ją zabić?

– Uciałbym łeb kaŃdemu, kto by mi próbował taką myśl podpowiedzieć. Ale nikt, na swoje ŃczęŃcie, nie miał okazji. ByliŃmy w komnatach sami, jak zwykle. Nie, Ńołnierzu, nie powstało mi nawet w głowie, Ńe moŃna by jej zrobić krzywdę. Chyba to umiesz zrozumieć? Wyrwałem ją stamtąd obietnicą miłości, ta miłość była jedynym, co ją trzymało w Ńwiecie. I nagle jej to zabrałem.

Znowu milczał długo zapatrzony w wino w kielichu, a Ńegost nie próbował przyciskać go pytaniami.

– Bo w tych strasznych oczach pokazało się jeszcze coś, Ńołnierzu. Oprócz złoŃci,

gniewu, obcości... było w nich cierpienie. Straszne cierpienie, Sotnierzu.

– No cóś, rozumiem. Wybaczcie, ale skoro tak, czy nie przyszło wam do głowy zerwać ze Złotowłosą?

Zamborg zaśmiał się gorzko.

– Próbowałem. Nic nie rozumiesz! Nikt tego nie rozumie, dobrze to powiedziałeś, nie ma w tym chędośonym zamku, w całym tym przeklętym księstwie ani jednego człowieka, z którym mógłbym rozmawiać i który by wiedział, o czym mówię! Równie dobrze mógłbym się zwierzać swojemu koniowi albo moim dawnym kompanom od kielicha. Zerwać z Belisenną, na Kebdira! Widziałeś ją chociaż, wiesz, o czym mówisz?

– Nie widziałem – przyznał Śegost. – Znam tylko z rozmów. Szynekarz w Trychnie powiedział: „zwykła kobieta”. Owszem, piękna, ale zwykła kobieta.

– Prostý człowiek, a trafił w sedno. – Książę nieoczekiwanie uspokoił się, jego głos znowu brzmiał chłodno i rzeczowo. – Zwykła kobieta. Zupełnie zwykła. Kiedy się ją obejmuje, omdlewa w twych ramionach, kiedy ją obnaśasz, robi się gorąca i oddycha szybciej, a w łosiu krzyczy, szlocha i wzywa bogów, wszystko tak, jak to bywa ze zwykłymi kobietami. I przy tym wszystkim umie każdym słowem i gestem dać kochankowi tyle radości i ukojenia... Cóż, pewnie się domyślasz, że królewscy dyplomaci nie kierują się w doborze małsonek namiętnością, tylko rozsądkiem. Potrzebują koligacji, potrzebują damy, której ród otwiera wejście na dwory i salony i z którą można się tam pokazać... Gorące uczucia w ten kontrakt nie wchodzi. Owszem, gdyby taka małsonka chciała przyprawić dyplomacie rogi z prostym rycerzem, byłoby to rzeczą oburzającą. Ale ja jestem przeciw księciem krwi. Miałem prawo sądzić, że uda się wszystko utrzymać w tajemnicy. Po tym, co się przydarzyło, byłem z Khielve bardzo ostrośny, wierzyłem, że o niczym się nie dowie. Przeciw z nikim nie rozmawia, nawet słuśbę toleruje przy sobie tylko tak długo, jak to niezbędne.

– Zapomnieliście o jednym, książę. że dama wysokiego rodu nie będzie się długo zadowalać rolą potajemnej kochanicy, nawet księcia krwi.

– Nie oszukiwałem jej, Sotnierzu. Nie obiecywałem więcej, niż mogłem dać, dobrze wiedziała, jak jest. Myślałem, że to, co ode mnie dostaje...

– A ja myślę, że bardzo niewiele wiecie o kobietach, książę. Zgoła nic.

– Możliwe. Nie miałem jak i kiedy nabrać tej wiedzy. Wiem za to, że wbrew temu, co śpiewają bardowie, można miłować jednocześnie dwie niewiasty, każdą równie gorąco, choć inaczej. Nie jestem już młody, jak widzisz. Niedługo wszystko się skończy, zejde w mrok, gdzie nie ma ludzkich namiętności, Śycia, jego smaku, tylko blade, błakające się cienie. A ty mi powiesz, że miałbym, ot tak, wyrzec się Belisenny i jej miłości...

– Skoro przemiany zaczęły się zdarzać znowu?

Zamborg przetarł dłonią twarz.

– DuŜo wiesz, Œolnierzu – powtórzył. – Bardzo duŜo. Nie doceniłem cię. Tylko nie wiem, po co mnie w takim razie dręczysz tymi wszystkimi pytaniami. Tak, oczywiście, kiedy rybacy zaczęli przychodzić ze skargami, nie mogłem się nie domyślić, Œe to wróciło. Nie moŜna jej winić. Wtedy, gdy się obudziła, nie pamiętała nic i myślę, Œe teraz jest tak samo. Po prostu znika ona, a pojawia się tamto coś, coś, co jest czystą wściekłością, złem, zemstą, nie wiem... MoŜe to sam Shizzander czy coś, co z niego zostało, przyciało się...

– Domyśliliście się zatem, mówicie. Ale nic nie zrobiliście.

Zamborg milczał.

– Chłopów wam nie Œal?

– Pewnie, Œe mi Œal! PrzecieŜ to moi chłopi! Ale co niby mogłem zrobić, co? Takiś mądry, to powiedz, co ty byś zrobił na moim miejscu? No?

– Nie zakochałbym się do utraty rozumu w księŜniczce z lodowej wieŜy. Zwłaszcza znając ją tylko z portretu.

– Wielce roztropna rada. Tylko cokolwiek spóźniona. Ale potem? Co teŜ, skoroś taki mądry, zrobiłbyś potem, gdy juŜ się tak zdarzyło?

– W kaŜdym razie nie siedziałbym w komnacie, czekając, aŜ ktoś za mnie wykona brudną robotę i uwolni od wyboru, którego wy dokonać nie umiecie.

Zamborg siedział nieruchomo, z kamienną twarzą.

– Myślałem najpierw, Œeście się tu zamknęli przed światem, Œeby ukryć ten – Œegost poruszył nieznacznie dłonią koło policzka – ślad po ostatniej rozmowie z małŜonką... Ale domyślałem się, coście musieli myśleć. Mogę zgadywać? Pomyśleliście sobie: zrobiłem, co mogłem, chciałem tego zbira ukatrupić, ale nie wyszło, to on jakimś sposobem zdołał zabić Woyta. Kazałem go Rejmusowi Œciąć, a ona, głupia, zamiast na to pozwolić, zrobiła swego prześladowcę kapitanem własnej gwardii. Sama dała mu przystęp do swych komnat! Więc widać to przeznaczenie. A z przeznaczeniem nie będę walczyć, niech robi, po co tu przybył, zaczekam...

– Nie! – zaprotestował Zamborg twardo.

Ale nie wytrzymał spojrzenia Œegosta zbyt długo.

– Nie – powtórzył mniej zdecydowanie. – Nie pomyślałem tak. To znaczy... Œwiadomie. Choć coś w głębi, jakiś wewnętrzny głos... Chciałem ją uchronić, ale w końcu od tej chwili, choćbym chciał... Od tej ostatniej rozmowy... rozmowy, niech będzie raczej awantury, ona nie chce mnie widzieć. Ustawiła u drzwi warty, zapowiedziała mi, zresztą nie jest waŜne, co mi zapowiedziała. Ciekawe, czy one

wszystkie tak to uwielbiają, stawiać warunki, zapowiadać kategorycznie i ostatecznie, udzielać ultimatum, jakby prowadziły dyplomatyczne kancelarie. Belisenna teŜ. Nie dziwcie się, Œe od razu uznałem, Œe to ona was najęła, ale po tym, co mi miała ostatnim razem do powiedzenia...

– Nie mówiła wtedy o wynajęciu zabójcy potworów, nawet gdyby taki cech naprawdę istniał. Pewnie zapowiadała wam po prostu, Œe wybiera się tu ze zbrojną druŜyną. Załatwić sprawy z waszą pierwszą małŒonką. Jest juŜ niedaleko. A wasi szanowni i druŜynnicy tylko czekają, Œeby się do tej dyskusji przyłączyć.

– Nonsens – powiedział twardo ksiąŜ. – Nad własnymi zbrojnymi nigdy nie straciłem panowania. I nie zniosę Œadnej samowoli.

– Powiedziałbym, posiedźcie tu jeszcze dwa dni, a sami zobaczycie. Ale nie powiem, bo oczywiście nie zamierzam wam pozwolić, byście tu dalej siedzieli, podczas gdy waszej stolicy zagłąda w oczy domowa wojna i nie wiedzieć jakie jeszcze nieszczęścia.

Zamborg dopił wino, odstawił z rozmachem kielich i podniósł się z fotela, pewnie, choć z dającą się zauwaŒyć chwiejnością. Œegost nieznacznie sięgnął po szponton.

– Przynajmniej byłby to jakiś koniec tej historii – mruknął, stając w oknie. – I to koniec wart pieśni. W szczęku broni, płomieniach i rozlewie krwi...

– WyobraŒam sobie koniec lepszy, chociaŜ mniej godny pieśni. Przejadę po prostu księciu panu po gardle ostrzem. Wyjdzie na jedno, ale dla waszych poddanych róŒnica kolosalna.

Zamborg odwrócił się i zmierzył Œegosta gniewnym spojrzeniem.

– Czemu właściwie cię to obchodzi? Po co się w to wszystko wtrącasz?

– Widać mam jakieś powody.

Książę wzruszył ramionami, odwrócił się i podjął przechadzkę po komnacie, nie zwracając uwagi na broń Œegosta.

– W gruncie rzeczy mało mnie one obchodzą. Sam nie wiem, po co zapytałem. OdłóŒ ten szpikulec, Œołnierzu, nie będziesz musiał mi podrzynać gardła, chociaŜ bądź pewien, Œe w najmniejszym stopniu mnie taka perspektywa nie przeraŒa. Biedna Belisenna, wiem, Œe bardzo mnie kocha, ale musiała chyba oszaleć, Œeby wymyŒlić coś takiego. Nie wejdzie do miasta, a juŜ zwłaszcza z druŜyną. Wiedziała od początku, gdzie jest w naszym związku granica, której się nie da przekroczyć, i właśnie do tej granicy doszliśmy. Bądźcie spokojni, Œołnierzu, jeśli to was tak martwiło. Książę Berghu moŒe mieć kłopoty z zapanowaniem nad swymi namiętnościami, ale nie zamierza pozwolić, aby jego honorem wycierano sobie buty. Jeśli komuś się roi, Œe będzie podejmował za mnie decyzje, to się bardzo grubo myli i bardzo boleŒnie tę pomyłkę poczuje.

– Zamierzacie oddalić Złotowłosą? Wielu waszych rycerzy będzie zawiedzionych.

– Moi rycerze nie mają w tej sprawie nic do powiedzenia. Nikt nie ma. Belisenna... w każdym razie nie wejdzie do miasta. A moja Sona, cóż, złość jej w końcu minie. Umiałem ją tyle razy przekonać o swojej miłości, przekonam raz jeszcze. Złe odejdzie. Będzie znowu, jak było przez tyle lat. Ciężko może i dziwnie, ale jakoś do wszystkiego da się przywyknąć.

– Napiszecie do Belisenny list? Najlepiej teraz.

– Zrobię, jak będę uważał, żołnierzu. Nie próbuj mnie pouczać.

– Nie próbuję. Daliście mi kilka dni temu dobrą radę, nie posłuchałem jej co prawda, ale chcę się teraz odwzajemnić tym samym: dobrą radą. Radzę, byście napisali do pani Belisenny jasno i prosto. Teraz. A ja zaniosę list i doręczę do jej własnych rąk.

Zamborg pokręcił głową.

– Mam własnych posłańców.

– Pozwólcie. Zaniosę go sam. Dostanie go jeszcze tego dnia.

– Nie. A wiesz, dlaczego nie? Bo ci za grosz nie ufam. Czort wie, kim jesteś, czemu się w to wszystko wdałeś i jaką prowadzisz grę.

Śegost nie nalegał. Czekał tylko nieruchomo, cierpliwie, aś księżę bez śadnej wyraźnej przyczyny, z twarzą pełną wyczerpania i nagłej rezygnacji, zgodził się:

– Dobrze. Niech tak będzie.

Oczyścił łokciem kawał stołu i zasiadł do pisania.

Gdy Śegost wszedł w korytarz prowadzący do komnat księżnej, wartownicy na jego widok zaprezentowali równo broń – nawet nie pamiętał, kiedy zdał ich tego nauczyć. Mimowolnie uśmiechnął się, zadowolony z jeszcze jednego znaku, że z każdym dniem jego ludzie stają się coraz bardziej żołnierzami. Ale ta myśl tylko błysnęła, nie miał głowy, żeby się na niej skupić. Nie popatrzył nawet na twarze wartowników, nie zapamiętał, którzy to byli. Nie spodziewał się, że widzi ich po raz ostatni.

Myślał o czym innym.

Próbował sobie później przypomnieć dokładnie, o czym, ale nie potrafił. W każdym razie na pewno nie roztrząsał wtedy, czy postępuje słusznie. Z jakiegoś powodu był tego absolutnie pewien.

Może zresztą, myślał czasami, naprawdę postępował słusznie. Może to, co się miało zdarzyć, po prostu się zdarzyć musiało i jego decyzja nie miała na to wpływu. Przeciwnie, była ostatnią, rozpaczliwą próbą, by powstrzymać bieg spraw. Nie mógł się winić o to, że nieudaną.

Minął wartowników, podszedł do masywnych, grubych drzwi i ująwszy ozdobną kołatkę, zastukał kilkakrotnie. A potem, korzystając z prawa, które przysługiwało mu

jako kapitanowi gwardii przybocznej, otworzył drzwi i wszedł do przedsionka. Wydobył z pasa ksiąŜęcy list, wyjął z sakwy mały noŜyk, którego uŜywał czasem do czynności wymagających precyzji. Rozpostarł list na zdobiącym Őcianę zwierciadle i podwaŜając brzeg ŐwieŜego laku całą szerokoŐcią ostrza, zręcznie odlepił od papieru zamykając list pieczęć.

Pani Khielve pojawiła Őię, zanim jeszcze Őię z tym do końca uporał. NajwyraŐniej nie spała.

– Niszczysz pieczęć mojego meŐsa – stwierdziła beznamiennie, stając za jego plecami.

– Prawo kaŐe za to karać na gardle.

– Wiem o tym, miłociwa pani. Ale potrafię potem skleić ją tak, Őe nikt nie pozna.

Odwrócił Őię i z lekkim ukłonom podał księŜnej otwarty juŐ list.

– UwaŐam, Őe miłociwa pani powinna ten list poznać. Ale proszę, Őeby go nie uszkodziła. Przyjdę po niego o Őwiecie.

– Zrobię, co uznam za stosowne. Nie próbuj mnie pouczać.

– Nigdy by mi to nie postało w głowie. Proszę tylko, aby miłociwa pani raczyła nie naraŐać na szwank mojego honoru. Zobowiązałem Őię jej miłociwemu maŐsonkowi, Őe jeszcze dziŐs oddam to pismo do wŐasnych rąk pani Belisennie.

JeŐli dŐźwięk tego imienia wywarł na księŜnej jakieŐ wraŐenie, to w kaŐdym razie umiała niczego po sobie nie pokazać. Spokojnym, odmierzonym ruchem przyjęła podany jej papier, po czym obróciła Őię bez sŐowa i zniknęła w swoich komnatach.

Schodząc do portu, Őegost czuł Őmiertelne znuŐenie. Takie, jakie czuje Őię tylko w chwili wielkiej ulgi, gdy rozstrzygną Őię wreszcie sprawy dŐugo wczeŐniej ciąŐące kamieniem na sercu.

Zamienił kilka sŐów z Brychą, zakomunikował, Őe pŐynie dopatryć spraw w obozie i wróci rano ze zmianą. Liczył, Őe zdoła jeszcze do Őwitu choć trochę Őię przespać. Wziął z odpoczywającej zmiany dwóch ludzi do wiosel i bat – małą łódeczkę, jakich dla sprawnego kontaktu międy dziesiátkami roty kazał zawsze trzymać kilka w pogotowiu i w obozie, i w zamkowym porcie. PŐynęli w milczeniu, w ciszy, bo morze wciąŐ było spokojne, jak uŐpione. Przez większoŐć czasu sterowali wprost na ogień pŐonący na Łososiowej Skale. Őegost wpatrywał Őię weń, walcząc z sennoŐcią, której nie był w stanie odpędzić nawet przedporanny chŐód, dotkliwy, bo Őegost nie pomyŐiał, Őeby zamiast pozostawionego w ŐłuŐbówce Lagi kaftana wziąć z wartowni jakiŐ pŐaszcz.

ŐwiadomoŐć popełnionego bŐędu przyszła nagle. Przyszła wraz z nawrotem tego mdlącego, odzywającego Őię drŐeniem w trzewiach niepokoju, który od wieczora sŐabł tak, iŐ zajęty innymi sprawami Őegost caŐkiem zapomniął o jego istnieniu. Teraz był znowu silny i co gorsza, zaczął Őię gwałtownie. Nie narastał, jak to bywało dotąd. Zaczął

się tak, jakby ktoś jednym ruchem zerwał zasłonę, jakby pękła powstrzymująca napór tama. Od razu silny mimo odległości, bo byli wtedy już tak blisko obozu, że blask z Łososiowej Skały zdawał się rozścielać nad ich głowami.

Wiedział, że w mieście w tym samym momencie zaczęły wyć wszystkie psy, a koty i szczury, posłuszne instynktowi, rzuciły się do ucieczki z miasta.

– Szybciej – krzyknął do wiosłarzy. – Płyńcie najszybciej jak potraficie! Nie ma chwili do stracenia.

Już wiedział, co się stało. Choć z pozoru nie działo się nic. Morze i powietrze nadal były nieruchome, niebo czyste, usiane gwiazdami, z wąskim jak nóż skrytobójcy sierpem księżyca.

Zaczął dąć w alarmowy gwizdek, nie czekając nawet, aż dobiegą do brzegu. Nim dobiegł do placu, pierwsi z jego ludzi już wyskakiwali z szałasów. Za wolno, wszystko szło za wolno, nie dość składnie. Klął i zdierał gardło, zapędzając żołnierzy do ściągania na wodę łodzi. To nie ćwiczenia, ruszać się! To nie ćwiczenia, to sprawa ze Shizzandrowymi mścicielami, czort zresztą wie z kim, zbierać się, zbierać! Niechać szałasów, niechać wszystkiego prócz broni – do łodzi!

Chyba z początku mu nie wierzyli.

Wciąż przecież nic się nie działo.

Potem, gdy spychali pierwsze łodzie, zaczął się zrywać wiatr. Bardzo lekki, ledwie wyczuwalny powiew od morza.

Zanim popędzani przez kapitana zepchnęli i zapełnili ostatni zug, wiatr dawało się już wyczuć bardzo dobrze. Wzmagał się i wzmagał. Gwiazdy nad horyzontem zaczęły przygasać zasłaniane przez napływające chmury.

Podmuchy przybierały na sile. Czerń coraz szybciej pośierała niebo ponad wieżami zamku. Szybko – zbyt szybko, żeby ludzie obeznani ze zmianami pogody na morzu mogli się ludzić, że to normalny wiatr i normalne chmury. Niepokój kapitana w końcu udzielił się jego ludziom. Wiosłowali z całej siły, mocno, równo, od czasu do czasu podnosząc głowy i śledząc w milczeniu znaki nadchodzącego żywiołu.

Wicher wciąż się wzmagał, fala rosła. Łodzie radziły sobie z nią coraz trudniej, dzioby szły coraz wyżej w górę i ześlizgiwały się coraz głębiej w dół. Niedawną ciszę zastąpił wciąż potężniejszy poszum, głuszący słowa i komendy.

Nagle zapadającą ciemność przeciął blask. Nie krótki, migoczący blask błyskawicy, choć równie jak błyskawica oślepiający – ale trupio zimne, raniące oczy światło, które w jednej chwili otoczyło zamkową wieżę Ruerhu. Blask wzmógł się, rozdał jak pękające słońce, a potem zwinął się w nicość. Przez szum morza poniósł się donośny huk i najwyższa część jednej z zamkowych baszt prysnęła szczątkami jakby zahaczona

ciosem potężnej pięści, wypuszczając na wszystkie strony jęzory seledynowego i błękitnego ognia.

Stojący opodal Śegosta Gaca wyrzucił spomiędzy drżących warg jakieś imię. Zakazane, nigdy niewypowiedane przy obcoplemieńcach imię któregoś ze starych morskich bogów. Ale bóg rybaków nie pospieszył im na pomoc. Fala rosła nadal, wiatr zaczynał utrudniać utrzymanie się na nogach, magiczne ognie błędziły po czarnych zarysach zamku, wykwitając nagle z hukiem i gasnąc.

Bariera pękła, została przerwana. Śadna ludzka ani nieludzka moc nie była w stanie jej załatać, póki nie zrośnie się sama, uświadomił sobie Śegost, trzymający się kurczowo masztu w walce z przechyłami, wiatrem i szarpiącymi całe ciało dreszczami. Trzeba się poddać, póki jest szansa doprowadzenia łodzi do brzegu.

Tamtym już nie sposób pomóc. Jeśli Brycha nie straci zimnej krwi i nie ruszy się poza wybitą w litej skale część korytarza, przynajmniej niektórzy będą mieli szansę przetrwać.

Nie dopłynęli nawet do trzech czwartych półwyspu. Wiatr zagłuszał słowa, ale wszyscy w łodzi musieli myśleć o tym samym, bo wystarczyło machnięcie ręki, aby szarpiące się z falą łodzie zaczęły wykręcać, celując dziobami pod ostrym kątem w stronę plaży. Rybacy walczyli zawzięcie, ciągnęli wiosłami i sterem, usiłując zarazem i zbliżyć się do brzegu, i utrzymać w bezpiecznym ustawieniu do fali. Śegost sam nie wiedział, jakim cudem im się to udawało; tylko jedna z łodzi rozpadła się zepchnięta na skałę, ale tak blisko brzegu, że cała załoga zdołała dobrać do suchego lądu. Mośe zawdzięczali to półwyspowi, który osłonił ich nieco przed wściekłością Śywiołów, a mośe skupieniu się tej wściekłości na skale Ruerhu i wieńczącym ją zamku.

Śegost zdołał sprawić na plaży dziesiątki i puścili się wszyscy pędem w stronę grodu. Biegli długo zlanii potem, ślepnąc od wysiłku, chwytając z trudem powietrze niczym zdychające na pokładzie ryby. Później im więcej czasu dzieliło ich od tej chwili, tym więcej miał każdy z żołnierzy do opowiadania. Ale tak naprawdę nie widzieli wtedy niczego oprócz upiornych rozbłysków, tańczących w huku pękających murów po mijanych drzewach i skałach, kładących cienie na drogę, którą biegli. O wszystkim, co potem mieli do opowiedzenia, słyszeli od przerażonych uciekinierów z grodu. O chmarach wściekłych ptaków, rzucających się na ludzi z zjadłością demonów, wykluwających oczy, rwących twarze, wczepiających się w każdy skrawek ciała. O latających potworach, rozłupujących głowy jednym ciosem dzioba lub szponu. O przeraźliwym ogniu, trawiącym z równą łatwością drewno, kamień czy ludzkie ciało, wykwitającym nagle w najmniej spodziewanych miejscach i równie niespodzianie gasnącym. O przedziwnym, wirującym wokół wartowni wicherze, porywającym ludzi

w górę niczym liście, gdy tuż obok powietrze pozostawało zupełnie nieruchome.

Ci, którzy potem uwielbiali o tym opowiadać, niczego tak naprawdę nie widzieli. Ci, którzy widzieli, w większości nie byli już w stanie opowiedzieć nikomu niczego.

Śegost pamiętał tylko chaos i przerażenie, jakie ich otaczały, kiedy dotarli wreszcie w pobliże miejskich rogatek, usiłowali zaprowadzić wśród uciekinierów jako taki porządek. Zdarł gardło, przekrzykując ryk Śywiołów, aby wyznaczyć poszczególnym dziesiątkom zadania i przede wszystkim utrzymać je z daleka od miasta. Nie chciał, żeby jego ludzie się narażali. Wiedział, że za jakiś czas będą potrzebni, aby zaprowadzić porządek, zapewnić ludziom wodę, cokolwiek do jedzenia, pomóc w znalezieniu jakiegoś dachu nad głową. Śe trzeba będzie wyłapywać i od ręki, dla przykładu, karać z całą surowością opryszków myszkujących za cudzym mieniem po ruinach.

Rosyłał ludzi w różne strony, by wynajdywali bezpieczne kryjówki, by uspokajali oszalałych ze strachu, wyprowadzali z tłumu dzieci i niewiasty, odbierał meldunki, wydawał polecenia. Rzadko miał czas spojrzeć na spowity blaskiem i chmurami pyłu zamek.

Tylko raz oderwał się od tej gorączkowej bieganiny, gdy drogą od strony łądu zaczęli nadjeżdżać księżcy rycerze. Wybiegł przed nich, chwycił konie za uzdy, usiłował wytłumaczyć, że tam im bliżej zamku, tym pewniej czeka na każdego śmierć, śmierć bez żadnego sensu i pożytku, bez przeciwnika, na którego można podnieść miecz. Usiłował przemówić do rozsądku, przekonać, żeby starali się mu pomóc. Ale szanowni nie myśleli tego słuchać. Rejmus popatrzył tylko dumnie z góry, spiął konia i omal nie stratował Śegosta, ruszając w stronę zamku z radosnym okrzykiem i blaskiem w oczach. Inni odkrzykiwali byle co, odpędzali albo po prostu nie zwracali uwagi, roztrącając ciębie uciekinierów. Jeden Ingold raczył się na chwilę zatrzymać, ale tylko po to, by zganić Śegosta, że pozostaje poza bramami, zamiast iść w sukurs swoim władcom. Perswazje żołnierza zbył machnięciem ręki i okrzykiem: twoja sprawa, nam, szanownym, nikt tchórzostwa nie zarzuci. Po czym pomknął za przyjaciółmi.

Śegost patrzył bezsilnie, jak rycerze znikają w bramie.

Żadnego z nich więcej nie widziano.

I tylko raz podniósł wzrok na zamek i w rozbłysku krwistoczerwonej poświaty wydawało mu się przez mgnienie oka, że dostrzegł cienką rysę ciągnącą się zygzakiem od szczytu ścian po skaliste fundamenty, zaczątek szczeliny, która zaczęła się błyskawicznie poszerzać, a potężny zamkowy mur rozpadł się na dwoje – ale w tym momencie poświata zgasła nagle i Śegost nigdy nie miał się dowiedzieć, czy rzeczywiście coś dostrzegł, czy było to tylko złudzenie.

A potem, po niekończącej się nocy pełnej huku, ognia i grozy, lunął deszcz

i rozpętała się burza z piorunami. Burza straszna, może najsilniejsza i najbardziej ulewna, jaką w Śyciu widział. Ale to już była tylko normalna, zwykła burza. Pioruny walące po okolicznych drzewach i woda obficie zlewająca kulących się w lęku ludzi nie miały w sobie niczego magicznego.

Mrowiący lęk w trzewiach zniknął tak samo nagle, jak się wcześniej pojawił.

Pęknięta bariera zamknęła się i zarosła.

Epilog

No, to i opowiedzcie mi, jak to było, kapitanie. Opowiedzcie i wy.

Śegostowi mówiono kiedyś, że gdy wbija w rozmówcę gniewny wzrok, można się tego wzroku przestraszyć. Ale najwyraźniej uległo to zmianie albo nigdy nie było prawdą, bo choć teraz spjrzał na człowieka po przeciwnej stronie stołu tak, jakby chciał go przebić na wylot, tamten nie skulił się, nie wycofał, ani nawet nie wyraził skruchy, że tak bezceremonialnie odważa się zakłócać spokój żołnierza. Może dlatego, że był już mocno pijany. I to pijany na wesoło.

Nie można było mieć mu tego za złe. Pijani na wesoło, mniej lub bardziej, byli wszyscy wokół, jak sięgnąć okiem. Nie tylko w karczmie, ale też wszyscy w całej Trychnie, a pewnie i w okolicznych wioskach. Nawet Dejwas, tak na co dzień kochający powagę, postukiwał palcami po stole w rytm dobiegającej z podwórza muzyki i kiwał przy tym rytmicznie głową z niemądrym pijackim uśmiechem.

Po to przecież rybacy mieli święto. Największe ze swoich świąt – święto łososia. Bo mieli co świętować. Laskom, który przed kilku dniami wyciągnęli, był pełen ryby, która mimo że z opóźnieniem, w końcu weszła na zatokę, i to weszła tak obficie, jakby chciała tą obfitością wynagrodzić spóźnienie. Wioska będzie miała za co przeżyć zimę. A od zagłady zamku w Ruerhu minęło już dość czasu, by uznać, że zmarli dostali wszystko, co im się od żywych należało, i śałoba po nich powinna ustąpić radości z toczącego się dalej życia.

Śegost był tego dnia chyba jedynym człowiekiem w Trychnie, który nie poddawał się ogólnej radości. Zdawał sobie sprawę, że tu nie pasuje, i nie chciał psuć rybakom humorów, najchętniej opuściłby ich już i ruszył w dalszą wędrówkę. Ale tego zrobić nie mógł. Bo oficjalnie wciąż był kapitanem przybocznej gwardii księżnej Ruerhu i tylko ona mogła go przed końcem kwarty zwolnić ze służby. A księżna pani – nowa księżna pani – jak na razie nie miała okazji udzielić mu posłuchania. Nie przybyła jeszcze do Ruerhu. Łatwo było się domyślić, że zrobi to dopiero razem z małżonkiem, gdy ten powróci z Askiburionu.

Rozumiał to. Obawiał się tylko, żeby nowa księżna nie próbowała go zatrzymać w służbie. Wiedział, że będzie do tego zachęcana, a to przez szacunek, jakim darzyli teraz Śegosta mieszkańcy okolicy. Szacunek, który zyskały mu pierwsze dni po katastrofie, kiedy jego rota, w przeciwieństwie do przetrzebionej i pogrążonej w chaosie drużyny nieboszczyka Zamborga, zapisała się w pamięci mieszkańców sprawnością, z jaką przywracała w zrujnowanym mieście porządek.

Obawiał się też, żeby księżna nie wykorzystała audiencji – której wobec prośby

o dymisję uniknąć się nie dało – do wypytywania go o Zamborga i Khielve. Nie dlatego, żeby nie wiedział, co wtedy zrobi. Był zdecydowany nie powiedzieć niczego, co nie było powszechnie wiadome. Ale myśl, że będzie musiał kłamać i kręcić, nie sprawiała mu przyjemności i wolałby tego uniknąć, jeśli tylko się da. Więc o czekającym go spotkaniu z nową władczynią Berghu myślał bez przyjemności, choć miało mu dać możliwość przekonania się na własne oczy, czy rzeczywiście jest tak piękna, jak go niegdyś zapewniał szanowny Bejlik.

Nową księżną Ruerhu była od tygodnia pani Belisenna. Ponieważ ród Zamborga wygasł, prawo mianowania nowego władcy należało do estarońskiego króla, a ten – szybko, ale ta szybkość nie dziwiła, zważywszy na strategiczne położenie kraju – powierzył ów zaszczyt szlachetnemu Everardowi z Kalboru. Przepowiednia, o której Śegost sądził, że została spreparowana przez samą Belisennę, spełniła się prędzej, niż ktokolwiek się tego mógł spodziewać. A może, nachodziła go czasem taka myśl, nie tyle się spełniła, co wszystko to spowodowała? Nie był przesądny, ale uważał, że w takich sprawach nigdy niczego nie wiadomo na pewno.

Szacunek, jakim był teraz darzony w okolicy, nie cieszył go specjalnie i nie zależało mu na nim. Inaczej było z jego żołnierzami. Gaca i Brycha, otoczeni bez chwili przerwy tłumem, zaśzywali sławy, która wyraźnie uderzała im do głów. Zaśmiewał jej niemal każdy z podwładnych Śegosta. On sam uśmiechał się z politowaniem, patrząc, jak puszą się przed kobietami, jak chłoną pochwały sąsiadów, jak się ich wręcz domagają. Ale nie zamierzał rybakom przeszkadzać w syceniu się własną dumą. Znał ludzi i czuł, że tu, w Berghu, coś się bezpowrotnie zmieniło i chłopci nigdy już nie będą patrzyli na lepiej urodzonych z tak nabożną czcią, jak to było dawniej. Zresztą, nawet nie znając zupełnie nowego księcia, wiedział doskonale, że ten ochoczo zaaprobuje tę zmianę, jeśli tylko w zamian uzyska ze strony maszoperii potwierdzenie gotowości dalszego utrzymywania w służbie i zwiększenia liczebności oddziału, którego początkiem stała się rota uformowana przez Śegosta. Teraz, kiedy zabrakło szanownych, stało się to najprostszym sposobem przywrócenia księstwu zdolności obronnych, a tak na pewno brzmiało najważniejsze, jeśli nie jedyne zadanie, jakie stawiał swojemu nowemu lennikowi król.

I Gaca, i Brycha, i ci, którzy na razie byli tylko prostymi żołnierzami, mieli więc przed sobą piękne perspektywy. Śegost liczył, że nie przyniosą mu wstydu.

Ale jeśli chodziło o niego samego, to nie znajdował żadnych powodów, żeby być z siebie dumnym. Dlatego nie uczestniczył w powszechnej radości, dlatego wymknął się z pełnego rozradowanych ludzi placu do karczmy i dlatego w samej karczmie zaszył się w kącie, z dala od wielkiego stołu zajmowanego przez Dejwasa i resztę starszyny.

Niestety, jego podwładni nie wiedzieli, czym gryzie się ich dowódca. Przybył do

nich gość z królestwa. Gość, który zapewniał, że jest sławny na wszystkie królewskie dziedziny i że na pierwszą wieść ruszył z dalekich krain, by się u samego źródła dowiedzieć, co właściwie zaszło w stolicy Berghu. Uznali więc, że takim gościem nie dość nacieszyć się samemu, trzeba skierować go do najgodniejszego – do kapitana.

Nie zdawali sobie sprawy, że takich „sławnych” przybyszów, z tego samego towarzystwa co ów pierwszy, przybędzie do nich jeszcze całe mrowie. I że nie ma znaczenia, co im opowiedzą – oni i tak wymyślą całą historię po swojemu, nakłamią, nazmysłają najgorszych głupstw, byle mogło to wycisnąć łzy podatnych na wzruszenia głupców, którym los oszczędził w Syciu oglądania z bliska prawdziwych nieszczęść.

Śegost patrzył na przybysza z pogardą i nie odpowiadał, zastanawiając się, jak długo będzie musiał czekać, nim tamten zrozumie wreszcie, że nie znalazł wcale właściwego rozmówcy.

Bard wydawał się jednak mało domyślny. Złoczywszy lutnię na ławie obok siebie, a śliwkowy kapelusik z piórkiem, znak swojego cechu, na stole, wdał się teraz w rozmowę z Płatka, który akurat przechodził mimo z pełnym dzbanem piwa.

– Gdzieśby tam moja – tłumaczył Płatka. – To maszopów gospoda, gminy, a ja jeno na dziedzińcu, tu zostałem, bom na morze niezdatny...

Potem karczmarz zniknął. Poeta popił, odchrząknął i desperacko podjął jeszcze jedną próbę:

– Opowiedzcie i wy, panie Śegoście. Nie skąpcie tej opowieści pocie. Jakże to było? Widzieliście, jak ptaki księżęcą parę uniosły przed zemstą czarownika do nieba? Widzieliście to, co wasi ludzie prawią, jak Zamborg ze swą panią stali ramię przy ramieniu, broniąc się złym mocom? – Uniósł kufel, z każdym łykiem coraz bardziej celując jego denkiem w powałę, by wreszcie, otarłszy usta, westchnąć:

– Bogowie! Cóż to będzie za ballada!

Śegost przepłukał gardło, odstawił ze stukotem kubek i rzekł twardym głosem:

– Idźcie do czorta, panie poeta. Idźcie precz, nim wam rozwałę łeb. Nic wam nie powiem. Nic wam mówić nie warto. I tak wszystko zmyślicie.

Bard popatrzył na niego wzrokiem tak bezbrześnie zdumionym i niewinnym, że przez chwilę Śegost poczuł się, jakby skrzywdził bezbronne dziecko.

– Nie lubicie poezji, Śołnierzu? – rzekł tamten wreszcie. – Nie w smak wam ona?

– Do poezji nic nie mam. Poetów nie lubię. Idźcie precz, zanim wam skręcę kark. I jeśli, co nie daj, płacze się tu jeszcze ktoś z waszego cechu, uprzedźcie i jego, by mi nie lazył w oczy, jeśli Sycie miłuje.

Zwiesił głowę. Nie patrzył za odchodzącym. Nie rozglądał się w ogóle. Zaprzętało go bez reszty szukanie odpowiedzi na pytanie, na które znaleźć odpowiedzi wciąż nie

potrafił. Coś mówiło mu, że nie znajdzie jej nigdy.

Długo trwało, nim znowu poczuł w pobliżu czyjąś obecność. To Płotka dolewał mu wina.

– Bardzoście smutni, panie Śegoście – rzekł karczmarz, napotkawszy jego spojrzenie.

Śegost długo przypatrywał mu się w zadumie. Potem uniósł kubek i zanurzył usta w winie.

Nie powiedział nic.